



PISMO PG

PISMO PRACOWNIKÓW I STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

GRUDZIEŃ 2007

ISSN 1429-4494

NR 9 (130)/07 ROK XV



Senatorowie RP VII kadencji – absolwenci PG
życzą wszystkim Czytelnikom

Wesołych Świąt

Spotkanie gdańszczan z profesorem Andrzejem Czyżewskim laureatem Nagrody Heweliusza



czytaj na str. 4

„Na końcu świata. Emigracja z Polski do Nowej Zelandii”



czytaj na str. 13



Na zdjęciu Senatorowie RP VII kadencji.
Od lewej: mgr inż. Jan Wyrowiński,
prof. dr hab. inż. Edmund Wittbrodt,
prof. dr hab. inż. Janusz Rachoń

■ www.pg.gda.pl/pismo/

„Pismo PG” wydaje Politechnika Gdańska za zgodą Rektora i na zasadzie pracy społecznej Zespołu Redakcyjnego. Autorzy publikacji nie otrzymują honorariów oraz akceptują jednoczesne ukazanie się artykułów na łamach „Pisma” i w Internecie.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Adres Redakcji

Politechnika Gdańska
Dział Organizacyjno-Prawny
Redakcja „Pisma PG”
ul. G. Narutowicza 11/12,
80-952 Gdańsk, pok. 205, Gmach B,
tel. (48 58) 347 17 09, fax 341 58 21

Zespół Redakcyjny

Waldemar Affelt (redaktor naczelny),
Roman Beger, Bartosz Julkowski,
Ewa Jurkiewicz-Sękiewicz,
Henryk Krawczyk, Joanna Szlępczyńska,
Stefan Zabieglik, Katarzyna Żelazek

Skład i opracowanie okładki

– Ewa Niziołkiewicz
Redakcja „Pisma PG”,
e-mail: pismopg@pg.gda.pl

Fot. 1. str. okładki – Krzysztof Krzempek,
Remigiusz Stasiak
Fot. 2. i 4. str. okładki
– Krzysztof Krzempek
Fot. 3. str. okładki
– Joanna Jadczyk, Stefan Zabieglik,
Włodzimierz Babicki,
Krzysztof Krzempek

Stała współpraca

Zespół Technik Multimedialnych

Korekta

Joanna Szlępczyńska

Numer zamknięto 15 listopada 2007 r.

Zespół Redakcyjny nie odpowiada za treść ogłoszeń i nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo zmiany, skracania i adiacji tekstów. Wyrażone opinie są sprawą autorów i nie odzwierciedlają stanowiska Zespołu Redakcyjnego lub Kierownictwa Uczelni.

Spis treści

„A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami...” <i>Jadwiga Lipińska</i>	4
Spotkanie gdańszczan z Profesorem Andrzejem Czyżewskim, laureatem Nagrody Heweliusza <i>Joanna Ody</i>	4
„Sopocka Muza” dla Profesora Włodzimierza Przybylskiego <i>Janusz Rachoń</i>	6
System monitorowania kontenerów <i>Ryszard J. Katulski, Jacek Stefański, Jarosław Sadowski</i>	7
Na 45-lecie Czarliny <i>Gizella Bober, Jadwiga Lipińska</i>	9
Zarządzanie sportem – dziedzina nauki i wiedza, czy radosna twórczość i improwizacja? <i>Ewa Hope</i>	11
Wspomnienie o Janie Jagiełło <i>Urszula Górska</i>	11
Na końcu świata. Emigracja z Polski do Nowej Zelandii <i>Józef Woźniak</i>	13
Jubilat z potrzebie <i>Waldemar Affelt</i>	18
Z teki poezji. Kapryśna rzeka <i>Marek Koralun</i>	22
Władza w RP – autorytet czy...? <i>Michał Niedałowski</i>	22
Ryzykujcie! <i>Ewa Hope</i>	24
American dream <i>Rafał Piwkowski</i>	25
Pasja życia <i>Barbara Szczepuła</i>	26
Spotkanie seniorów. List do Pana Rektora <i>Zofia Adel</i>	28
„Edukacja Techniczna” – konferencja na WEiA PG <i>Agnieszka Kaczmarek</i>	29
Zarządzanie dla Chińczyków i nie tylko <i>Magdalena Popowska</i>	29
Wygrać marzenie <i>Bartosz Lipnicki</i>	30
Trzy miesiące w Kraju Wschodzącego Słońca – relacja z praktyki IAESTE <i>Zbigniew Cywiński</i>	32
Konkurs „Browar Wrzeszcz” rozstrzygnięty! Studenci Politechniki Gdańskiej zdobyli nagrody główne! <i>Katarzyna Żelazek</i>	33
Specjalistyczny język obcy – niezbędny każdego studenta <i>Jolanta Wielgus</i>	34
„Za to, że byłeś dobrym szewcem, mianuję cię krawcem” <i>Antoni Dutko</i>	36
Wspomnienia „Lufki”, asystenta z Miernictwa <i>Jerzy Sawicki</i>	38
„Polityka” Arystotelesa i myśli pochodne <i>Zbigniew Cywiński</i>	40
Wycieczka do Turcji <i>Róża Janca-Brzozowska, Stefan Zabieglik</i>	41
Ach, te Mikołaje z matematyce! <i>Krzysztof Nowicka</i>	46
Pokorna wielkość <i>Ewa Dyk-Majewska</i>	49
List do Redakcji Pisma PG <i>Miłosz Frąckowiak</i>	52
Z kalendarza JM Rektora <i>Piotr Markowski</i>	53

„A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami ...”

Czy jest coś, co lepiej i piękniej oddaje prawdę o Narodzeniu Chrystusa, niż bożonarodzeniowe polskie kolędy, pastorałki i kantyczki? Wielkie, ale zarazem proste słowa i cudowne melodie naszych kolęd towarzyszą nam od wieków. W tym błogosławionym czasie narodzin Bożej Dzieciny śpiewamy je z pełnym uczuciem codziennie, i to zarówno w dużych świątyniach i małych kościołkach, śpiewamy w zaciszu domowym, śpiewają je dorośli i dzieci, wielcy tego świata i prosty lud wiejski. Kolędy nasze są ponadczasowe i wyrażają nie tylko wielką radość z narodzin Chrystusa, ale i wzniosłe słowa oraz pobożną zadumę z udziałem aniołów i Świętej Rodziny.

Święta Bożego Narodzenia dzięki kolędom są bliższe człowiekowi i jakby przy tym weselsze i radośniejsze, i bardziej zrozumiałe.

Kolędy przybyły do Polski, jak podają przekazy historyczne, wprost ze starożytnego Rzymu. To Rzymianie obchodzili uroczyste pierwsze dni każdego miesiąca, a zwłaszcza pierwszy dzień stycznia – rozpoczynającego zawsze Nowy Rok, określając go nazwą *Kalendae*. Owe rzymskie zwyczaje przejęli najpierw bałkańscy Słowianie, od nich Rusini, a potem zadomowili się w Polsce. To Słowianie nazwali je od łacińskiego słowa *kalendare* – kolędami.

Początkowo były to pieśni wyłącznie świeckie, bez naleciałości religijnych, aż do prawie XV wieku, kiedy to nadano im wydźwięk związany tematycznie z Bożym Narodzeniem. Śpiewano je głównie po łacinie, ale z biegiem czasu, poczynając od późnego średniowiecza i renesansu, zaczęto je śpiewać w językach narodowych, w tym i po polsku.

Bogatwo polskich kolęd jest ogromne, jak w żadnym innym kraju. Przybrały one wówczas – obok charakteru czysto religijnego – charakter często wyraźnie narodowy i ludowy. Kolędy polskie były i są bardzo zróżnicowane. Pobrzmiewa w nich nie tylko poważny rytm poloneza, jak w kolędzie „Bóg się rodzi”, którą napisał Franciszek Karpiński, ale usłyszeć w nich można także skoczne melodie krakowiaka czy góralskie bajanie. Przepiękne są one nie tylko swojską prostą radością, ale i często nutą rzewnych, słodkich kołysanek nuconych przez Maryję nad śpiącym w żłóbku Dzieciątkiem. Wszystkie nasze polskie kolędy opowiadają w prosty i niewyszukanym sposobie historię narodzin Bożego Dzieciątka w ubogiej stajence, i prawdę o pastuszkach, którzy przybyli z biednymi darami pro-

wadzeni przez Gwiazdę Betlejemską jako pierwsi do nowo narodzonego Jezuska.

W najstarszych naszych kolędach można usłyszeć nie tylko łagodność i spokój, ale i siłę oraz słowa triumfu i chwwały, walkę wszelakich żywiołów i nieodkrytych tajemnic. Bóg się rodzi, ogień krzepnie, blask ciemnieje, a ciemna noc w promienistej jasności brodzi. Aniołowie się radują, pod niebiosa wysławiają – gloria, gloria in excelsis Deo, bo oto w Betlejem wesola nowina, że Panna czysta porodziła syna. Mizerna, cicha stajenka licha, pełna niebieskiej chwwały, oto leżący na sianku śpiący w promieniach Jezus mały.

„Narodził się Jezus Chrystus, bądźmy weseli
Chwała Mu na wysokości nucią anieli
Na kolana wół i osioł przed Nim kłękają
Jego swoim Stworzycielem i Panem uznają
Pastuszkowie przybiegają na znak im dany
Cześć oddają i witają Pana nad paną
Trzej królowie przyjechali z wielkimi dary
Złoto, mirra i kadzidło – oto ich ofiary
I my także chwałę dajmy Dzieciątku temu
jako Panu, nieba, ziemi – Zbawcy naszemu.

„Podnieś rękę Boże Dziecię – błogosław Ojczyznę miłą
w dobrych radach, w dobrym bycie, wspieraj jej siłę swą siłą,
Dom nasz i majątność całą, i wszystkie wioski z miastami,
A SŁOWO CIAŁEM SIĘ STAŁO I MIESZKAŁO MIĘDZY
NAMAMI !...”

Jadwiga Lipińska
Klub Seniora



rys. Bogna Lipińska

Spotkanie gdańszczan z Profesorem Andrzejem Czyżewskim, laureatem Nagrody Heweliusza

Tradycją już się stało, że w rok po przyznaniu Naukowej Nagrody Miasta Gdańska im. Jana Heweliusza, laureaci tego prestiżowego wyróżnienia spotykają się z mieszkańcami Gdańska, ciekawymi ich osób, dorobku, życia. 14 listopada w Ratuszu Staromiejskim, gdańszczanom przyszło się spotkać z wybitną postacią, autorem wielu publikacji, cenionym w kraju i za granicą prof. Andrzejem Czyżewskim z Politechniki Gdańskiej. Nagrodą Heweliusza za rok 2006 uhonorowany został w dziedzinie nauk ścisłych i przyrodniczych. W jego dorobku naukowym znajduje się wiele osiągnięć i wdrożonych projektów w dzie-

dzinie multimediiów. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że większość z nich przyczynia się do nieustannej poprawy jakości życia ludzi.

Na spotkanie z Profesorem przyszli współpracownicy, przyjaciele, rodzina, osoby związane z Profesorem od lat, ale i zwykli obywatele miasta Gdańska, łącznie ok. siedemdziesięciu osób. Prof. Janusz Rachoń, rektor Politechniki Gdańskiej, senator RP, jako gospodarz serdecznie powitał wszystkich gości, a szczególnie gorąco podziękował za przybycie prof. Mariannie Sankiewicz, która, jak powiedział, wykształciła i wypromowała prof. Czyżewskiego.

Osobę prof. Czyżewskiego zaprezentował jego wychowanek i kilkuletni współpracownik, dr inż. Piotr Ody z Katedry Systemów Multimedialnych Wydziału ETI, gospodarz spotkania.

– *Kiedy zostałem poproszony o przedstawienie sylwetki Profesora Andrzeja Czyżewskiego, wiedziałem, że będzie to zadanie naprawdę trudne. Jego dorobek jest na tyle bogaty, że w tak krótkim wystąpieniu trudno go zaprezentować, trzeba dokonać pewnego wyboru, a to oznacza, że mogę przekazać jedynie jego część* – wyjaśniał Piotr Ody.

Zgromadzonym przedstawiona została droga naukowa laureata, począwszy od uzyskania przez niego tytułu magistra inżyniera w roku 1982, aż po mianowanie na stanowisko profesora zwyczajnego w roku 2003. Dr Ody przybliżył najważniejsze funkcje, które pełnił i pełni obecnie prof. Czyżewski, nagrody, które otrzymał za swoją pracę naukowo-wdrożeniową, oraz dane typowo statystyczne dotyczące publikacji, zakończonych przewodów doktorskich, których był promotorem, oraz wypromowanych dyplomantów.

– *Spektrum zainteresowań Profesora Czyżewskiego jest bardzo szerokie, od central telefonicznych i instrumentów organowych po multimedia i wszelkiego rodzaju telesystemy medyczne, ale – jak mówi Piotr Ody – to tylko ułamek wszystkich.*

W drugiej części prezentacji zostały w skrócie omówione projekty, nad którymi Piotr Ody pracował wspólnie z Profesorem. Mowa tu o wielokrotnie nagradzanych systemach badania słuchu, wzroku i mowy, z których do dziś skorzystało ponad pół miliona dzieci w wieku szkolnym, oraz o wdrożeniu, jakim jest cyfrowy korektor mowy dla osób jękających się, nad którym pracowano w katedrze już od lat dziewięćdziesiątych.

W dalszej części spotkania głos zabrał główny bohater wieczoru, sam laureat, prof. Czyżewski. Skupił się on na nowych zastosowaniach inżynierii dźwięku i obrazu w obecnie realizowanych przez katedrę projektach oraz na kilku projektach europejskich, nad którymi praca jest dopiero organizowana.

– *Działamy w pewnym strategicznym kierunku, otóż uważamy, że multimedia, które są technologiami niezwykle nisko kosztocłonnymi, mogą stanowić odpowiedź na potrzebę wykreowania polskiego produktu i zapewnienia mu suk-*



Fot. Krzysztof Krzempek



Fot. Krzysztof Krzempek

cesu rynkowego – mówił prof. Andrzej Czyżewski. – Przeważnie nie potrzeba żadnych inwestycji, dlatego że komputery multimedialne są rozpowszechnione, sieci się rozbudowują, kamery są tanie. Rozwój tych koncepcji bazuje głównie na wiedzy, pomysłowości, na znajomości sztuki inżynierskiej. Myślimy, że technologie interaktywnej radiofonii i telewizji, monitorowania środowiska, telemedyczne, technologie bezpieczeństwa i komunikacji multimedialnej mogłyby być źródłem polskiego produktu przyszłości.

Prof. Czyżewski podkreślił, że realizacja tych wszystkich projektów nie byłaby możliwa, gdyby nie zespół, którym kieruje. Liczy on już ok. 30 osób, przeważnie ludzi młodych, niezwykle uzdolnionych, z pasją, chcących uczestniczyć w rozwoju nowych technologii. Prof. Czyżewski chwali współpracowników:

– *Te wszystkie projekty to są ich dzieła, ja tylko pracowałem nad nimi koncepcyjnie i koordynuję wykonywanie tych projektów, natomiast wkład tych młodych ludzi stanowi największą wartość.*

Miłym akcentem końcowej części spotkania z laureatem Nagrody Heweliusza było wręczenie Profesorowi obrazu, którego tematem jest sama jego postać, autorstwa Jacka Kornackiego, artysty związanego z Akademią Sztuk Pięknych w Gdańsku. Prezent od ludzi kultury wraz z malarzem przekazała Bronisława Dejna, zastępca dyrektora Nadbałtyckiego Centrum Kultury.

Prof. Andrzej Czyżewski podziękował wszystkim, którzy pomagali i pomagają mu w jego codziennych zmaganiach. Oprócz rodziców, żony, z którą pracuje naukowo, i córki, wymienił również „rodziców zawodowych”, tj. prof. Mariannę Sankiewicz i prof. Gustawa Budzyńskiego, którzy w jego karierze uczestniczą od samego początku; to pod ich okiem zaczynał raczkować jako młody naukowiec. Podziękował rektorowi Januszowi Rachoniowi za dostrzeżenie dokonań jego i jego zespołu, partnerom przemysłowym, bez których praca nie miałaby sensu, prezesowi Gdańskiego Towarzystwa Naukowego oraz kapitule za przyznanie nagrody, organizatorom spotkania, wszystkim przybyłym, a szczególnie autorowi portretu Jackowi Kornackiemu.

Goście w kularach jeszcze dyskutowali i gratulowali Profesorowi otrzymania tzw. gdańskiego Nobla.

Joanna Ody
Biuro Prasowe

„Sopocka Muza” dla Profesora Włodzimierza Przybylskiego

Laudacja JM Rektora Politechniki Gdańskiej prof. dr. hab. inż. Janusza Rachonia

W przepelnionym tramwaju siedzi blady, siny, wymęczony student. Pod oczami sine cienie, przez lewą rękę przewieszony płaszcz.

Wsiada staruszka. Student ustępuje jej miejsca i łapie się uchwyty. Staruszka siada, ale zaniepokojona przygląda się studentowi:

- Przepraszam, młody człowieku! To bardzo ładnie, że zrobił mi pan miejsce, ale pan tak blade wygląda. Może pan chory? Może... niech lepiej pan siada. Nie jest panu słabo?

- Ależ nie, nie! Niech pani siedzi. Ja tylko, widzi pani, jadę na egzamin do prof. Przybylskiego, a całą noc się uczyłem, bo mam średnią 4,6 i chcę ją utrzymać.

- No to może da mi pan chociaż ten płaszczyk do potrzymania?

- A, nie! Nie mogę! Zresztą to nie jest płaszczyk. To kolega. On ma średnią 5,0.

Prof. dr inż. Włodzimierz Andrzej Przybylski, prof. zw. Politechniki Gdańskiej, jest mieszkańcem Sopotu od 38 lat i pracownikiem Politechniki Gdańskiej od 44 lat.

Jedynka, cyfra „1”, w pewnym sensie, określa Jego życie:

- Politechnika Gdańska – to pierwsze i ciągle to samo miejsce pracy naszego Laureata,
- Sopot, to jedyne miejsce, w którym mieszka i chce mieszkać,
- Elżbieta – jedyna żona,
- Monika – jedyne dziecko,
- Jacek – jedyny zięć.

Porządek cyfrowy burzą wnuczki: są dwie, a wkrótce będzie trzecie wnuczę... Wnuczka? Wnuczek?

Prof. Przybylski jest pracoholikiem poddanym szczególnemu uzależnieniu od s w o j e j Politechniki.

A zaczęło się to w 1958 roku, gdy jako 18-latek przyjechał z Torunia do Gdańska, aby zdawać egzaminy wstępny na studia.

Wybrał Politechnikę – Wydział Mechaniczny. Zdał i został przyjęty w poczet studentów.

Pięcioletnie studia nie od razu Go pochłonęły całkowicie. Była praca społeczna w Zrzeszeniu Studentów Polskich, działalność w Parlamencie Studentów Politechniki Gdańskiej, będącym zresztą ewenementem w życiu polskich uczelni

w tamtych szarych i trudnych czasach. Była gra na perkusji w klubie „Kwadratowa”. Było szefowanie politechnicznemu kabaretowi „Kwadracik” i udział w kabarecie „Pi”. Ale znalazło się też trochę czasu na żonę.

Studia, student – Włodek Przybylski skończył jednak w terminie, w 1963 roku.

Możliwości podjęcia pracy były różne, m.in. w stolicy.

Na Wybrzeżu jednak studiowała jeszcze żona naszego Laureata, tutaj było znane już i przyjazne środowisko, przyjął więc propozycję pozostania na uczelni i podjęcia pracy asystenta na Wydziale Technologii Maszyn (obecnie Wydział Mechaniczny).

I tu teraz zaczynają się się moje, jako Laudatora, problemy.

Bo jak krótko, nie zanudzając Państwa, wymienić dorobek pracy Profesora.

Prof. Włodzimierz Przybylski przeszedł wszystkie szczeble kariery zawodowej na macierzystej uczelni, poczynając od asystenta stażysty – do profesora zwyczajnego. Podobnie było z pełnionymi w uczelni funkcjami – zaczął od kierownika laboratorium, poprzez zastępcę dyrektora instytutu, prodziekana i dziekana

Wydziału (trzy kadencje) do stanowiska prorektora naszej Alma Mater (dwie kadencje (1996–2002).

Laureat jest specjalistą w zakresie technologii maszyn i automatyzacji produkcji. Doktorat obronił z wyróżnieniem w dyscyplinie „Budowa i eksploatacja maszyn”. Wydał 3 indywidualne monografie naukowe, w tym jedną w języku obcym, 2 podręczniki, 4 skrypty akademickie.

W dorobku naukowym Laureat posiada m.in.: ponad 300 artykułów i referatów naukowych, 14 patentów i wzorów użytkowych, w tym patent na pierwszą w kraju tokarko-naginatarkę sterowaną komputerowo. Za tę obrabiarkę uzyskał wyróżnienie IV Oddziału Polskiej Akademii Nauk.

Za prace innowacyjne z zakresu powierzchniowej obróbki plastycznej otrzymał w 2001 roku Złoty Medal organizacji World Intellectual Property Organisation w Genewie. Wielokrotnie został uhonorowany nagrodą Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego – 3 razy indywidualną i 2 razy zespołową.

Prowadził ponad 200 prac dyplomowych i był promotorem 9 doktoratów, a także opiniodawcą 4 doktoratów hono-



14 października 2007 roku prof. dr. hab. inż. Włodzimierz Przybylski, pracownik Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej, otrzymał doroczną nagrodę Prezydenta Miasta Sopotu w dziedzinie kultury i sztuki oraz nauki „Sopocka Muza”

ris causa, w tym jednego dla Uniwersytetu w Monachium.

Laureat jest członkiem z wyboru (po raz trzeci) Komitetu Budowy Maszyn PAN oraz członkiem Akademii Inżynierskiej w Polsce od 1994 roku.

W zakresie osiągnięć dydaktycznych Profesora Przybylskiego należy wymienić zorganizowanie i kierowanie w Politechnice Gdańskiej dwusemestralnym Europejskim Studium Magisterskim, z zakresu nowoczesnych technologii maszyn, w ramach unijnego programu TEMPUS (lata 1996–1999). Program ten był organizowany w ramach współpracy z uniwersytetami w Karlsruhe i Louvain.

Obecnie jest koordynatorem zadań realizowanych w Politechnice Gdańskiej, dwóch programów w ramach Europejskie-

go Funduszu Społecznego – projektu MAYDAY (Model Aktywnego Wsparcia Pracowników i Firm Wobec Zmian Strukturalnych w Gospodarce) oraz SDTI (Strategiczne Doradztwo Technologiczne i Innowacyjne).

Od 10 lat współpracuje z Międzynarodowymi Targami Gdańskimi (targi Technicon), pełniąc m.in. funkcję przewodniczącego Kapituły nagrody Grand Prix im. Roberta Szewalskiego.

Związki prof. W. Przybylskiego z Sopotem to nie wyłącznie miejsce zamieszkania. Profesor współpracował bardzo efektywnie z Sopotskimi Zakładami Przemysłu Maszynowego w zakresie obrabiania drewna, oraz z Sopotplastem, konstruując matryce do produkcji tworzyw sztucznych metodą wtryskiwania.

Niewielką ilość wolnego czasu, jakim Pan Profesor dysponuje dzisiaj, chętnie poświęca numizmatyce, zbieraniu kamieni (ciągle szuka doskonale kulistego kamienia) i muzyce jazzowej. Obecnie niestety jako wyłącznie słuchacz.

Wszystkie wyżej wymienione sukcesy i umiejętności sprawiają, że Włodzimierza Przybylskiego można by zapytać tak, jak zapytano kiedyś Lionela Hamptona:

- *Mister Hampton, jest pan znakomitym wibrafonistą, poza tym gra pan na fortepianie i bębnie, śpiewa pan, komponuje, aranżuje i prowadzi orkiestrę. Jak pan to wszystko robi?*

- *Świetnie* - odparł Hampton...

Panie i Panowie, bez cienia wątpliwości – prof. Włodzimierz Przybylski to, co robi, też robi świetnie.

System monitorowania kontenerów

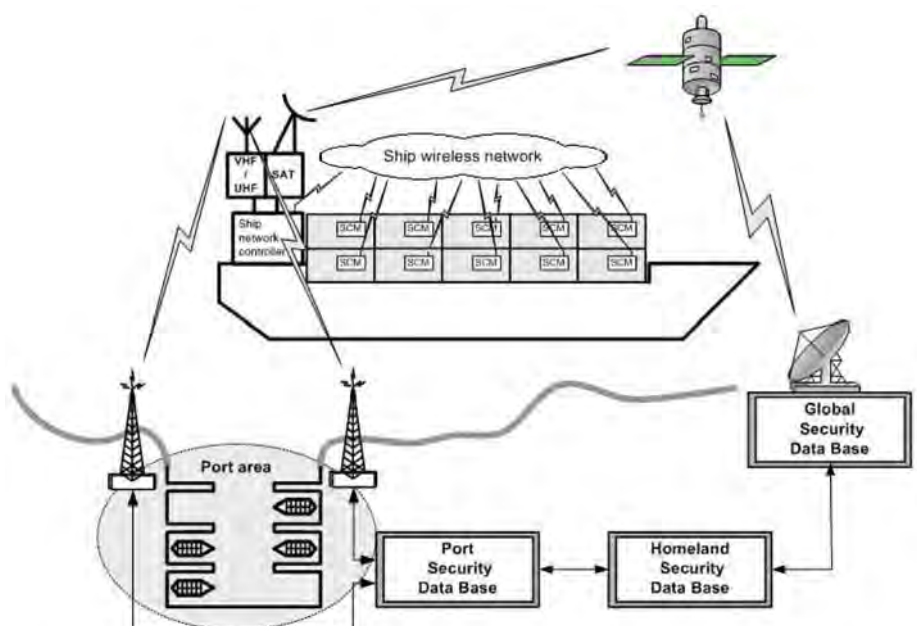
Każdego roku ponad 350 milionów kontenerów jest przewożonych przez statki na całym świecie. Ruch kontenerów jest jednym z najbardziej dynamicznie rozwijających się branż w transporcie morskim. Niestety, mniej niż 2% ładunku kontenerów jest pod ścisłą kontrolą i istnieje możliwość śledzenia ich trasy od miejsca załadunku do miejsca przeznaczenia. Ograniczona wiedza na temat ładunku przewożonego przez kontenery stwarza lukę, która w łatwy sposób może zostać wykorzystana do nielegalnych celów lub działalności terrorystycznej. W związku z powyższym, aby rozwiązać problem bezpieczeństwa terminali kontenerowych, konieczne jest opracowanie automatycznego systemu monitoringu zawartości kontenerów oraz zintegrowanego z kontenerami inteligentnego modułu monitorująco-pomiarowego. W dobie terroryzmu, stałe monitorowanie każdego kontenera za pośrednictwem systemów satelitarnych jest istotnym aspektem ochrony żeglugi i powinno być możliwie szybko wprowadzone na całym świecie.

Koncepcja systemu

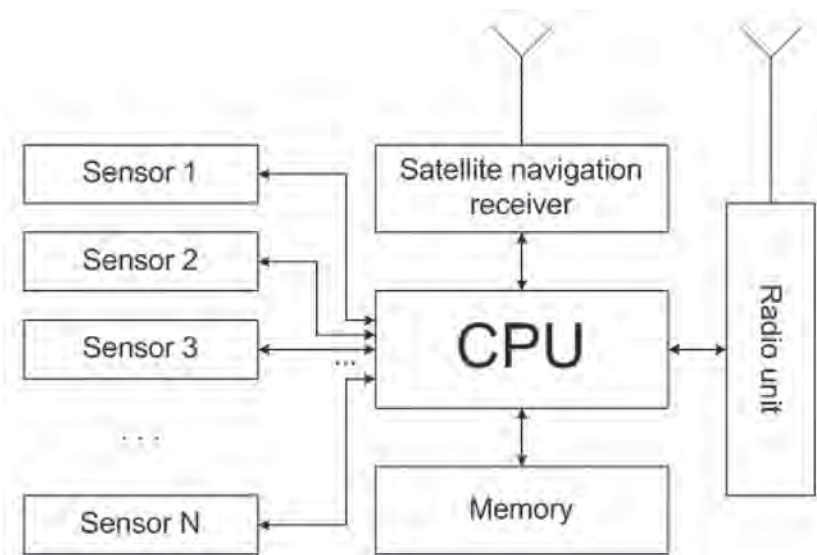
Koncepcja systemu monitorowania kontenerów bazuje na bezprzewodowej transmisji informacji z każdego kontenera na statku do baz danych. Aby umożliwić taki przepływ informacji, każdy kontener powinien być wyposażony w inteligentny moduł monitorująco-pomiarowy. Ze względu na fakt, iż kontenerowiec może

przewozić jednorazowo od kilku do kilkudziesięciu lub nawet kilkuset tysięcy kontenerów, istnieje konieczność umiejscowienia na statku specjalnej sieci bezprzewodowej, posiadającej własną bazę danych. Na żądanie, wszystkie kontenery na statku powinny wysyłać wymagane informacje do centrum sterowania, które przechowuje je w bazie danych. W określonych odstępach czasu, gdy statek przebywa na morzu oraz podczas wchodzenia do portów transponder na statku powinien wysyłać stosowne informacje do lokalnej lub globalnej bazy danych. Transmisja tych informacji do lo-

kalnej bazy danych, znajdującej się np. na terenie portu lub terminala kontenerowego, powinna odbywać się przy wykorzystaniu naziemnych sieci (systemów) łączności bezprzewodowej, np. działających w paśmie VHF lub UHF, natomiast transmisja danych do globalnej bazy danych, którą może być np. baza danych systemu monitorowania dalekiego zasięgu LRIT (Long Range Identification and Tracking), powinna odbywać się poprzez łącza satelitarne. Konieczna jest również współpraca i wymiana danych pomiędzy lokalnymi bazami danych i bazą globalną oraz współpraca baz danych na terenie państwa. Na rys.1. przedstawiono koncepcję systemu monitorowania kontenerów.



Rys.1. Koncepcja systemu monitorowania kontenerów



Rys. 2. Schemat funkcjonalny inteligentnego modułu kontenerowego

Jak można się spodziewać, warunki panujące na statkach, szczególnie dużych kontenerowcach, są bardzo trudne dla transmisji radiowej. Lokalna sieć bezprzewodowa na statku musi być zatem odporna na interferencje elektromagnetyczne i zapewniać dobre warunki do transmisji w tak trudnym środowisku propagacyjnym. Zastosowanie może tu znaleźć system z bezpośrednim rozpraszaniem widma DS-CDMA (Direct Sequence Code Division Multiple Access), który umożliwia wykorzystywanie tych samych zasobów systemowych przez wielu użytkowników, w tym wypadku inteligentnych modułów kontenerowych, w tym samym czasie, dzięki przedzieleniu każdemu z nich unikatowej sekwencji kodowej. Realizacja rozpraszania widma sygnałów przenoszących ciąg informacyjny polega na mnożeniu każdego bitu tego ciągu przez ciąg rozpraszający, który zazwyczaj jest ciągiem pseudoprzypadkowym, przy czym czas trwania poszczególnych elementów ciągu rozpraszającego, nazwanych chipami, dla odróżnienia ich od bitów reprezentujących informację elementarną wiadomości, jest znacznie krótszy od czasu trwania pojedynczego bitu ciągu informacyjnego. Powstały w ten sposób sygnał jest następnie modulowany i przekazywany do medium transmisyjnego. Wykorzystanie techniki CDMA umożliwia łatwą identyfikację modułów kontenerowych poprzez przypisanie im różnych sekwencji rozpraszających, a częstotliwość fali nośnej decyduje o przepływności przesyłanego sygnału. Po stronie odbiorczej przeprowadza się proces demodulacji i detekcji poprzez mnożenie zmodulowanej nośnej przez koherentny sygnał lokalne-

go generatora. Jeżeli lokalny ciąg pseudoprzypadkowy generowany w odbiorniku jest identyczny i zarazem synchroniczny z ciągiem pseudoprzypadkowym zawartym w odebranych sygnale, to otrzymujemy odtworzony ciąg bitów wejściowych. Rozproszenie widma sygnałów niesie ze sobą wiele korzyści, m.in. przyczynia się do zwiększenia odporności na zakłócenia wąskopasmowe. W odbiorniku widmo sygnałów użytecznych jest skupiane przez ciąg pseudoprzypadkowy, a równocześnie widmo sygnałów zakłócających jest przez ten sam ciąg rozpraszane. W wyniku tej operacji tylko nieznaczna część mocy sygnału zakłócającego ma wpływ na sygnał użyteczny. Można powiedzieć, że zakłócenia stają się po rozproszeniu szumopodobne, o bardzo małej gęstości mocy. Kolejnymi zaletami wynikającymi ze stosowania zwielokrotnienia DS-CDMA są: wzrost pojemności systemu oraz przeciwdziałanie efektom zaników. Ponadto zastosowanie ciągów wzajemnie ortogonalnych wyklucza konieczność planowania rozdziału częstotliwości na obszarze statku, gdyż wszystkie moduły ko-rzystają z całego pasma.

Inteligentny Moduł Kontenerowy

Inteligentny Moduł Kontenerowy (IMK) jest jednym z najważniejszych elementów systemu monitoringu. Możliwość wykrycia niebezpiecznych materiałów wewnątrz kontenera może pozwolić na szybkie ich ujawnienie i zneutralizowanie, zanim staną się one zagrożeniem dla życia ludzi lub dla statków i portów. Moduł powinien się składać z części pomiarowej, wyposażonej w różnego rodzaju

ju sensory, i części radiowej, kontrolowanych przez odpowiedni procesor i algorytm operacyjny. Oprogramowanie procesora powinno również zostać zaprojektowane, np. w technologii radia programowalnego (Software Defined Radio). Wszechstronność modułu pozwoli na monitorowanie i pomiary pewnych parametrów we wnętrzu kontenera. W tym celu moduł powinien być wyposażony w różnego rodzaju sensory wewnątrz kontenera, umożliwiające wykrycie ruchu, zmian temperatury, ciśnienia, wilgotności, obecności gazów lub substancji radioaktywnych itp. Ważnym aspektem jest również lokalizacja kontenera, dlatego każdy moduł powinien być wyposażony w blok nawigacji satelitarnej (GPS/Glonass/GALILEO). Na rys.2 przedstawiono schemat funkcjonalny modułu.

Podstawowe informacje (dokumenty transportowe) ładunku, takie jak zawartość kontenera, nadawca, punkt załadunku, odbiorca i miejsce docelowe oraz inne dodatkowe informacje powinny być przechowywane w pamięci modułu i za każdym razem, gdy zachodzi taka konieczność, powinny zostać wysłane poprzez sieć bezprzewodową. Aby zapewnić efektywną transmisję radiową od modułu do stacji bazowej znajdującej się na statku lub w porcie, konieczne jest ustalenie następujących parametrów części radiowej modułu:

- pasma częstotliwości,
- metody modulacji,
- sposobu kodowania (szyfracji) informacji,
- zabezpieczenia przed błędami w transmisji,
- metody dostępu do kanału radiowego,
- protokołów komunikacyjnych,
- bilansu energetycznego łącza radiowego.

Oczywiście moduł powinien cechować się bardzo małym poborem prądu ze źródła zasilania, aby zapewnić mu bezobsługową pracę przez długi okres czasu, np. przez kilka lat. Równie ważna jest kompaktowa budowa modułu i minimalizacja jego wymiarów. Ponadto moduł powinien być odporny na warunki atmosferyczne oraz posiadać zabezpieczenie przed zdemontowaniem lub modyfikacją wnętrza z możliwością automatycznego generowania alarmu.

Aby umożliwić łatwość implementacji systemu monitoringu kontenerów w niedalekiej przyszłości, jest konieczne, aby koszt seryjnej produkcji inteligentnych

modułów był niski, ale jednocześnie zapewniał utrzymanie jego wszystkich parametrów funkcjonalnych na możliwie wysokim poziomie.

Główne zadania projektowe

Implementacja systemu monitoringu kontenerów w Porcie Gdańskim i Gdyńskim wymaga zbadania warunków propagacyjnych w różnych miejscach portów, czego można dokonać na drodze pomiarowej rozkładu natężenia pola elektromagnetycznego wokół testowych nadajników. Wyznaczenie profili propagacyjnych w tych obszarach pozwoli na zaprojektowanie efektywnej infrastruktury systemu

monitorującego. Kolejnym ważnym zagadnieniem jest projekt prototypu inteligentnego modułu kontenerowego, charakteryzującego się otwartą architekturą, aby jego funkcjonalność mogła być w łatwy sposób rozbudowana w przyszłości, bez konieczności znaczących modyfikacji sprzętowych modułu. Zaprojektowany i zbudowany prototyp tego modułu zostanie przetestowany w warunkach rzeczywistych i posłuży do weryfikacji założeń systemowych. Kolejnym bardzo ważnym zagadnieniem jest zaprojektowanie sieci radiowej na statku, odpornej na silne interferencje i kompatybilnej z innymi systemami statkowymi oraz protokołami i

interfejsami używanymi do komunikacji pomiędzy bazą danych na statku a bazami danych na lądzie.

Maritime Security Research Group of the Gdańsk University of Technology (GUT): Ryszard J. Katulski – chairman, Jacek Stefański, Jarosław Sadowski, Rafał Niski – National Institute of Telecommunications, Jerzy Żurek – Gdynia Maritime Academy

Ryszard J. Katulski
Jacek Stefański

Jarosław Sadowski
Wydział Elektroniki, Telekomunikacji
i Informatyki

Na 45-lecie Czarliny

Czarlina to cichy, piękny i przyjazny ludziom Ośrodek Wypoczynkowy pracowników Politechniki Gdańskiej. Położony jest on malowniczo nad dużym jeziorem, wśród kaszubskich pól i jezior, wśród kaszubskich pól i lasów.

Kto z pracowników Politechniki chociaż raz spędzał tam wakacje, będzie często wracał tam chociażby tylko myśłą, wspomnieniem i tęsknotą za szumem lasu, chłodną wodą w jeziorze, fioletem wrzosowisk i urokiem ciepłych, letnich dni.

Piszę o tym teraz, w czasie późnej jesieni. Czarliński Ośrodek już opustoszał, nie słychać gwaru dziecięcych głosów, chóralnych śpiewów, odgłosu piłki na boisku. Z premedytacją więc wykorzystuję ten jesienny spokój, by z odrobiną poezji i za pomocą kilku strof wierszy naszych poetów ofiarować Czarlinie garść sentymentalnych wspomnień, od dawna już przechowywanych w pamięci.

*Promienie wieczorne, czerwone, gorące
rzuca na obłoki słońce zachodzące
wiatr wieczorny cicho listkami szeleści,
szumi las sosnowy dziwne opowieści...*

*Ale i woda, jezioro wspinał się
głęboko utkwiliły w pamięci.
Jest na co patrzeć rano, w dzień i wieczorem
bo niezapomniane to były wakacje
nad naszym pięknym jeziorem.*

*Czemu Ci głowa na dłonie opada?
To pachnie trawa i ten pach nad wodą,
to wód polśnione smugami zwierciadła
parują ciszą, blaskiem i ochłodą.*

*Witaj piękna jesieni, tak ciepła i taka cicha,
witaj i żegnaj zarazem, boś porą rozstania,
jasne, błękitne niebo się uśmiecha –
lecz to melancholijny uśmiech pożegnania...*

*Pola ucichły, wczoraj pełne gwaru –
i brzęku kos, i śpiewu dożynek –
dzisiaj zapadły w sen jak mocą czaru
w cichy spoczynek.*

*Sposępniał w ściernisk szarości popielnej
zagon rozległy, opuszczony, goły
łany są jakby po uczcie weselnej
uprzątnięte stoły...*

Skończyło się lato, a z tą ostatnią zwrotką melancholijnej zadumy wiersza Leopolda Staffa – odkładam pióro kreślące obraz czarlińskiej urody i pamięci spa-

cerów po lesie, zbierania grzybów, jagód i borówek. Czyż nie jest to piękny akcent dla przeżywanej zawsze po pobycie w Czarlinie radości z letniego wypoczynku?

Nadszedł teraz czas na jak najszybsze przejście od miłych sercu wspomnień do zwykłej codzienności, choć dziś nieco uroczystej z okazji jubileuszu Czarliny, by rozpocząć bardzo ciekawą opowieść o narodzinach i rozwoju naszego Ośrodka Wypoczynkowego pracowników Politechniki Gdańskiej. Kronikarzu! Przejdź szybko do konkretów i do opisywania faktów historycznych, aby opis ten pozostał na zawsze w aktach Kroniki naszej uczelni.

Działo się to Roku Pańskiego 1962 w mieście Gdańsku, w Politechnice Gdańskiej, za panowania w niej JM Rektora – prof. Kazimierza Kopeckiego, i Prezesa Rady Zakładowej ZNP doc. Kazimierza Zygmunta.



Otwarcie wystawy

Fot. Krzysztof Krzempek



Fot. Krzysztof Krzempek

W owym czasie najwyższe władze Politechniki postanowiły obdarować swoich pracowników szczególnym upominkiem – takim, który mógłby służyć im przez długie lata i dalsze pokolenia. W ten sposób powstał Ośrodek Wypoczynkowy, usytuowany z dala od zgiełku miasta, wśród rozległych pól i lasów, nad pięknym i dużym polodowcowym jeziorem zwanym Jelenie, w pobliżu Wdzydz Kiszewskich, w samym sercu Kaszub, czy – jak kto woli – w sercu Szwajcarii Kaszubskiej. Miejsce zostało wybrane znakomicie, na niewielkiej wyżynie, pełnej ciepła, uroku i czaru, wśród sosnowego lasu, odpowiadające idealnie swej geograficznej nazwie – „Czarlina”.

W narodzinach Czarliny udział wzięło wiele osób z kręgu władz uczelni, administracji i związków zawodowych. Nie sposób więc wspomnieć wszystkich po czterdziestu pięciu latach, ale choć kilku nazwisk z nich – pominąć się nie da. Są to kierownicy OWPG Czarlina: Maria Alicja Walentynowicz (1962–1965 delegacja), Kazimierz Moczorot (1965–1973 delegacja, 1973–1992 etat), Tadeusz Drzewiecki (1992–2001 etat), mgr inż. Józef Nowak (2001– etat).

Początkowo całą administracją Ośrodka zajmowała się Rada Zakładowa ZNP, a fundusze na rozwój Ośrodka były czerpane z nadwyżek tzw. Gospodarstw Pomocniczych. W roku 1962 powstał fundusz socjalny i Dział Socjalny, którego kierownikiem była Lucyna Niedźwiecka i który przejął opiekę i administrację Ośrodka.

Pierwsze lata istnienia Czarliny były trudne i biedne, a nawet siermiężne, ale wspominamy je z łezką w oku jako coś pięknego, co będzie rozwijać się na naszych

oczach ku wspólnej radości, jako wymarzone miejsce letniego wypoczynku.

Cały Ośrodek składał się wówczas z kilkunastu małych, dwuosobowych domków campingowych, rozłożonych malowniczo wśród lasu, z kilku pomalowanych na zielono budek z serduszkami, pieszczołtliwie nazywanych sławojkami, z prostego baraku – umywalni, i drugiego gospodarczego. Kuchni wtedy przez jakiś czas jeszcze nie było. Wczasowicze stołowali się u sąsiadującego z ośrodkiem gospodarza, gdzie na podwórzu stały długie sosnowe stoły, a nad nimi rozciągał się sufit z białego płótna. Taka to była stołówka, a do niej trzeba było maszerować przez pola ponad pół kilometra. Miało to swój niezaprzeczalny urok wiejskiego prymitywu, lecz nikomu to nie przeszkadzało, a lato wtedy kipiało ciepłem i

słońcem, nie tak jak dziś, kiedy to ciepłe dni lata zmieniły się w chłodne dni jesienne. Specjalne podziękowania należą się osobom, które w tym bardzo trudnym okresie z pełnym oddaniem pracowały, aby nasz wypoczynek był naprawdę miły i wygodny.

Ośrodek Wypoczynkowy w Czarlinie rozwijał się błyskawicznie i z rozmachem. Rokrocznie przybywało wiele obiektów używalności ogólnej – nowa stołówka, klub towarzyski, nowe umywalnie i prysznice. Pojawiło się wiele nowych i większych domków, rozwijała się przystań żeglarska, a nawet obszar całego Ośrodka powiększył się prawie niepostrzeżenie o nowe korty tenisowe, salę pingpongową.

I znowu należałoby wymienić kilka ważnych dat z tego okresu oraz nazwiska ludzi, którzy przyczynili się do tego własną pracą i inicjatywą, dzięki którym Czarlina zamieniała się coraz bardziej w komfortowy obiekt rekreacyjny.

Trzeba przyznać bezstronnie, że zdarzały się również i mniej przyjemne wydarzenia w historii Czarliny. Najczęściej było to związane z pewnymi przemianami politycznym występującymi w kraju. Były to głównie strajki, trudności w zaopatrzeniu i straszące gołe półki sklepowe, wypełnione butelkami z octem. Najgorsze były chyba lata 80/81, kiedy to panowało wszędzie poczucie zagubienia i groźba zbrojnego konfliktu. Pocięchą były porozumienia sierpniowe i powstanie Solidarności. Trzeba się nisko pokłonić gospodarzom i personelowi Ośrodka, którzy niemal spod ziemi, od okolicznych gospodarzy, sobie tylko znanymi sposobami zdobywali cudem żywność, aby wczasowicze Czarliny nie



Fot. Krzysztof Krzempek

odczuwali głodu, gdyż mimo tych wszystkich trudności Ośrodek pracował bez przerwy. Zmęczeni całą tą bardzo trudną sytuacją pracownicy chętnie korzystali z możliwości choć dwutygodniowego wypoczynku. I znów należy podać kilka suchych faktów, dat i zdarzeń, wśród których powinny się znaleźć nazwiska najbardziej ofiarnych i dzielnych ludzi, dbających o tę garstkę wypoczywających tu na kolejnych turnusach gości niepewnych wtedy jutra, odosobnionych wśród lasów Czarliny.

Na zakończenie i w uzupełnieniu trzeba jeszcze podać kilka dat i cyfr, świadczących o szeroko pojętej troskliwości bardzo licznej grona ludzi – pracowników dnia dzisiejszego, odpowiedzialnych za całościowe prowadzenie tego pięknego, ale i tak bardzo potrzebnego Ośrodka Wypoczynkowego w Czarlinie. Najwyższe uznanie należy się głównie kolejnym gospodarzom – kierownikom Ośrodka, wśród których niewątpliwie wybijają się na czoło osobowość kolegi śp. Kazimierza Moczorata, zapobiegliwego i kompetentnego Szefa, znanego z pewnej surowości i wzorowego porządku w prowadzeniu całego obiektu.

Obok niego pojawia się równie znana i wielce ceniona postać śp. kolegi Henryka Matlińskiego, niestrudzonego głównie w zaopatrywaniu w dobra materialne wczasowiczów, pełnego przychylności do wszystkich ludzi, delikatnego i lubianego przez wszystkich. Dzielnie pomagała mu jego małżonka – p. Maria.

Zachowujemy także wdzięczną pamięć o wielu pracownikach Ośrodka, którzy odeszli już od nas na zawsze oraz tych, którzy dawno przeszli na emeryturę.

Specjalne i osobne podziękowania skierować należy do kolejnych rektorów i członków Senatu, którzy zawsze bez chwili wahania spieszyli z pomocą, służyli opieką i ofiarnością Czarlinie, zwłaszcza w czasach wspomnianych już wyżej; w okresach niepewności i niepokoju o dalsze istnienie Ośrodka.

Dziękujemy również pracującym tu społecznie dla ogólnego rozwoju Ośrodka pracownikom Działu Socjalnego, jak i niektórym członkom Klubu Seniora.

Dziękujemy także młodzieży i studentom, którzy w ramach swych prac społecznych podejmowali często ochotnicze pra-

ce porządkowe na terenie Ośrodka. Nie wystarczy już miejsca na to, aby wymienić te całe zastępy ofiarnych i zaangażowanych, a często zapomnianych już w ciągu minionych 45 lat ludzi, dla których pomoc i praca na rzecz innych była zawsze sprawą wielkiej wagi.

Mamy nadzieję, że zorganizowana z okazji Jubileuszu Czarliny wystawa dopowie resztę naszej pamięci o tych wszystkich, których nie zdołaliśmy w tym tekście wymienić. Zdjęcia bowiem i ekspozyty na pewno zatrzymają uwagę zwiedzających, gdyż będą istotnym dodatkiem do opisu i przemówią do widza bardziej niż słowo pisane, jakże często ulotne i nie zawsze dobrze zapamiętane lub zrozumiałe, a czasem nawet zdeformowane upływem czasu i niedoskonałą pamięcią.

Uczelnia dziękuje gorąco wszystkim, którzy wnieśli choć niewielką część swjej pracy czy pamięci do uzupełnienia opowiedzianej tutaj w wielkim skrócie historii Czarliny.

*Gizella Bober
Jadwiga Lipińska
Klub Seniora*

Zarządzanie sportem – dziedzina nauki i wiedza, czy radosna twórczość i improwizacja?

Na Wydziale Zarządzania i Ekonomii od paru lat trwały przygotowania do uruchomienia studiów **MBA (Master of Business Administration)**, studiów, które kształciłyby kadrę zarządczą najwyższego szczebla w specyficznych sferach gospodarki – sporcie i medycynie.

Organizacja przez Polskę Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej, zwiększająca się rzesza fanów koszykówki, coraz lepsze drużyny piłkarskie stawiają przed polskim sportem zupełnie nowe wyzwania – jak zarządzać sportem, jak zarządzać obiektami sportowymi, jak umiejętnie wykorzystać potencjał ludzki w organizacji wielkich widowisk sportowych. Czy to potrafimy? Czy mamy wykształconą kadrę, która poradzi sobie z tymi wyzwaniami?

Oczekiwaliśmy, że odpowiedzi na te pytania może przynieść dyskusja wszystkich możliwych stron i uczestników tych działań – naukowców, sportowców, działaczy sportowych, polityków, przedsiębiorców sponsorujących sport. Stąd pomysł organizacji „**Forum MBA Zarządzanie Sportem**”, które odbyło się 30



Od lewej: Prezes KS Warszawianka – Ryszard Fijałkowski, Andrzej Kowalczyk – Inspektor ds. Organizacji Pozarządowych w Urzędzie Miasta Sopotu, Krzysztof Turowski – Koordynator ds. imprez organizowanych przez federację CEV, Dyrektor Ligii Światowej i World Grand Prix Piłki Siatkowej – Wojciech Czayka, prowadzący dyskusję – prof. dr hab. Piotr Dominiak

Fot. Krystyna Andryszkiewicz

września 2007 w siedzibie Wydziału Zarządzania i Ekonomii Politechniki Gdańskiej.

W spotkaniu udział wzięli naukowcy uczelni europejskich, prezesi klubów i związków sportowych – począwszy od szefa Ligi Światowej Koszykówki w Polsce, prezesa PZPN, poprzez Polski Związek Motorowy, do Związku Strzelectwa Sportowego – władze miast i komitetów organizacyjnych Euro 2012 – członek Komitetu Organizacyjnego Euro 2012 Gdańsk Maciej Płażyński, Wojewoda Pomorski Piotr Karczewski; gościem honorowym była Irena Szewińska, która właśnie poprzedniego dnia odebrała w Akademii Wychowania Fizycznego w Gdańsku doktorat honoris causa.

Wśród wykładowców był prof. Erik Sinas z Grecji – poprowadził wykład „Co zapewniło sukces Olimpiadzie w Atenach 2004 – spojrzenie project managera”, natomiast wykład „Wyzwania dla biznesu piłkarskiego w Unii Europejskiej – czy to oznacza, że sport potrzebuje wykształconych, profesjonalnych pracowników i menedżerów do zarządzania sportem” poprowadził dr Geoff Pearson z Liverpool MBA.

W panelach dyskusyjnych wzięli udział m.in. Jan K. Bielecki, Michał Listkiewicz, Adam Giersz, Adam Olkiewicz, Ryszard Fijałkowski, Wojciech Czayka, Jerzy Młynarczyk, Anna Rybicka, a dyskusje w nich poprowadzili Włodzimierz Machnikowski z Radia Gdańsk, Marek Ponikowski z TVP Gdańsk i prof. Piotr Dominiak – dziekan WZiE.

W dyskusjach panelowych podjęto próbę odpowiedzi m.in. na pytania:

1. Czy zarządzanie, zawiadywanie klubami sportowymi, obiektami sportowymi podlega takim samym regułom ekonomicznym, jak zarządzanie przedsiębiorstwami?
2. Czy rachunek ekonomiczny w sporcie jest taki sam, jak w innych działaniach gospodarczych?
3. Ludzie o jakich umiejętnościach i kompetencjach są najbardziej potrzebni w biznesie sportowym?
4. Naczelną wartością w sporcie była współpraca i bezinteresowna rywalizacja – na ile te wartości są aktualne współcześnie?
5. Jakie są granice stosowania zasad biznesu w sporcie?

Mamy nadzieję, że spotkanie było pozytywnym impulsem dla przeprowadze-



Zaproszeni goście

Fot. Krystyna Andryszkiewicz

nia koniecznych zmian myślenia o nowoczesnym podejściu do zarządzania sportem w Polsce, a jednocześnie utwierdziło nas w przekonaniu, że organizacja studiów MBA „Zarządzanie w sporcie” jest potrzebna i będzie ważnym elementem w procesie kształcenia nie tylko dla Wydziału Zarządzania i Ekonomii, ale też i dla przyszłości polskiego sportu – studia tego typu są jedyne w Polsce.

Dzięki wieloletnim staraniom dziekana WZiE prof. dr. hab. Piotra Dominiaka i p. Barbary Geniusz Stepnowskiej – Pełno-

mocnika Dziekana ds. Studiów MBA studia te zostały już uruchomione – pierwsza edycja rozpocznie zajęcia w lutym 2008.

Oprócz ścieżki „Zarządzanie w sporcie” na studiach MBA uruchamiamy dwie inne – „Zarządzanie organizacjami służby zdrowia” i „Zarządzanie projektami” – realizowane we współpracy z naukowcami z Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Szwajcarii, Grecji. [www.mba.zie.pg.gda.pl]

Ewa Hope

Wydział Zarządzania i Ekonomii



Nazywaliśmy Go wszyscy Król, wiadomo Jan Jagiełło, ale tak naprawdę, to był Jasio. Najzyczliwszy człowiek pod słońcem. Nie pamiętam, aby kiedyś Jasio złożył się na kogoś, albo odmówił pomocy. Wiemy, że był genialnym komputerowcem, ale pewnie nie wszyscy wiedzą, że pisał wiersze, że był niezwykle czytany, interesował się muzyką. Można o Nim powiedzieć „człowiek renesansu”. Kochał góry i znał je doskonale, zdeptał wszystkie możliwe i niemożliwe ścieżki. Jeździł na nartach, pływał na jachtach, był na wyprawie na Syberii. Gdziekolwiek się pojawił, zdobywał natychmiast przyjaźni, nie musiał się specjalnie starać, był sobą i

to wystarczało. Kochaliśmy Go. Przepracował w Katedrze Mechaniki Budowli pół swojego życia. Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych – pewnie to prawda, ale po odejściu Jasia nasza Katedra już nie będzie taka sama.

Napisałam dla Ciebie, Jasiu, wiersz, może Ci się spodoba

*To takie dziwne
mówić o Tobie w czasie przeszłym
byłeś, zrobiłeś, poszliśmy
wszystko skończyło się wczoraj
jutro jest nieosiągalne
umierają kwiaty i motyle
umierają księżycy
pamięć trwa
Jasiu
wódka już wystygła
wypijmy za dziś*

Jasio Jagiełło umarł 25 listopada 2007 r.

Ula Górską

Wydział Inżynierii Lądowej i Środowiska

Na końcu świata. Emigracja z Polski do Nowej Zelandii

W piątek 12 października 2007 roku o godzinie 12.00, czyli w samo południe, miała miejsce w Politechnice Gdańskiej podniosła uroczystość – otwarcie wystawy „Na końcu świata. Emigracja z Polski do Nowej Zelandii”. W uroczystości tej wziął udział Ambasador Nowej Zelandii Philip Griffiths. Stronę polską reprezentowali Marszałek Senatu RP Bogdan Borusewicz, Wiceprezydent Miasta Gdańska Maciej Lisicki oraz Prorektor Politechniki Gdańskiej prof. Ryszard Katulski. Otwarcia wystawy towarzyszyło duże zainteresowanie. Przybyło na nią wielu znamienitych gości, przedstawiciele korpusu dyplomatycznego, profesorowie uczelni trójmiejskich i wiele innych osób.

Po przeczytaniu tej informacji pojawi się zapewne naturalne pytanie – skąd tego typu wystawa w Politechnice Gdańskiej? Odpowiedź wymaga drobnego wprowadzenia. Inicjatorką sprowadzenia wystawy do Polski była Pani Cecylia Kłobukowska, aktualnie przewodnicząca i członek założyciel Stowarzyszenia Polish Heritage of Otago and Southland – Charitable Trust – działającego od 1998 roku w Dunedin, stolicy prowincji Otago, na południowej wyspie Nowej Zelandii. Celem i misją Stowarzyszenia jest kultywowanie polskich tradycji i pamięci o polskim osadnictwie na południowych terenach Nowej Zelandii. W trzech ostatnich latach Stowarzyszenie współorganizowało dwie wystawy, prezentowane w miejscowym Muzeum Osadnictwa (The Otago Settlers Museum), poświęcone polskim emigrantom. Pierwsza wystawa, zatytułowana „From Poland to Pahiatua”, zorganizowana w 2004 roku, przedstawiała losy polskich sierot, które z Syberii dotarły do Nowej Zelandii w 1944 roku. Z kolei druga – „Our Southern Poles”, zorganizowana w 2006 roku, ukazywała trzy fale emigracji polskiej do Nowej Zelandii, a mianowicie losy: pierwszych polskich osadników z regionu Kociewia i Kaszub z końca XIX wieku, emigrację wojenną i współczesną.

Podczas pobytu w Polsce, w lipcu 2006 roku, Pani Cecylia przedstawiła Ambasadorowi Nowej Zelandii w Polsce, Panu Philipowi Griffithsowi ideę sprowadzenia wyżej wymienionych wystaw do Polski.

Następnego dnia, wspólnie z Ambasadorem, uczestniczyła w otwarciu, w Muzeum Wychodźstwa Polskiego w warszawskich Łazienkach, wystawy poświęconej polskiej emigracji do Australii. Pomysł zorganizowania „wystawy nowozelandzkiej” został przedstawiony prof. Markowi Kwiatkowskiemu, Dyrektorowi Muzeum, który wykazał nim duże zainteresowanie. Decyzja zapadła – wystawa przyjedzie do Polski. I tak to się zaczęło. Autor tej relacji miał okazję obejrzeć wystawę „Our Southern Poles” w Muzeum w Dunedin. Od początku sympatyzował z tym pięknym pomysłem. Pani Cecylia, z domu Wiwatowska, wychowała się na Kociewiu, w Trąbkach Wielkich. Jej wielkim marzeniem i bez mała misją stało się, by wystawa, której znaczna część poświęcona jest emigrantom z Kociewia, dotarła do Starogardu i Gdańska. W kwietniu miało miejsce otwarcie wystawy w Łazienkach Królewskich w Warszawie, natomiast w połowie sierpnia w Starogardzie Gdańskim, w Muzeum Ziemi Kociewskiej. W międzyczasie trwały intensywne rozmowy i poszukiwania miejsca dla wystawy w Gdańsku. Gdy swoje „tak” powiedział JM Rektor Politechniki Gdańskiej prof. Janusz Rachoń, miejsce zostało ostatecznie przesądzone. Wszyscy zaangażowani odetchnęli z ulgą – wystawa będzie ekspozycjonowana w Gdańsku. Zaczęły się dość gorączkowe prace przygotowawcze. Panie Dyrektor: Biura Prezydenta ds. Kultury, Sportu i Promocji Urzędu Miasta Gdańska Anna Czekanowicz i Biblioteki Głównej Politechniki Gdańskiej Bożena Hakuć wzięły sprawy w swoje ręce.

Urząd Miasta podjął się sprowadzenia wystawy ze Starogardu i wydania informatora. I tak to się potoczyło. Można więc powiedzieć, parafrazując wydarzenia z historii, że wystawa, ukazująca mało znane losy Polaków, szczęśliwie zawinęła do Gdańska, pchana przez pomyslną wiatry, podobnie jak w XIX wieku po wielomiesięcznej podróży, do dziewiczego wybrzeża Wyspy Południowej Nowej Zelandii docierali pierwsi polscy osadnicy z Pomeranii.

Z Gdańska wystawa pojedzie jeszcze do Krakowa na Uniwersytet Jagielloński, a następnie na KUL w Lublinie.

Po tym przydługim komentarzu organizacyjnym wypada napisać kilka słów o Nowej Zelandii i Polakach w tym kraju.

Nasze związki z Nową Zelandią i wiedza o Polakach przebywających i żyjących, w przeszłości i teraz, w tym odległym zakątku świata, są dość ograniczone.

Prawdopodobnie niewielu z nas, Europejczyków, jest też świadomych tego, że lokalizacja geograficzna Nowej Zelandii jest podobna do Włoch. Kraj ten zajmuje bowiem szerokość geograficzną mniej więcej pomiędzy 35 a 45 stopniem, oczywiście z racji położenia na antypodach, szerokości południowej. Bardzo podobny jest też, pomimo „wyspiarskiego charakteru” Nowej Zelandii, kształt obu tych krajów. Mieszkańcowi Europy życie w Nowej Zelandii, czyli na półkuli południowej, dostarcza sporych odmienności. Słońce, wstając tu „tradycyjnie” na wschodzie, jest widziane w południe na północy. Zima jest w lecie, a lato zimą, wiosna i jesień odpowiednio uzupełniają ten obraz. W kraju tym żyjemy niejako w przyszłości, wyprzedzając czas europejski o 10 do 12 godzin. Ten piękny kraj jest, zgodnie z powszechną opinią tych,



którzy go widzieli, „światem w pigułce”. Są tu piękne góry, lodowce i jeziora górskie krajów alpejskich, góry, morze i fiordy Norwegii, gejzery, gorące źródła z Islandii czy Parku Yellowstone w Stanach Zjednoczonych, wulkany południowo-wschodniej Azji oraz lasy deszczowe krajów tropikalnych. Spotkać tu można wyjątkowe, unikatowe w skali świata okazy flory i fauny, z dziwnymi ptakami kiwi – symbolem Nowej Zelandii. Rdzenni Nowozelandczycy określają siebie właśnie mianem „kiwi”. Kiwi jest więc synonimem tego, co nowozelandzkie. Pamiętajmy przy tym, że smaczne skądinąd owoce „kiwi”, chociaż powszechnie tu uprawiane, nie są roślinami rodzimymi. *Aktinidia* została tu sprowadzona z Chin, stąd często nazywana jest agrestem chińskim!!!

Nowa Zelandia jest zamieszkiwana przez nieco ponad 4 miliony ludności (4.165 tys. wg stanu na koniec grudnia 2006 roku). Skład etniczny kraju, to: osadnicy europejscy, ze zdecydowaną przewagą osób pochodzenia brytyjskiego – stanowiący około 80% ludności, Maorysi, rdzenna ludność Nowej Zelandii – z udziałem 10%, oraz Polinezyjczycy z Oceanii (głównie z Samoa) i Azjaci (łącznie około 10%).

Swą współczesną nazwę zawdzięcza Nowa Zelandia holenderskiemu podróżnikowi i odkrywcy Abelowi Tasmanowi oraz holenderskim kartografom. Odkryty ląd został przez nich nazwany Nova Zeelandia, na pamiątkę Zeelandii, jednej z holenderskich prowincji. Odkrycie Tasmana miało miejsce w trakcie jego pierwszej ekspedycji po południowym Pacyfiku. Po opłynięciu Australii i Tasmanii dotarł on, 13 grudnia 1642 roku, do wybrzeży nowego lądu. Przy próbie wysadzenia załogi na brzeg jedna z łodzi została zaatakowana przez tubylców. Pociągnęło to za sobą śmierć czterech członków załogi. Wydarzenie to miało miejsce u wybrzeży Wyspy Północnej, w Złotej Zatoce (*Golden Bay*), 18 grudnia. Po tym wydarzeniu Abel Tasman, określający to miejsce jako *Murderers's Bay*, odpłynął. Kolonizacja wysp zaczęła się 127 lat później, kiedy w 1769 Nowa Zelandia została ponownie odkryta przez brytyjskiego podróżnika i badacza Jamesa Cooka. Pierwsze kilkadziesiąt lat to czas konfliktów między Maorysami a brytyjskimi kolonizatorami. Dopiero 6 lutego 1840 roku podpisano porozumienie pomiędzy 500 przywódcami maory-

skich plemion a reprezentacją brytyjskiej korony. Był to „Traktat Waitangi”, uważany przez historyków za dokument tworzący Nową Zelandię. Na pamiątkę tamtego wydarzenia, co roku, w dniu 6 lutego obchodzi się święto narodowe „Waitangi Day”. Jednak podpisanie porozumienia nie zakończyło sporów między Maorysami a Europejczykami. Dochodziło między nimi do wielu zbrojnych potyczek, które w II połowie XIX wieku przekształciły się w dwie krwawe wojny przegrane przez Maorysów.

Opierając się na stosunkowo bogatych danych na temat Polonii nowozelandzkiej, przyjmuje się, że liczy ona około trzech i pół tysiąca osób. W działalności polonijnej bierze udział kilkuaset spośród nich.

Historia Polaków w Nowej Zelandii rozpoczyna się w roku 1772, kiedy to kapitan James Cook odbył swoją drugą wyprawę do Nowej Zelandii na statku HMS Resolution. W podróży tej towarzyszyło mu dwóch polskich botaników: Jan Rajnold (Johann Reinhold) Forster, którego matka była Polką, i jego syn Jan Jerzy Adam (Johann Georg) Forster. Rodzina Forsterów pochodziła ze Szkocji. W roku 1642 wyemigrowała do Polski i osiedliła się w Tczewie, gdzie obaj Fosterowie się urodzili (by później przenieść się do Gdańska). Wspomnienia z podróży utrwalił Johann Georg Forster w swej książce „A Voyage Round the World...” (Londyn 1777). Warto dodać, że Johann Georg był w latach 1784–87 profesorem uniwersytetu w polskim wówczas Wilnie i radcą dworu króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Kolejnym rodakiem, który trafił do Nowej Zelandii, był pochodzący z Augustowa Edward Fergus (1803–1853). Opuścił on Polskę jako emigrant polityczny po upadku powstania listopadowego 1830–31. Najpierw był w służbie gubernatora francuskiej Gwadelupy na Morzu Karaibskim, a stamtąd w 1834 roku wraz z francuskim baronem Charlesem de Thierry wyruszył na wyspy Pacyfiku w celu organizowania nowego państwa złożonego z Nowej Zelandii i wysp Pacyfiku. W stopniu pułkownika organizował armię tego planowanego „państwa”, złożoną m.in. z nowozelandzkich Maorysów.

Innym znanym Polakiem, który w 1839 roku odwiedził Nową Zelandię, był Edmund Strzelecki. Spędził on 3 miesiące w Hokianga i w Bay of Islands w dro-

dze z Tahiti do Australii, gdzie zdobył najwyższą górę tego kraju i nazwał ją Górą Kościuszki.

W 1864–65 przebywał w Auckland i okolicy pisarz i podróżnik Sygurd Wiśniowski. Owocem jego pobytu była powieść z dziejów Nowej Zelandii „Dzieci królowej Oceanii” (1877). W książce, mającej cechy autobiograficznego pamiętnika, z sympatią przedstawił walki nowozelandzkich Maorysów z kolonizatorami angielskimi. Była to pierwsza w literaturze polskiej książka o Nowej Zelandii, napisana z autopsji. Znalazły się w niej między innymi tłumaczenia pieśni maoryskich. W dobie uzyskiwania równych praw przez Maorysów, w 2. połowie XX wieku (!!!), książka Wiśniowskiego została przetłumaczona na język angielski i wydana w Auckland w 1972 roku pod tytułem „Tikera or Children of the Queen of Oceania”.

W Nowej Zelandii byli również: podróżnik Stefan Pawlicki w 1858 roku; podróżnik i etnograf Jan Stanisław Kubary w 1875 roku; hrabia Władysław Zamoycki w 1881 roku (przywiózł on do Polski z tej podróży ciekawe zbiory etnograficzne); znany malarz polski Aleksander Laszenko w 1904 roku; podróżnik Ryszard Błotnicki w 1912 roku; wybitny etnolog, antropolog społeczny i socjolog Bronisław Malinowski, któremu w 1936 roku Królewskie Towarzystwo Nowozelandzkie nadało honorowe członkostwo. 5 listopada 1936 wpłynął do portu w Auckland na swym liczącym zaledwie 6,4 m długości jachcie „Farys” znany żeglarz polski Erwin Weber, po 8-miesięcznej podróży, rozpoczętej w Papeete na Tahiti. Wówczas to po raz pierwszy polska flaga załopotała w jakimkolwiek porcie nowozelandzkim. Można tu dodać, że w 2. połowie XIX wieku zawijały do portów nowozelandzkich statki o polskich nazwach „Mazeppa” i „Vistula” (Wisła) (nie wiadomo jednak, kto i dlaczego takie nazwy im nadał).

U schyłku XIX wieku symbolem emigracyjnej Polski był w Dunedin i Otago książę Alojzy Lubecki, powstaniec listopadowy, urodzony w 1801 roku. Dotarł tu wraz z żoną, Angielką Laurą Duffu, w 1863 roku i zmarł w rok później w Dunedin. Na bramie jego domu umieszczony był napis „Kłodno”, na pamiątkę miejscowości, pod którą powstańcy wygrali jedną z bitew.

Najbardziej znanymi polskimi poszukiwaczami złota w Nowej Zelandii byli

Michał Kassysusz (zmarły w Poznaniu w 1891 roku) i Samuel Edward Szremski (zmarły w 1902 roku). Pierwszy dorobił się wielkiej fortuny na polach złotodajnych Ross Creek. Był on współzałożycielem miasta Hokitika, będąc też właścicielem hotelu „Duke of Edinburgh” oraz teatru. Z racji majątku był nazywany „Rothschildem Hokitiki”. Także pochodzący z Poznania Szremski (Shrimski, Szrimski?) stał na czele komitetu budowy gimnazjum w Waitaki, w 1871 roku został burmistrzem Oamaru, w latach 1876–85 był posłem do Izby Reprezentantów, a następnie aż do śmierci – członkiem izby wyższej parlamentu, tzw. Rady Ustawodawczej. Ciekawą grupę Polaków odwiedzających Nową Zelandię stanowili muzycy. Jako pierwszy koncertował tu w 1898 roku znany pianista Antoni Kątski podczas podróży artystycznej dookoła świata, odbytej w latach 1897–99. W 1921 roku występowali w Nowej Zelandii utalentowany skrzypek Daniel Melsa i pianista Andrzej Skalski. W 1924 roku koncertował tu pianista Mieczysław Munz, a w 1927 roku sam mistrz Ignacy Paderewski.

Rok 1872 zapoczątkował polską emigrację zarobkową do Nowej Zelandii. Fakt ten związany jest z zawinięciem do Christchurch (do portu w Lyttelton) niemieckiego statku „Friedburg” z pierwszymi polskimi osadnikami na pokładzie. Liczba Polaków, którzy osiedlili się w Nowej Zelandii w XIX i XX wieku, jest nieznana. Na 123 lata, pomiędzy rokiem 1795 i 1918, Polska zniknęła z mapy świata, podzielona pomiędzy Rosję, Prusy i Austrię. Dlatego Polacy przybywający w tym czasie do Nowej Zelandii bardzo rzadko byli uznawani za Polaków. Zazwyczaj byli klasyfikowani w oficjalnych zapisach jako Niemcy, Rosjanie lub Austriacy, czasami jako Prusacy i tylko bardzo rzadko jako niemieccy Polacy albo rosyjscy Polacy.

W tym samym 1872 roku liczna grupa emigrantów polskich osiedliła się w rejonie Dunedin – w Greytown (dziś Allanton) i Waihoła. W latach 1875–79 istniała kolonia polska w Jackson’s Bay na zachodnim wybrzeżu Wyspy Południowej. Z powodu trudnych warunków bytowania wielu jej mieszkańców przeniosło się do Hokitika. W 1876 roku grupa emigrantów polskich osiedliła się najpierw w Wellington, a potem w Inglewood na Wyspie Północnej. Według ocen historyka Polonii nowozelandzkiej J. W.

Pobóg-Jaworskiego, w latach 1872–1883 do Nowej Zelandii przybyło około 1000 emigrantów polskich, głównie z zaboru pruskiego (przeważnie Kaszubów). Wobec ograniczenia napływu emigrantów polskich przez władze nowozelandzkie, do 1914 roku przybyło ich do „kraju kiwi” już tylko 500. W 1921 r. w Nowej Zelandii mieszkało 399 osób urodzonych w Polsce (109 w Wellington, 82 w Taranaki, 71 w Auckland, 53 w Otago, 30 w Canterbury) i 1620 osób z polskich rodziców. Są to dane uzyskane na podstawie spisu ludności z 1921 roku. W kolejnych latach 1921–45 przybyło z Polski do Nowej Zelandii ok. 650 osób, głównie Żydów. Kolejny spis, przeprowadzony w 1936 roku, wykazał niestety już tylko 211 Polaków, z których 99 mieszkało w Wellington, a 41 w Auckland.

Ciekawe jest, że Polacy stanowili po Skandynawach najliczniejszą grupę etniczną spośród nie-Anglosasów. Mimo niezbyt dużej liczby, Polacy zasłużyli się w rozwoju Nowej Zelandii, prowadząc szereg pionierskich prac, takich jak np. osuszanie błot, karczowanie lasów, uprawa warzyw, budowa dróg i kolei. Byli także współzałożycielami kilku miejscowości i kościołów katolickich, w tym bardzo protestanckim kraju.

Pozbawieni polskich księży, organizacji i szkół Polacy ulegali szybkiej asymilacji, tym bardziej, że także i biskupi nowozelandzcy taką asymilację popierali. Pomimo tych niesprzyjających warunków jeszcze w 1958 roku najstarsi Pola-

cy znali nieco język kaszubski. W Otago, w okolicach Dunedin zachowało się wiele polskich nazwisk, takich jak: Kowaleski, Smolenski, Drawicki, Wysocki, Beleski, Groinski, Dombrowski czy Pedofski, a osoby je noszące podkreślały swoje polskie pochodzenie.

Można powiedzieć, że nieco paradoksalnie, wybuch II wojny światowej, upadek państwa polskiego w 1939 roku i przychylny stosunek Nowozelandczyków (do spraw polskich) przyczyniły się do zjednoczenia i zmobilizowania, na rzecz sprawy polskiej, nielicznej Polonii nowozelandzkiej. Po raz pierwszy w jej dziejach powstała polska organizacja. Była nią założone w Wellington, w 1941 roku, Stowarzyszenie Polaków pod prezesurą Michała Borrina. Rozpoczęło ono działalność o charakterze informacyjnym, przyczyniając się znacznie, wspólnie z Komitetem Pomocy Ofiarom Wojny, do spopularyzowania wśród Nowozelandczyków pomocy polskim ofiarom wojennym i jeńcom oraz żołnierzom na Bliskim Wschodzie. Jednak przede wszystkim zainteresowano władze nowozelandzkie losem zesłańców polskich w Związku Sowieckim.

Wychodzące ze Związku Sowieckiego, w 1942 roku, Wojsko Polskie gen. Władysława Andersa wyprowadziło kilkanaście tysięcy sierot, dla których zorganizowano opiekę w obozach w Persji (Iranie), Indiach, na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Były to w większości polskie sieroty, które utraciły swoich rodziców



po ich deportacji do rosyjskich więzień i obozów pracy. Losem tych dzieci zainteresowano (dużą w tym zasługę miała Pani dr Maria Wodzicka, żona ówczesnego konsula RP w Wellington, hrabiego Kazimierza Wodzickiego) rząd Nowej Zelandii, premiera Petera Fräsera – przyjaciela Polaków, który wyraził zgodę na zapiekanie się do czasu zakończenia wojny kilkuset polskimi sierotami, które wcześniej przebywały w Persji (w Isfahanie).

W kolejnych latach po zakończeniu II wojny światowej zezwolono także na przyjazd z Wielkiej Brytanii około 250 byłym żołnierzom (wraz z rodzinami) Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, które uległy rozwiązaniu w 1947 roku. W latach 1949–52 przybyło do Nowej Zelandii ok. 850 Polaków z obozów w Niemczech i Austrii, dla tzw. „displaced persons” (DP), z których połowę stanowili byli żołnierze wojska polskiego – więźniowie niemieckich obozów jenieckich. Przyjeżdżali oni do Nowej Zelandii na obowiązkowe dwuletnie kontrakty.

Później, do końca lat 70. XX w., do Nowej Zelandii w różny sposób przyjechało 1000–1100 Polaków. W 1966 roku społeczność polską w Nowej Zelandii szacowano na 3–3,6 tys. osób. Większość z nich mieszkała w dużych miastach, przede wszystkim w Wellington i Auckland.

W czasach już nam współczesnych, w latach 70. XX wieku, w wyniku kryzysu polityczno-gospodarczego w PRL Polskę opuściło wiele tysięcy naszych rodaków, których losy rzuciły we wszystkie strony świata. Polityczne i ekonomiczne trudności w Polsce spowodowały napływ ponad 10.000 polskich uchodźców do Austrii. Stanowili oni znaczny ciężar dla gospodarki austriackiej. Austria zwróciła się więc o międzynarodową pomoc do Organizacji Narodów Zjednoczonych. W roku 1981 rząd nowozelandzki udzielił specjalnego pozwolenia na przyjęcie trzech 100-osobowych grup Polaków z austriackiego obozu dla uchodźców. Tym sposobem w latach 1981–83 Nowa Zelandia przyjęła 320 takich osób. W kolejnych latach 1982–98 aż 1333 Polaków z emigracji postsolidarnościowej otrzymało prawo stałego pobytu w Nowej Zelandii. Tym razem wielu z tych Polaków osiedliło się w Auckland. Tylko w latach 1982–83 tamtejsza Polonia podwoiła się liczebnie. W roku 1990 mieszkało w tym największym mieście Nowej Zelandii ok. 500 Polaków. Spis powszechny, przepro-

wadzony w Nowej Zelandii w 1996 roku, wykazał 3222 osoby przyznające się do polskiego pochodzenia.

W sumie w ciągu XIX i XX wieku około 6000 Polaków zdomowało się w Nowej Zelandii.

Zaprezentowane powyżej informacje wskazują na 3 okresy polskiej emigracji do Nowej Zelandii, przypadające na koniec XIX wieku, okres II wojny światowej oraz czas stanu wojennego w Polsce.

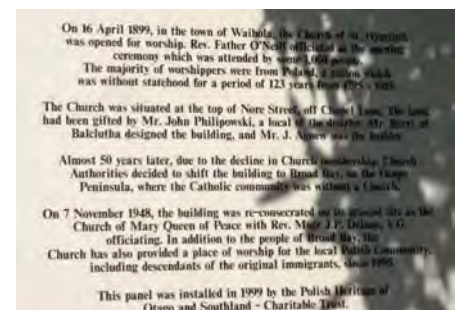
Na wystawie w Politechnice nie sposób było zaprezentować całą, bardzo złożoną i wielobarwną historię polskiej emigracji. Zostały jednak zasygnalizowane ważne fakty związane z pierwszą falą emigracji z końca XIX wieku, a także emigracją czasu wojny i lat bezpośrednio po II wojnie światowej. Wielobarwność Nowej Zelandii ukazują z kolei piękne zdjęcia wykonane przez fotografika Krzysztofa Pfeifera.

Szczególnie wzruszające są pamiątki dokumentujące okoliczności przyjazdu pierwszych emigrantów do Nowej Zelandii i warunki ich życia, w latach 70. XIX wieku. Był to okres zaborów. W czasie kiedy Polska straciła nadzieję na niepodległy byt, rodziła się potęga Stanów Zjednoczonych Ameryki, a okres prosperity przeżywało Zjednoczone Królestwo. Zarówno Ameryka, jak i rozległe kolonie brytyjskie potrzebowały ludzi – wykwalifikowanych specjalistów, robotników i farmerów. Pośrednictwem w zdobywaniu „siły” roboczej zajmowało się wiele specjalizowanych firm. Jedną z nich było biuro Louisa Knorra w Hamburgu. W latach 1871–1873 za pośrednictwem tego biura wyjechało do Nowej Zelandii około 2000 osób. Rząd Nowej Zelandii płacił pośrednikowi, za każdą pozyskaną „głowę”, najpierw 1 funta, a później nawet 5 funtów (z uwagi na konkurencję amerykańską). Dokumenty wskazują na to, że to za pośrednictwem właśnie tej firmy dotarli do Otago jedni z pierwszych polskich osadników. Nie wyklucza się przy tym, że zostali oni oszukani, że oficjalnie oferowano im wyjazd do Ameryki. Osadnicy ci, w liczbie 105, pochodzili z terenów Kociewia i Kaszub – z Trąbek Wielkich i Skarszew. Dotarli oni do Port Chalmers na pokładzie statku „Palmerston” 6 grudnia 1872 roku. Ich podróż trwała zapewne 3 lub 4 miesiące.

Poświęcony im fragment wystawy jest przeniesieniem części ekspozycji z Du-

nedin. Na zdjęciu (str. 15) Pani Cecylia Kłobukowska na tle części eksponatów w The Otago Settlers Museum.

„Pionierzy” z Kociewia zostali skierowani do Greytown (Allanton). W późniejszym okresie część z nich przeniosła się do miejscowości Waihola, gdzie zatrudnieni byli przy budowie linii kolejowej do Invercargill. Znaczne grupy Polaków, przybywających w okresach późniejszych, były też osadzone w miejscowościach Gore i Germantown (co wiąże się z niemieckimi dokumentami przybyszów z zaboru pruskiego) i zatrudniane przy wyrębie lasów i budowie linii kolejowych (do Invercargill i Taieri Gorge Railway). Coraz liczniejsi osadnicy polscy, głównie katolicy, oczekiwali opieki duszpasterskiej. Pierwszym kościołem konsekrowanym w 1899 roku z myślą o „niemieckich Polakach” był kościół w Waihola pod wezwaniem św. Jacka – czczonego w Polsce i na Pomorzu świętego dominikanina (St. Hyacinth). Po latach tenże właśnie kościółek został, w 1948 roku, decyzją władz Diecezji Otago przetransponowany do Broad Bay na Półwyspie Otago.



Po przeprowadzce, spowodowanej brakiem wiernych w pierwotnej lokalizacji, kościółek został ponownie otwarty, już pod wezwaniem Najświętszej Matki Bożej Pokoju. Autor tej relacji miał okazję oglądać jego sympatyczną, skromną, pobieloną konstrukcję, zatrzymując się na

krótki postój w jego sąsiedztwie. Tablica pamiątkowa, ufundowana przez „Polish Heritage of Otago and Southland”, dokumentuje jego polską przeszłość.

Z myślą o polskiej społeczności otwarte też zostały kościoły katolickie w East Taieri (Grange), Graytown i Allanton. Odwiedzając Dunedin wspólnie z Cecylką Kłobukowską, złożyliśmy wizytę na polskim cmentarzu w Allanton, odległym o 30–40 km od Dunedin. Funkcjonujący w tej miejscowości do końca XX wieku kościółek został dekonsekrowany i zamknięty. Kościółka więc nie ma, ale cmentarz pozostał. Polskość tego miejsca potwierdza stosowna tablica ufundowana i umieszczona tam przez Stowarzyszenie Polskie. Tablica upamiętnia fakty z przeszłości, na grobach pojawiają się nazwiska Poleskich, Wroblewskich, Smolenskich...



Istotną część nowozelandzkiej ekspozycji poświęcona jest polskim sierotom przyjętym przez rząd Nowej Zelandii w 1944 roku. Dzieci te, nazywane powszechnie sierotami z Pahiatua, przybyły do tego kraju, ich nowej ojczyzny, na zaproszenie władz, reprezentowanych przez ówczesnego premiera Petera Fraziera. Fotografiami ukazują wojenne i powojenne losy grupy 732 dzieci i 102 ich opiekunów.

Dzieci te, wyprowadzone z Rosji przez generała Andersa, zostały najpierw przetransportowane z Isfahanu w Persji do Bombaju w Indiach, a stamtąd wypłynęły na pokładzie amerykańskiego wojennego okrętu transportowego USS

„General Randel” do Nowej Zelandii. Na statku znalazła się wspomniana grupa 732 (bądź, jak chcą niektórzy kronikarze – 734) polskich dzieci (sierot i półsierot) i 102 osoby personelu opiekuńczego (w tym 52 matki). Po dotarciu do Wellington, 1 listopada, zostały one przewiezione autobusami do Pahiatua i umieszczone w specjalnie przystosowanym obozie (wcześniej obozie dla osób internowanych). Przyjazdowi dzieci polskich do Nowej Zelandii towarzyszył niesamowity entuzjazm ludności cywilnej. Dobrze ilustrują to stare kroniki filmowe. Jadące samochodami sieroty były serdecznie witane przez mieszkańców miejscowości leżących na trasie ich przejazdu. Dzieci uczęszczały do polskiej szkoły, były uczone po polsku przez siostry zakonne, które przybyły razem z nimi z Persji. Kiedy w roku 1945 Polska została włączona do sfery wpływów sowieckich, rząd nowozelandzki dał dzieciom i dorosłym do wyboru pozostanie w Nowej Zelandii lub powrót do Polski. Z 834 uchodźców jedynie 45 osób dorosłych i dzieci postanowiło powrócić do Polski. Jednocześnie rząd nowozelandzki wyraził wówczas zgodę na akcję łączenia rodzin, w wyniku której przybyła do Nowej Zelandii około 500-osobowa grupa Polaków, przebywających dotychczas na Zachodzie, w tym ojcowie niektórych dzieci z obozu w Pahiatua. Obóz został ostatecznie rozwiązany 3 lutego 1949 roku, a dzieci zostały rozesłane do różnych miejsc (szkół katolickich i rodzin) w Nowej Zelandii. Do pracy wśród młodzieży poobozowej przyjechały polskie siostry ze zgromadzenia Urszulanek Szarych, które do 1959 roku miały swój klasztor w Wellington. Wiele młodzieży przebywało bowiem w bursach lub studiowało na uniwersytecie w Wellington. Wojenne i powojenne losy dzieci doczekały się szeregu publikacji. Poniżej angielsko- i polskojęzyczne wspomnienia sierot z Pahiatua.



Jak wspomniano wcześniej, ekspozycję wzbogacają piękne, artystyczne zdjęcia Nowej Zelandii, wykonane przez fotografa Krzysztofa Pfeifera. Uzupełniają też grupa zdjęć autora tej relacji. Przyroda tego dalekiego kraju jest niesamowita. Na każdym kroku podziwiamy wspaniałe, zapierające dech widoki – góry, lodowce, jeziora, gejzery, fiordy, lasy deszczowe i wiele innych atrakcji. Istny świat w pigułce.

Mam nadzieję, że wystawa wzbudzi (wzbudziła) duże zainteresowanie zarówno pracowników Politechniki Gdańskiej, jak i szerokich rzesz mieszkańców Gdańska i Pomorza. Wszak w ogromnej mierze wiąże się ona z historią ludzi, z tego właśnie regionu, którzy przed stu kilkudziesięciu laty wyruszyli w świat w poszukiwaniu swej nowej, nieznannej ojczyzny. Znaleźli ją na przysłowiowym końcu świata.

Wystawa jest głównie zasługą Ambasady Nowej Zelandii w Polsce, która scaliła ekspozycje z kilku muzeów nowozelandzkich i sprowadziła je do naszego kraju. Organizatorką i dobrym duchem wystawy, we wszystkich miejscach jej ekspozycji w Polsce (w Warszawie, Starogardzie, Gdańsku i Krakowie – na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz na KUL w Lublinie – dokąd wystawa zostanie przeniesiona z Gdańska), była Pani Cecylia Kłobukowska, aktualna przewodnicząca i członek założyciel Polish Heritage of Otago and Southland. Jej zaangażowanie i upór doprowadziły do prezentacji wystawy w kilku miejscach Polski. Piękna ekspozycja na dziedzińcu północnym Politechniki Gdańskiej – to wspólna zasługa Urzędu Miasta Gdańska i Politechniki Gdańskiej.

To co oglądamy jest niezwykle ciekawą lekcją historii, ukazującą mało znane losy emigrantów z XIX wieku i wzruszających przeżyć polskich sierot z II wojny światowej – dzieci z Pahiatua. Jako widz, przeżywający tę wystawę bardzo emocjonalnie, składam wszystkim, którzy mieli udział w jej organizacji, serdeczne podziękowania.

Józef Woźniak

Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Opracowano na podstawie:

1. M. Kałuski: Polacy w Nowej Zelandii. Oficyna Wydawnicza Kucharski, Toruń 2006
2. J. W. Pobóg-Jaworowski: History of the Polish settlers in New Zealand. CHZ – Ars Polona – Warszawa, 1990



Jubilat w potrzebie

Historia jest świadkiem czasu, światłem prawdy, życiem pamięci i zwiastunką przyszłości.

Marcus Tullius Cicero (106–43 pne.)

12 października odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa „150 lat historycznego mostu przez Wisłę w Tczewie”, zorganizowana przez Starostwo Powiatowe w Tczewie i Politechnikę Gdańską. Program obejmował trzy części: obrady w Centrum Kultury i Sztuki w Tczewie, wystawę filatelistyczną z okolicznościowym datownikiem i kartkami pocztowymi w Centrum Wystawienniczo-Regionalnym Dolnej Wisły oraz odsłonięcie pomnika i tablicy informacyjnej na



Witold Sosnowski, starosta tczewski

Bulwarze nad Wisłą. W części pierwszej JM Rektora reprezentował **prof. Krzysztof Wilde**, dziekan Wydziału Inżynierii Lądowej i Środowiska, a podczas uroczystości odsłonięcia kamienia pamiątkowego – **prof. Ryszard Katulski**, prorektor ds. nauki. Pani **Teresa Bascue** z Biura ds. Bezpieczeństwa Regionalnego (Regional Security Office) Ambasady USA w Warszawie wygłosiła obszernie przemówienie o treści znacznie wykraczającej poza przypadek mostu Tczewskiego, traktując tę budowlę jako pretekst do daleko idących przenośni i hiperbol w wymiarze globalnym. Fragmenty tego wystąpienia cytuję we własnym przekładzie pod kolejnymi śródtytułami. Zaproszeni prelegenci zaprezentowali 12 referatów, które ukażą się w specjalnym wydaniu Zeszytów Naukowych Politechniki Gdańskiej. Będzie to pierwsza monografia tego unikatowego w skali świata zabytku inżynierii budowlanej.

Most Tczewski tkwi w historii tej krainy, a właściwie krain, gdyż stoi pomiędzy Kociewiem a Żuławami, wrośnięty w tutejszy krajobraz niby wieża Eiffla – też z żelaza, ale młodsza o ponad 30 lat – w Paryżu. Wiedzą o niej chyba wszyscy, kojarząc tę charakterystyczną sylwetkę z miejscem, którego stała się symbolem. A co jest symbolem Tczewa? Zobaczmy wkrótce, gdyż do 31 grudnia 2007 r. trwa konkurs na logo miasta w związku z jego 750-leciem w 2010 r.; regulamin dostępny na www.tczew.pl. Zaangażowanie pracowników Politechniki

Gdańskiej w sprawę mostu Tczewskiego trwa od ponad dziesięciu lat. Zechciał to podkreślić **prof. Edmund Wittbrodt** w przemówieniu otwierającym obrady, a miał ku temu szczególne powody, gdyż patronował pierwszym konferencjom z cyklu „Gdańsk Outlook” w 1993 r. i 1995 r., współprzewodniczył z prof. Zbiegniewem Cywińskim międzynarodowej konferencji „Preservation of Engineering Heritage – Gdańsk Outlook 2000” w 1999 r. oraz przewodniczył kolejnej w 2005 r. pt. „Heritage of Technology – Gdańsk Outlook IV”. Pierwsza (zobacz Pismo PG 7/2000) wprowadziła w międzynarodowy obieg informacje o moście. Pozyskane wówczas opinie renomowanych ekspertów zagranicznych (prof. Alan Prasuhan, ASCE, USA; Mark Watson, Historic Scotland, UK) utwierdziły się w zasadności podjęcia starań o uznanie mostu Tczewskiego za zabytek w rozumieniu polskiego prawa (trzy przęsła 1851–1857, nr rej.: A-1210, 21 marca 2000 r.) oraz za międzynarodowy zabytek inżynierii budowlanej wg procedury amerykańskiego stowarzyszenia inżynierów budownictwa ASCE, uznawanej w środowisku konserwatorów i zabytkoznawców dziedzictwa techniki niejako za przepustkę legitymującą starania o wpis na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO (w Polsce niezbędne jest uprzednie uzyskanie dla zabytku tytułu Pomnika Historii). Wniosek został przyjęty przez The History & Heritage Committee bez zastrzeżeń i już podczas następnej konferencji



Prof. Krzysztof Wilde, dziekan Wydziału Inżynierii Lądowej i Środowiska



Prof. Wieland Ramm i prof. Edmund Wittbrodt otrzymują okolicznościowe upominki z rąk prezydenta Tczewa Zenona Ody i starosty tczewskiego Witolda Sosnowskiego

mogła odbyć się ceremonia odsłonięcia stosownej tablicy umocowanej na zabytkowej konstrukcji od strony przyczółka Lisewskiego z udziałem przedstawiciela UNESCO (zobacz: Pismo PG 6/2005). Zresztą Polski Komitet ds. UNESCO patronował konferencji z cyklu „Gdańsk Outlook”. Dzisiaj właściwa informacja o zabytkowym moście Tczewskim widnieje na wielu wiarygodnych stronach internetowych:

<http://en.structurae.de>

<http://www.international.icomos.org>

<http://www.brueckenweb.de>

<http://www.asce.org/history/landmark/>

Nie jest przesadą stwierdzenie, iż interpretacja i popularyzacja wartości kulturowych mostu Tczewskiego przez specjalistów z Politechniki Gdańskiej pomogła władzom samorządowym w pozyskiwaniu środków finansowych na konieczne roboty budowlane, dzięki czemu most otwarto ponownie w 2001 r., po okresie całkowitego wyłączenia z użytkowania. Notabene, aby uczestnicy konferencji we wrześniu 1999 r. mogli naocznie poznać szczegóły konstrukcyjne przęsła, trzeba było uzyskać pozwolenie władz, wykonać niezbędne prace zabezpieczające, a sam spacer po moście wykonać w asyście policji. Wówczas mostowi Tczewskiemu groziło powtórzenie sytuacji z Wyszogrodu, gdzie tamtejszy most drewniany przez Wisłę – jak powiadano, najdłuższy w świecie – rozebrano, pozbawiając Polskę tego inżynierskiego kuriozum i niewątpliwiej atrakcji tu-

rystycznej. Ponadto w obu przypadkach budowniczości byli obcej proveniencji narodowej.

Świadek czasu

Wszystkie zaprojektowane i rozmieszczone w konstrukcji elementy wzajemnie od siebie zależą. Jeżeli jeden zawiedzie, cała struktura zawodzi. W międzynarodowych koalicjach, każdy element, bez względu na to, jak istotną rolę, przypisuje mu budowniczy, jest ważny dla utrzymania jedności i stabilności niezbędnych do przetrwania w czasie.

Prof. Wieland Ramm z Kaiserslautern Universität w Niemczech sprawił, że Wydział Inżynierii Lądowej i Środowiska posiada wyjątkowy dar – 50 plasz obrazujących dzieje starych mostów przez Wisłę w Tczewie i Malborku. Wspominał o tym z satysfakcją dziekan Wydziału w swoim wystąpieniu, dodając, iż czujemy się zobowiązani do popularyzacji wiedzy o dziedzictwie naszego zawodu, szczególnie zaś obiektów pomorskich. I chociaż mogłoby wydawać się, że wiemy już wszystko o jubileacie, to, jak się okazało, już pierwsze referaty przyniosły nowe wiadomości. Prof. W. Ramm podał, że Ekspres Północny na trasie Paryż – Sankt Petersburg prowadził wagony do Warszawy (przez Tczew), a podróż trwała 52 godziny. Znaczenie tczewskiej i malborskiej przeprawy dla współczesnych jasno wyraził Heinrich Dönhoff, właściciel majątku pod Królewcem, dziadek znanej dziennikarki Marion Dönhoff (1909–2002)

słowami „Jakąż nieobliczalną korzyścią są te mosty dla naszych biednych stron. Jedynie ten, kto był podróżował w swej młodości do Berlina przez osiem dni i osiem nocy bez przerwy, może docenić ten dzisiejszy niezwykle postęp”.

Prof. Ward (Nick) Marianos z University of Missouri-Rolla w USA poświęcił swoją prezentację Ithielowi Townowi (1784–1844), amerykańskiemu inżynierowi i architektowi, którego pracowite życie zaowocowało dobrym źródłem dochodu – patentem z 1820 r. na drewniany dźwigar kratowy, który stał się „jedną z pierwszych standaryzowanych i podstawowych struktur inżynierii budowlanej, co w wyniku doprowadziło do powstania wielu różnych systemów dźwigarów”. Prostota pomysłu zachęcała do niekontrolowanego naśladownictwa bez wnoszenia opłat licencyjnych, więc Town głosił, iż „rysunki i zalecenia, wynikające z praktycznego doświadczenia, są nieodwołalnie konieczne do budowy mostu czy akweduktu w najbardziej właściwy i możliwie najlepszy sposób”. No i zgromadził fortunę, pobierając 1 dolara za jedną stopę długości mostu. Most Tczewski jest jakby przeniesieniem pomysłu Towna z budulca drewnianego na materiał hutniczy – blachy, płaskowniki i kątowniki żelazne.

Dźwigar kratowy Towna twórczo przysposobili w Tczewie projektant Carl Lentze (1801–1883), konstruktor Rudolf Eduard Schinz (1812–1855) oraz architekt Friedrich August Stüller (1800–1865). Postać tego ostatniego przybliżyła pani **Dagmara Wołodźko**, konserwator dyplomowany z Torunia, poprzez wnikliwą analizę



Dagmara Wołodźko, konserwator dyplomowany z Torunia



Jubilat w latach swojej świetności – rycina ze zbiorów Biblioteki Gdańskiej PAN

formalną oraz studium dorobku tego naddworkiego architekta oraz przyjaciela króla Prus. Za odkrywczy uznać można wniosek, iż zdwojone wieże wzniesione na wszystkich filarach miały funkcję estetyczną – pokonać monotonię kratowego pasma ciągnącego się na ponad osiemset metrów nad zupełnie płaskim terenem. Ponieważ wówczas nie można było porównać tej konstrukcji z czymkolwiek podobnym w świecie, więc zdecydowano się na wprowadzenie monumentalnych elementów pionowych w stylu neogotyckim, przy czym nie bez znaczenia było sąsiedztwo zamku malborskiego.

Prof. Bolesław Mazurkiewicz zadał sobie trud przeprowadzenia kwerendy źródeł nt. fundamentów pod filary mostu Tczewskiego. Wnioski są zdumiewające, otóż budowla ta jest w prostej linii kontynuacją znamienitego dorobku starożytnej inżynierii rzymskiej. Do naszych czasów dotrwały realizowane przez dwoma tysiącami lat budowle, jak np. most Fabrycjusza zachowany w całej swojej integralności oraz inne mosty, przebudowywane wielokrotnie w dziejach, ale stojące wciąż na tych samych pierwotnych podstawach. Tak więc możemy zachwycać się niby-starożytnym dziełem hydrotechnicznym na Pomorzu, które kryją fale Wisły. Jak dobrze je obmyślono i jak rzetelnie wykonano, świadczy samo za siebie, nie ulegając pochodowi kry i fali powodziowej, o czym mówią annały historii.

Światło prawdy

Technologia dźwigara kratowego Ithie-la Towna, amerykańskiego architekta i projektanta mostów, została tutaj znakomicie użyta, co dzisiaj udowodniono. 150 lat później, nasza wzajemna wymiana handlowa osiągnęła wartość 4,1 mld USD; liczne firmy amerykańskie – Dell Computer, Sikorsky Helicopters, Goodyear Tire, żeby wspomnieć tylko kilka, wybie-

rają Polskę jako miejsce swoich inwestycji na obszarze Unii Europejskiej. Zatrudniają one ponad 120 tysięcy obywateli polskich, a liczba ta codziennie wzrasta.

Dr Maria Pelczar, dyrektor Biblioteki Gdańskiej PAN, pokazała uczestnikom konferencji małą fragment zbiorów tej instytucji, bezpośrednio i pośrednio związanych z mostem Tczewskim. Na opracowanie czekają liczne fotografie, w tym zbiór dokumentujący odbudowę mostu kolejowego podczas II wojny światowej. Tczewskie dzieło mostowe nie było budowlą samą w sobie, ale wielkim przedsięwzięciem inwestycyjnym, rozpoczętym już w 1844 r. Pierwszy etap stanowiły prace regulacyjne koryta Wisły na odcinku Gniew-Tczew. Ale na tymże odcinku znajdował się najbardziej newralgiczny węzeł wodny – Cypel Mąkowski wcinający się pomiędzy Wisłę i jej prawe ramię Nogat. Niekontrolowany spływ kry i wysokiej wody corocznie



Dr Maria Pelczar, dyrektor Biblioteki Gdańskiej PAN

groził powodzią i zmianą koryt, decydując o ich splawności. A od tego zależała gospodarka handlowa Gdańska i Elbląga. Rozpoczęcie budowy Wielkiego Upustu w Białej Górze i kanału przelewowego Wisła-Nogat w Piekle włączyło w projekt mostu Tczewskiego tereny znacznie od niego odległe. A po zbudowaniu drugiego mostu kolejowego zakres ten sięgnął Gdańska w związku z przedsięwzięciem wielkiego Przekopu Wisły. Zaś to dzieło z kolei przywołało budowlę śluz w Przegalinie i Gdańskiej Głowie. Przez dziesięciolecia nieustannie waloowano, przebudowywano wały przeciwpowodziowe, likwidowano szkody i rozwijano gospodarkę rolno-spożywczą na żyznych Żuławach wraz z siecią transportu drogowego (mosty zwodzone) i kolejowego (mosty obrotowe). W ujęciu geograficznym most Tczewski był zaledwie załącznikiem rozległych przeobrażeń krajobrazu kulturowego, wśród których ewenementem na skalę europejską jest Nizina Walichnowska (Pismo PG 6/2006).

Okres rozpoznawania problematyki mostu Tczewskiego mamy już za sobą. Teraz uwagę wypada poświęcić sąsiednim mostom. I tak uczynił **prof. Zbigniew Cywiński**, prezentując powojenne dzieje mostu kolejowego w Tczewie. Z pierwotnego dzieła J. W. Schwedlera (1823–1894) z 1891 r. pozostały tylko fundamenty i sentyment do kolorowych pocztówek z tą niewątpliwie malowniczą budowlą. Ale ona przeminęła! Jendakowoż to, co widzimy dzisiaj, także jest warte uwagi. Most kolejowy to dziesięć przęseł, w tym cztery powojenne, zaprojektowane przez inż. Konrada Liśkiewicza (1911–1971) jako kratownice ze stali St 52, o parabolicznym niezbieżnym pasie górnym i rozpiętości 128,60 m; są to pierwsze konstrukcje stalowe o tak dużej rozpiętości zaprojektowane i wykonane w Polsce, co jest ważnym przyczynkiem do dziejów krajowego mostownictwa. Jest i trzeci most, po którym biegnie droga krajowa nr 22., zwany Knybawskim od miejscowości Knybawa nieopodal Tczewa, zbudowany przez Niemców na początku II wojny światowej. Projektantem był Friedrich Tamms (1904–1980), prominentny przyjaciel Alberta Speera i twórca prestiżowych dla III Rzeszy obiektów, aktywny zawodowo do lat 70. XX w. Historię mostu Knybawskiego przedstawił pan **Adam Samulewicz** z Tczewa.

Życie pamięci

Od czasów wzniesienia fundamentów tego mostu ok. trzech milionów Polaków wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych, a dzisiaj przynajmniej 10 milionów Amerykanów z dumą przyznaje się do swoich polskich korzeni. Współpraca, wzajemny szacunek, uczciwość i jedność, niby elementy tego kratowego mostu, tworzą warunki długotrwałej wytrzymałości i stabilności.

Dzieje trzech mostów przez Wisłę w Tczewie wiążą się nierozdzielnie z wydarzeniami 1 września 1939 r. Omówił je pan **Kazimierz Ickiewicz** z Tczewa. Mogłoby się wydawać, że wszyscy znają już tę opowieść, ale tak nie jest. Znana jest ona być może lokalnie, tu na Pomorzu Nadwiślańskim, gdzie z miejscami wiąże się dzieje ludzi znanych – rodzin, bliskich, znajomych. Np. mój pradziadek, czekając na pociąg do Gdyni na tczewskim dworcu, zginął w ową tragiczną noc... Gdy pytam studentów, co też nadzwyczajnego wydarzyło się w Tczewie 1 września 1939 r., widzę zdziwione miny i nie otrzymuję odpowiedzi. A przecież historia niemieckiego podstępu, niepowodzenia, a później śmiertelnego odwetu na Polakach, pogrzebanych w Szymankowie, jest warta opowieści i powtarzania.

Pan **Mariusz Wiórek** z Tczewa zadał sobie trud identyfikacji śladów krajobrazowych związanych z powstawaniem historycznego mostu. W Knybawie zidentyfikował prawdopodobne miejsce wydobycia gliny do wypalania charakterystycznej żółtej cegły klinkierowej, którą są licowane filary i z której wzniesiono wieże. Trafił na zagłębienie w skarpie wysoczyzny nadwiślańskiej, gdzie być może znajdował się wjazd do podziemnego tunelu, którym cegłę tę transportowano na brzeg Wisły, by stąd spławiać na plac budowy. Wizerunek tego tunelu pan **Józef Golicki** zamieścił w albumie „Tczewskie mosty przez Wisłę. 150 lat historii”, którego premiera odbyła się podczas konferencji. M. Wiórek odnalazł także znak producencki elementów ESTB, stanowiących obecnie dwa pierwsze przęsła mostu od strony przyczółka tczewskiego – jest to nieistniejąca już dzisiaj brytyjska firma Dorman, Long & Co. Ltd. z Middlesbrough, ta sama, która w 1932 r. zbudowała kolosalny most portowy w Sydney, dziś bardziej znany jako tło popularnych widoków budynku opery.

Zwiastun przyszłości

Niech mi wolno będzie zakończyć wyznaniem wiary w długie i żywotne partnerstwo polsko-amerykańskie, mające, jak ten tczewski most przed nami, mocne fundamenty i wszystkie elementy potrzebne silnemu i bezpiecznemu mostowi, co dobrze rokuje na przyszłość.

Dzisiaj wiemy już wiele o moście Tczewskim. Zachwycił nas, jak sędziwy świadek, który przemówił. Ale aby nadal trwał, pilne są niezbędne działania ratownicze, bo – jak poinformował zebranych pan **Maciej Malinowski**, konstruktor mostowiec – zużycie niektórych elementów osiągnęło 100%. Grozę wzbudziły ilustracje tego stwierdzenia, pokazujące nieciągłość materiału, czyli ubytki pełnego przekroju na sporej długości. Był to już prawie koniec obrad i to przesłanie powinno poruszyć decydentów. Wydaje się, że właściciel mostu, reprezentowany przez Starostwo Powiatowe w Tczewie, nie jest w stanie sprostać kosztom utrzymania w eksploatacji tego kolosa, ale przecież skarb państwa to coś ponadpowiatowego... Przed władzami samorządowymi wyzwania, a przed środowiskiem naukowym wizja wielodyscyplinarnego programu naukowo-badawczego, który obejmie zabytki inżynierii budowlanej, czy ogólnie techniki, obszaru Deltę Wisły, zbada ich wzajemne powiązania według kanonu społeczno-gospodarczej historii techniki oraz analizy przeobrażeń krajobrazowych. To już była kon-

kluzja mojej prezentacji inspirowanej koncepcją zrównoważonego dziedzictwa kultury. Wspiera ją szereg międzynarodowych dokumentów ustanowionych w XXI wieku, że wspomnę jedynie Ramową Konwencję Rady Europy z 2005 r. o społecznej wartości dziedzictwa, redefiniującej to kluczowe w ochronie zabytków pojęcie: **dziedzictwo kulturowe jest to zasób dóbr kultury odziedziczonych z przeszłości, identyfikowanych przez ludzi, niezależnie od praw własności, jako rezultat oraz wyraz ich wciąż ewoluujących wartości, wierzeń, wiedzy i tradycji; zawiera ono wszystkie skutki środowiskowe, wynikające z oddziaływań między ludźmi a otoczeniem w ciągu dziejów.**

Obrady posumował **prof. Bolesław Orłowski** z Instytutu Historii Nauki PAN. Zaprezentował on panoramę techniki ok. poł. XIX w. z mostem Tczewskim na pierwszym planie: trwa druga faza rewolucji przemysłowej – gwałtowny rozwój kolejnictwa (pierwszą zdominowało upowszechnianie napędu parowego i mechanizacja). Mosty wiszące źle znoszą przejazd pociągu, a budowa mostów murowanych jest kosztowna przy przekraczaniu głębokich rzek o dużej szerokości. Najzdatniejszym rozwiązaniem stały się sztywne przęsła w postaci belki, ale nie rurowej, jak mostu Britannia, gdyż ta zużywa zbyt wiele żelaza. Tak więc względy ekonomiczne wymuszają konstruowanie kratownic i ich ciągły rozwój, szczególnie gdy hutnictwo oferuje wielkowi-



Makieta niezachowanej bramy portalowej mostu Tczewskiego, wykonana przez uczniów Zespołu Szkół Kolejowych w Tczewie z okazji Międzynarodowej Konferencji „Preservation of Engineering Heritage – Gdańsk Outlook 2000”, eksponowana na dziedzińcu Centrum Wystawienniczo-Regionalnego Dolnej Wisły w Tczewie

miarowe profile stalowe (Henry Bessemer patentuje swój proces w 1855 r.). Ale to następuje dopiero w kilkanaście lat po wzniesieniu mostu Tczewskiego. Tak więc staje się on kamieniem milowym rozwoju światowego mostownictwa, a fakt jego zachowania (trzech przęseł z sześciu) czyni dziś Tczew miejscem szczególnie, gdzie można obejrzeć **autentyczne arcydzieło inżynierii – zabytek jedyny w swoim rodzaju w świecie.**

PS. Po konferencji w opustoszałej sali tczewskiego Centrum Kultury i Sztuki przysiedliśmy na chwilę razem: pan Witold Sosnowski, starosta tczewski, pan Mariusz Wiórek, mój lokalny partner we wszystkich dotychczasowych przedsięwzięciach związanych z mostem Tczewskim, i ja – już po wszystkim, u! Właśnie świętowałem dwadzieścia lat pracy na Politechnice Gdańskiej. I tak to jubileusz przedmiotu badań zbiega się z jubileuszem badacza, zdeterminowanego podjętym przed laty „życiowym projektem” – interdyscyplinarnymi studiami nad zrównoważonym dziedzictwem inżynierii budowlanej. Za mną zorganizowanie pięciu międzynarodowych konferencji, ponad sto publikacji, liczne przedsięwzięcia z zakresu popularyzacji zabytków techniki. Czy będzie mi dane to kontynuować?

Waldemar Affelt
Wydział Inżynierii Łądowej i Środowiska

Fot. Jerzy Bieniek

Z teki poezji

Kapryśna rzeka Wierszyk nie tylko dla dzieci

Ty, która na kształt „S” litery
Od wieków mapę Polski dzielisz
(Wybacz, że będę z Tobą szczery)
Już w szkole chcesz nas onieśmielić

Zmuszając do zapamiętania
Twoich dopływów prawych, lewych
I bezbłędnego wyliczania
Miast wszystkich, co nad Tobą leżą

Żeby wymienić tu mniej znane
Na przykład Ustroń, Skoczów, Strumień
(Mówić byłoby zbyt banalne
O grodzie Kraka... Nie, nie umiem...)

Gdy miniesz już wapienie skalne
Krakowskiej ziemi, na wschód gonisz
Mając Tarnobrzeg za przynętę
Sandomierz, co na skarpie stoi
Puławy, Dęblin, gdzie „Orleża”
Stolica (banał mimo woli...)

Sprawdzając urok swego blasku
Tyle miast w Tobie się przegląda
Wyszogród. Płock (Patrz: „Skarpa w Płocku”)
Daleko jeszcze do Grudziądza...

Kapryśna Rzeko! Na Twój temat
Już setne napisano ody:
„Królowa Rzek, co równych nie ma,
Swoje dostojne toczy wody...”
Ale o szkodach nie wspomniano!

A Ty po prostu czynisz szkody:
Gdy tylko marzec słońkiem błysnie
Ty zwykle most pod Wyszogrodem
Łamiesz okrutnie, nienawistnie

Gdy tylko wiosną puszcza lody
Ty wiesz – co robisz... Za to latem
Niby modelka w rewii mody
Obnażasz mielizn złotą łączę

Żeglugę wielce utrudniając
Jak dawniej, kiedy brać flisacza
Do Gdańska z tratwą wyruszając
Musiała pływaczka ciągle baczyc...

Ty zawsze byłaś Wielką Damą:
Gdy nurty Twoje, tak swobodne,
Śmiał ktoś przegrodzić ciężką tamą
Zacząłś zaraz już podwodne
Gromadzić w zemście rumowisko

I straszyc nim mieszkańców Kujaw
Że „W tym zbiorniku leży wszystko,
Nikt nie zna tylko dnia...” Co: „Ubaw”?
Wątpliwe, perspektywa mglista...

(Być może Gremium Naukowe
Coś zrobi w końcu z tym tematem
Na razie tylko w piasek głowę
Chowamy... Lecz co będzie potem?)

Przez wieki mało się zmieniło
„Kapryśna” – oto Twój przydomek
I na nic zda się ludzka siła
By Cię ujarzmić, Ty wciąż swoje:
Zalewasz pola, mostom grozisz
Rwiesz przeciwpowodziowe tamy.
Powiedz nam Rzeko, Jak Ty myślisz,
Za co my Ciebie tak kochamy?

Marek Koralun
Absolwent PG

¹ Utwór tegoż autora pod tym właśnie tytułem

Władza w RP – autorytet czy ...?

Dyskusja młodych w Ratuszu Staromiejskim w Gdańsku 15 października 2007 r.

Jaka jest istota władzy w Polsce? Czy warto, aby młodzi ludzie aktywnie uczestniczyli w życiu publicznym i angażowali się w nie, chociażby poprzez uczestnictwo w wyborach parlamentarnych? Czy ludzie sprawujący najwyższe funkcje w państwie mogą, z uwagi na dzisiejsze realia, być uznawani za autorytety oraz osoby godne szacunku? Na te oraz inne pytania odpowiedzi szukali studenci trójmiejskich uczelni podczas debaty publicznej

„Władza w RP – autorytet czy ...?” zorganizowanej przez Forum Młodych Dyplomatów w Trójmieście oraz Samorząd Studentów Politechniki Gdańskiej.

Debata odbyła się 17 października 2007 r. w Nadbałtyckim Centrum Kultury w Gdańsku.

Przygotowana przez młodych dla młodych, nie miała charakteru agitacji światopoglądowej ani nie zmierzała do wspierania jakiegokolwiek frakcji politycznej.

Była to otwarta dyskusja traktująca o motywach, które skłaniają nas do postępowania wedle obranych przez nas reguł życiowych.

We współczesnym świecie odpowiedzialność za wypowiedziane słowo jest coraz mniejsza. Pod przykrywką anonimowości, za pośrednictwem Internetu oraz innych środków masowego przekazu młody człowiek może wygłosić swoją opinię, nie ponosząc przy tym żadnej konsekwencji. Czytając fora internetowe z jednej strony odczuwamy satysfakcję z wolności słowa, którą wywalczyli nasi dziadkowie oraz ojcowie, a z drugiej zastanawiamy się, gdzie jest granica, która przebiega pomiędzy wolnością a anarchią



Fot. Krzysztof Krzempek

i totalną samowolką. W natłoku różnych informacji i opinii jesteśmy na co dzień skazani na rozmaite wybory, które mają nas ustosunkować do obecnej sytuacji w kraju. Bardzo często charakter tych opinii dystansuje nas od świata polityki z uwagi na olbrzymią agresję, którą świat ten jest przepelniony.

Wątpliwości młodych ludzi starali się rozwiać zaproszeni goście – prof. Janusz Rachoń, rektor Politechniki Gdańskiej, Paweł Huelle, znany pisarz, oraz o. Jacek Krzysztofowicz, przeor klasztoru ojców Dominikanów w Gdańsku. Ich opinie oraz wygłoszone tezy były fundamentem dyskusji, która z każdą chwilą stawała się coraz bardziej ożywiona, a studenci aktywnie zadawali trudne i często niewygodne pytania.

Po debacie uczestnicy zostali zaproszeni na skromny poczęstunek, gdzie mieli możliwość luźniejszej formy wymiany poglądów. Oto opinie kilku z nich.

Anna Bojanowska, przewodnicząca Koła Naukowego Public Relations Wydziału Ekonomicznego UG

– *Autoritet jest w dzisiejszym świecie chaosu i natłoku informacji bardzo istotnym aspektem życia. Podczas debaty swoje stanowiska zaprezentowały osoby o dość zróżnicowanych poglądach, co wyzwoliło w nas – studentach – potrzebę pewnego zastanowienia się, chwili refleksji nad tym, czego poszukujemy, za czym gonimy i jakimi przesłankami kierujemy się podczas podejmowania decyzji... zarówno tych błahych, jak i tych bardzo istotnych. Nie jest dziś łatwo przedstawić swoje zdanie, zwłaszcza gdy znacznie różni się ono od opinii ogólnie*

przyjętej za poprawną. Dyskusja z osobami, które nie boją się wyrażać własnych poglądów oraz ponieść konsekwencji za tym idących, jest bardzo budująca. Pokazała wielu młodym ludziom, że należy ponosić odpowiedzialność za własne słowa, ale przede wszystkim nie bać się mieć własne zdanie – jakiegokolwiek by ono nie było.

Monika Paduch, wiceprzewodnicząca Forum Młodych Dyplomatów w Trójmieście, studentka SGH w Warszawie oraz Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni

– *Uważam, że poniedziałkowa debata była projektem bardzo potrzebnym w trójmiejskim społeczeństwie akademickim. Forum Młodych Dyplomatów chciało pokazać i uświadomić młodym ludziom, że odpowiedzialność za kraj jest również w*

ich rękach. Wydaje mi się, że obecni podczas debaty prelegenci skutecznie wpłynęli na światopogląd młodego pokolenia, dzięki czemu będą oni w pełni świadomi decyzji przez siebie podejmowanych.

Leszek Miazga, student V roku Wydziału Inżynierii Łądowej i Środowiska Politechniki Gdańskiej

– *Bardzo dobrze, że takie debaty mają miejsce. Jeśli dodatkowo odbywają się z inicjatywy studentów, moich rówieśników i kolegów, to jeszcze lepiej. Znaczący to tyle, że my jako młodzież, tak często krytykowana za swoją obojętność wobec życia politycznego i społecznego, interesujemy się nim bardziej niż owi krytycy nam zarzucają. Jako członka społeczności akademickiej bardzo mnie to cieszy.*

Co do samej debaty. Przebieg jej był sprawny, a dyskusja interesująca. Najlepiej zapamiętałem pytanie jednej ze studentek, która to spytała ojca Jacka Krzysztofowicza o to, czy bierze odpowiedzialność za młodych ludzi, dla których może być autorytetem. Czy zdaje sobie sprawę z tego, że jego postawa zniechęca młodych ludzi do wzięcia udziału w wyborach parlamentarnych? Bardzo trafne pytanie, które tak jak i ojciec Jacek spełniło rolę katalizatora dla pozostałych uczestników spotkania.

Przypomnijmy, że Forum Młodych Dyplomatów jest ogólnopolską organizacją pożytku publicznego, gromadzącą ludzi młodych, studentów ostatnich lat oraz absolwentów wielu polskich uczelni, mających sprecyzowane ambicje zawodowe i swoją przyszłość wiążących z pracą w polskiej służbie zagranicznej.



Fot. Krzysztof Krzempek

Członkami FMD są osoby posiadające już doświadczenie w działalności krajowych i międzynarodowych organizacji pozarządowych, pracownicy instytucji Unii Europejskiej oraz polskiej administracji. Celem Forum jest promowanie wiedzy teoretycznej i praktycznej, która zdobyta przez młodych ludzi ma im w przyszłości pomóc w zapewnieniu Polsce silnej i stabilnej pozycji na arenie międzynarodowej.

Zamierzenia te realizowane są poprzez spotkania z czołowymi postaciami międzynarodowej dyplomacji, warsztaty dyplomatyczne, specjalistyczne treningi i szkolenia językowe, udział w krajowych i międzynarodowych konferencjach oraz przez działalność publicystyczną.

Można by zatem postawić pytanie, dlaczego więc młodzi ludzie, skupiający swoją działalność głównie wokół takich

obszarów, jak polityka zagraniczna, stosunki międzynarodowe, dyplomacja – chcą aktywnie włączyć się w politykę wewnętrzną RP? Odpowiedź młodych dyplomatów jest prosta: „Aby godnie reprezentować kraj na zewnątrz, na początku trzeba szanować się wewnątrz”.

*Michał Niedałowski
Uniwersytet Gdański*

Ryzykujcie!

Dnia 15 października gościł na Wydziale Zarządzania i Ekonomii były premier, poseł Parlamentu Europejskiego – Jerzy Buzek. Spotkania ze studentami premier Buzek nie ograniczył tylko do wykładu na temat prac, zasad funkcjonowania Europarlamentu, ale przypomniał również swojej rodziny związki z PG, namawiał gorąco studentów do korzystania ze stypendiów unijnych i myślenia o przyszłości Polski jako kraju o zmniejszającym się przyroście naturalnym.

Ojciec Jerzego Buzka był absolwentem Politechniki Gdańskiej i poprzez ten fakt zawsze czuł się związany z tym miastem. Stąd, również bardzo miło wspominał swoje pobyty na Politechnice Jerzy Buzek – poseł Parlamentu Europejskiego. W 2004 Polacy w pierwszych wyborach do Europarlamentu obsadzili 54 miejsca w 732-osobowym Parlamencie Europejskim – J. Buzek jako kandydat Platformy Obywatelskiej został wybrany 173.389 głosami w okręgu śląskim – wtedy Unia Europejska liczyła 26 krajów członkowskich. J. Buzek z troską przypomniał, że w następnych wyborach będziemy dysponować już tylko 50 miejscami – a to z powodu bardzo niskiego przyrostu naturalnego w Polsce i zwiększaniu się liczby ludności w innych krajach Unii – np. Hiszpanii.

Apel premiera do studentów – „wszystko od was zależy” spotkał się z aplauzem, padały nawet propozycje organizacji dnia rektorskiego, aby ratować zagrożoną pozycję Polski, a z pierwszych ław, w których zasiadali rektorzy PG, pracownicy PG i towarzyszący premierowi ministrowie, dobiegła uwaga, że wystarczyłyby godziny rektorskie...

Premier Buzek w swojej prezentacji pokazał, w jaki sposób funkcjonuje UE – trzy instytucje sprawujące władzę (Parlament Europejski, Rada Unii Europejskiej, Komisja Europejska), jakie są uprawnienia

Parlamentu Europejskiego, jak zorganizowana jest jego praca. Najwięcej miejsca J. Buzek poświęcił pokazaniu możliwości płynących do studentów, uczelni czy szerzej – polskiej edukacji – z racji bycia we wspólnocie europejskiej.

Funkcjonujące programy edukacyjne, takie jak:

- zintegrowany program edukacyjny *Uczenie się przez całe Życie* – a w nim program *Leonardo da Vinci*, *Erasmus*, *Comenius*, *Grundvig*,
- program *Młodzi w działaniu 2007–2013* – edukacja pozaszkolna,

umożliwiły już 2 milionom młodych ludzi korzystanie z osiągnięć europejskiej nauki i edukacji za granicą (z Wydziału Zarządzania i Ekonomii PG w roku akademickim 2007/2008 studiuje za granicą przeszło setka studentów!). Jerzy Buzek gorąco namawiał studentów do korzystania z tej okazji – „Ryzykujcie, korzystajcie ze stypendiów, wyjeżdżajcie za granicę, uczcie się, zdobywajcie nowe doświadczenia na zagranicznych uczelniach”.

Premier przypomniał też, że programy wspólnotowe, finansujące badania naukowe, przewidują budżet na lata 2007–2013 w wysokości 54 mld Euro – to też szansa dla polskiej nauki.

J. Buzek pokazał, co jest aktualnie największą troską UE w najbliższych latach – wizja bezpieczeństwa ekologicznego Europy. Rada Europejska w marcu 2007 wyznaczyła cele na rok 2020:

- 20% redukcja emisji gazów cieplarnianych,
- 20% ograniczenie zużycia energii,
- 20% udział energii odnawialnych.

Miejmy nadzieję, że uda się te cele zrealizować – o ile przyjemniej spacerowałyby się po Wrzeszczu...

Na zakończenie swojego spotkania J. Buzek zaprezentował się jako niezwykle szarmancki mężczyzna – kwiaty, które wręczył mu dziekan WZiE natychmiast przekazał jednej ze studentek. Dżentelmen w każdym calu.

*Ewa Hope
Wydział Zarządzania i Ekonomii*



Fot. Krystyna Andryszkiewicz

American dream

Mity bardzo różnią się między sobą, nie tylko treścią, ale i wielkością „ziarenka prawdy”, jakie zawierają. I tak, mamy mity bardziej zbliżone do baśni, z rzeczywistością mające niewiele wspólnego, są mity oparte na faktach, ale w stopniu niewielkim, ale są też takie, z których możemy wyciągnąć dla siebie bardzo wartościowe wnioski, bo oparte są na faktach w stopniu największym. I takie też są mity made in USA z cyklu *American dream*.

Któż nie słyszał tych słynnych historii z kategorii „od pucybuta do milionera”? Historii sukcesu takich tuzów współczesnej gospodarki, nauki czy polityki, jak Bill Gates – twórca Microsoftu – który, już na studiach, zaczął tworzyć swój słynny Windows. Podobnie zaczynał szef – kultowej w świecie miłośników komputerów – firmy Apple. Pracę nad swoim pierwszym komputerem dla mas rozpoczął dosłownie w garażu. W polityce takie historie też się zdarzają. Obecny gubernator najbogatszego stanu USA, Kalifornii, Arnold Szwarzeneger, chłopak z biednej austriackiej rodziny z Grazu, karierę zaczął od kulturystyki i grania w mało ambitnych produkcjach Hollywood. A pogromca komunizmu, były prezydent USA, Ronald Reagan? On również zaczynał od trzecioplanowych ról w filmach kategorii B. A następny prezydent USA, Bill Clinton, pracowity chłopak z biednego stanu, z niezamóżnej rodziny? Takie historie w Stanach Zjednoczonych wciąż się zdarzają – tam to nadal jest możliwe.

Absolwent PG bohaterem amerykańskiej mitologii

A że nie są to tylko puste słowa, można się było przekonać 17 października 2007 roku, kiedy to Politechnikę Gdańską, na zaproszenie jej rektora, profesora Janusza Rachonia, odwiedził „żywy dowód” funkcjonowania w XXI wieku *american dream*. Jest nim Janusz Liberkowski, rocznik 1954 – absolwent naszej uczelni. Człowiek o niespożytej energii i ogromnej, wręcz dziecięcej ciekawości świata. Polski emigrant z fali emigracyjnej lat 80., o którym od dnia 19 maja 2006 roku możemy mówić, że mamy polski rozdział w wielkiej amerykańskiej mitologii sukcesu.

Otóż w maju ubiegłego roku inż. Liberkowski został zwycięzcą jednego z największych show w USA, programu American Inventor. Tym samym uznano, że jest naj-

większym wynalazcą, w owym okresie, w Ameryce. Polski wynalazca, aby uzyskać ten tytuł, musiał pokonać 12 tysięcy konkurentów, co trwało wiele miesięcy i, na oczach widzów, odbywało się w wielu etapach. Co tak zachwycało jury konkursu? Zupełnie rewolucyjny w swych rozwiązaniach samochodowy fotelik dla dzieci, zapewniający nieosiągalny wcześniej poziom bezpieczeństwa. Finał konkursu oglądały miliony Amerykanów, a nagrodą dla zwycięzcy był m.in. czek na okrągły milion dolarów. A jak do tego wszystkiego doszło?

Historia sukcesu łzami pisana

Wszystko zaczęło się przed 52. laty w Nowej Soli. Potem było technikum elektryczne w Zielonej Górze i nieudana próba dostania się na Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku. Kolega, po tej edukacyjnej porażce, namówił Pana Janusza na zdawanie egzaminów na Wydział Hydrotechniki Politechniki Gdańskiej. On sam miał obawy, ponieważ – jak sam twierdził – w matematyce miał ogromne braki. Ale dzięki pomocy przyjaciela w dwa miesiące się poprawił i został studentem Politechniki, którą ukończył w 1981 roku. Zaraz po odebraniu dyplomu założył firmę, która zaczęła przynosić spore dochody. W tym czasie małżeństwu Liberkowskich urodziła się córka, Aneta. Jednak kryzys lat 80. i represje polityczne sprawiają, że w roku 1984 Państwo Liberkowscy emigrują z Polski do USA. W Sopocie zostawiają świeżo wybudowany dom i dobrze prosperującą firmę, lądując na lotnisku w Stanach praktycznie bez niczego. Pierwsze 10 lat nie było usłane różami. Liberkowscy żyją skromnie, przenosząc się z wybrzeża wschodniego na zachodnie, do Kalifornii, powtórnie wszystko zaczynając od nowa. Tym razem szczęście jednak dopisuje. Pan Janusz zaczyna pracę w słynnej Dolinie Krzemowej i status materialny rodziny szybko się podnosi. Niestety, wtedy to ginie w wypadku samochodowym ukończona, jedyna córka, Aneta. I ten fakt zawążył na dalszych losach polskiego wynalazcy. Postanawia, że należy położyć kres wysokiej śmiertelności dzieci, biorących udział w wypadkach samochodowych. Codziennie tylko na amerykańskich drogach ginie ich trójka.

Wszystko na jedną szalę...

Pan Jan poświęca się całkowicie nowemu wyzwaniu, ryzykując karierę. A trze-



ba dodać, że już w tym momencie jest autorem lub współautorem kilkunastu patentów, w tym 7 kupionych przez firmę Intel. Owocem jego pracy jest, dziś już słynny w całej Ameryce, za sprawą wygranego konkursu, rewolucyjny w swoich rozwiązaniach, fotelik dziecięcy. Najkrócej rzecz ujmując, zasada jego działania polega na tym, że siła uderzenia podczas wypadku zawsze jest skierowana prostopadle do osi kręgosłupa dziecka. Dzieje się tak, ponieważ fotelik składa z dwóch zasadniczych części. Jest to rodzaj półkul, umieszczonych jedna w drugiej. Zewnętrzna jest nieruchoma, wewnętrzna obraca się swobodnie w jej środku, wraz z przypiętym do niej dzieckiem. Dzięki temu, niezależnie skąd przyjdzie uderzenie, dziecko zawsze, w ułamku sekundy, obrócone zostanie prostopadle do kierunku siły uderzenia. W wywiadzie udzielonym Gazecie Wyborczej wynalazca tak to opisuje: „...Moje urządzenie nie walczy z siłą uderzenia, lecz wykorzystuje ją do lepszej ochrony dziecka”. Testy przeprowadzone przez ekspertów ze Stanów Zjednoczonych potwierdziły to w stu procentach.

Obecnie prace nad wdrożeniem fotelika do produkcji są na ukończeniu. Foteliki nazwane Anecia – od imienia zmarłej córki – zjedzą z taśm montażowych najpierw w USA i Polsce.

Powrót w chwale

Jak już wspomniano, Janusz Liberkowski 17 października powrócił, na jeden dzień, do swojej *Alma Mater*, gdzie wygłosił wykład o tym, co powinno charakteryzować wybitnego i skutecznego wy-

nalazcę, i czy można się tego nauczyć. Jeśli ktoś nie był na spotkaniu, to spieszę przekazać (pocieszyć), że można się tej sztuki nauczyć, ale trzeba – zdaniem Pana Janusza – przestrzegać kilku zasad. Nie ma miejsca, żeby się o wszystkich rozpisywać, ale kilka wartych jest podkreślenia. Jedną z nich jest np. konieczność podtrzymywania w sobie ciągłego sprzeciwu wobec zastanego *status quo*. W największym skrócie: jeśli nawet największe autorytety twierdzą, że $2 \times 2 = 4$, to należy w to wątpić z zasady, ale wątpić konstruktywnie, tzn. próbując obalić to twierdzenie, możemy oczywiście ponieść porażkę, ale po drodze odkryjemy, zapewne, wiele innych inspirujących prawd. A jeśli udowodnimy, że twierdzenie było nieprawdziwe, to tym większy sukces. Jednym słowem – zdaniem wynalazcy – nie ma prawd objawionych, nie ma również autorytetów, z którymi nie warto by się

było spierać. I nawet jeśli w takich sporach przegramy, to – zgodnie z zaleceniem Sokratesa – dowiemy się tego, czego nie wiemy, a stąd już niedaleko do sprawniejszego zdobywania wiedzy i umiejętności.

Wynalazca podkreślał również ogromne znaczenie zachowania w sobie dziecka, w tym sensie, że nie wolno dopuścić, aby zdobywana wiedza, doświadczenie, rutyna i trudy życia zabiły w nas immanentną cechę naszego gatunku, jaką jest ogromna ciekawość świata. Wydaje się, że w tym momencie Thomas Alva Edison, słuchając tego zza piotrowej bramy, uśmiechał się ze zrozumieniem.

Słuchając i patrząc na absolwenta Politechniki Gdańskiej, rocznik 1981, inżyniera Janusza Liberkowskiego, nie można było oprzeć się wrażeniu, że skupił on w sobie to, co najlepsze niesie w sobie nasza kultura – z jednej strony, i wartości amerykańskie – z drugiej. Wiedza tu zdo-

byta, przeżyty okres krępującego ludzką aktywność komunizmu, pozwoliły lepiej docenić możliwości otwartej, nieskrępowanej biurokracją i nastawionej na innowacyjność gospodarki amerykańskiej. Naprawdę, przyjemnie było obserwować, z jaką energią i zapałem można mówić o swoim zawodzie. Jednocześnie, aż trudno było uwierzyć, że ten skromny, uśmiechnięty człowiek, który więcej mówił o swojej rodzinie, szczególnie o zmarłej tragicznie córce, jest tak majątny i sławny (np. ABC jest właścicielem praw do kształtowania wizerunku Pana Janusza, więc nawet spotkanie na PG musiało być uzgodnione z amerykańskim potentatem medialnym). Janusz Liberkowski – nasz człowiek w Ameryce.

Rafał Piwkowski
Dział Badań Naukowych

Pasja życia

Dnia 10 kwietnia 1999 roku Anetka zginęła w wypadku.

Jechała autostradą nad Zatoką San Francisco. Jej chłopak prowadził zbyt ryzykownie, uderzył w jadące przed nimi auto. Rzuciło ich na sąsiedni pas jezdni, prosto pod samochód pędzący z przeciwnej strony.

On wyszedł z wypadku cało, ona żyła jeszcze tylko kilka godzin.

*

Jak opowiedzieć o śmierci dziecka?

„Płacz stał mi się pożywieniem, jęki moje płyną jak woda... Czy starczy mi sił, aby prze-trwać?” – wołał zboląły Hiob.

– *Wydawało się, że mi serce pęknie, rozrywający ból paraliżował. I ta straszna bezsilność, że nic nie można zrobić, że nie można już pomóc, że nie można oddać za nią życia...* – Janusz Liberkowski, ojciec Anety spuszcza głowę.

Ukochana córka, jedynaczka, śliczna, zdolna, zakochana, całe życie przed nią. Miała dwadzieścia jeden lat. Studiowała filozofię i religioznawstwo. Szukała swojej tożsamości, mówiła: – *Właściwie nie wiem, czy jestem Polką, czy Amerykanką?* Sama nauczyła się pisać po polsku, by mieć kontakt listowny z babcią i dziadkiem.

*

Z Polski Liberkowsky wyjechali w 1984 roku. Właściwie nie wyjechali, ale uciekli. Tak się wtedy mówiło. Ustalili, że Danusia, żona Janusza z małą Anetką pojedzie na wakacje do swojej matki, która od kilku lat mieszkała

na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Janusz po ich wyjeździe miał wybrać się w interesach do Zachodniego Berlina. Prowadził komputerową firmę polonijną, dysponował paszportem. Jego rodzice, którzy spędzali właśnie wakacje u syna w Sopocie, do ostatniej chwili nie wiedzieli, że to pożegnalne spotkanie.

– *Jutro wyjeżdżam na stałe do Ameryki* – zakomunikował. Byli wstrząśnięci. Rano, 27 lipca 1984 roku, w dziesiątą rocznicę ślubu, wsiadł do starego fiata ojca, a jemu zostawił swojego nowego poloneza i wyruszył. Kilka kilometrów za Gdynią zatrzymał się na poboczu, bo łyzy przesłoniły mu drogę. Wiedział, że pali za sobą mosty, ale w Polsce zamkniętej, zaprzęta nie dało się żyć, choć przecież nie powodziło się im źle. Firma przynosiła spore zyski. Głową do interesów miał po tacie, który według peerelowskiej terminologii był „prywaciarzem”. W Nowej Soli prowadził małe sklepiki – spożywczy, z pamiątkami, „1001 drobiazgów”. Gdy Janusz się ożenił, młoda para dostała niecodzienny prezent: siedmiokilometrową aleję czereśniową! Ojciec wydzierżawił ją od PGR na trzy lata. Janusz ciężko harował przy zbiorze owoców, ale doszedł w ten sposób do pierwszych pieniędzy.

Kilka lat wcześniej był na wakacjach w Stanach. To, co zobaczył, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Wolność go oszołomiła.

Ale nie od razu pomyślał o emigracji. Tu miał rodziców, przyjaciół, tu, w Sopocie uro-

dziła się jego córka, tu zbudował dla swojej rodziny wymarzony dom, do którego przeprowadzili się po latach z ciasnego mieszkania na Przymorzu. Studiował, prowadził firmę. Zwykle robił kilka rzeczy na raz, ale ciągle wydawało mu się, że traci czas, że może osiągnąć znacznie więcej.

*

Berlin Zachodni. Pierwszy etap podróży i zarazem przykład, że gdy człowiek czegoś bardzo chce, w końcu to osiągnie. W Berlinie poszedł do konsulatu amerykańskiego z paszportem ważnym tylko na Europę i powiedział, że prosi o wizę. Odpowiedzieli, że nie ma mowy. Przychodził, gdy tylko zaczęli urządować. Siedział do zamknięcia. Żywił się sandwiczami, nocował w tanim hotelu studenckim w sąsiedztwie. Rano wracał i tak da capo al fine. Po trzydziestu dniach urzędniczka wreszcie się do niego odezwała. Dostał wizę „For visit family”.

Nie spodobało mu się Wschodnie Wybrzeże, gdzie mieszkała teściowa. Jedziemy do Kalifornii! – postanowił. Do Doliny Krzemowej. To najważniejsze miejsce na świecie. Potęga myśli technicznej. Hi-tech. Rocznie inwestuje się tam 30 miliardów dolarów w nowy biznes.

– *A mnie kręciły nowe technologie.*

*

Z Politechniki, gdzie Janusz Liberkowski wygłaszał wykład dla studentów, jedziemy do Sopotu. Milioner i zwycięzca telewizyjnego konkursu „American Inventor”, człowiek sławny dziś na całym świecie, absolwent Politechniki Gdańskiej z roku 1981, opowiadał młod-

szym kolegom o tym, że każde marzenie może się spełnić, jeśli tylko będziemy bardzo tego chcieli.

Jedziemy do Sopotu, bo chce zobaczyć swój dom.

– *Coś takiego!* – woła, gdy mijamy Oliwę. – *Ten bar mleczny jeszcze istnieje! Jadaliśmy tu w studenckich czasach. Danusia mieszkała na stacji, niedaleko stąd, w małym domku u sympatycznej pani. Zajmowała pokój na piętrze, a ja czasem zostawałem u niej na noc. W tajemnicy ma się rozumieć, bo choć pani była miła, to nie na tyle, by pozwalać na takie ekscesy. Rano wyskakiwałem przez okno, otrzeptywałem się i dzwoniłem do drzwi wejściowych.*

Ulica Podgórna w Sopocie. Dom należy teraz do firmy architektonicznej. – *Ojciec dostał za niego niezłe pieniądze* – wyjaśnia Janusz. – *Sprzedał go na szczęście dopiero w wolnej Polsce, gdy złotówki miały już jakąś wartość.*

Przyjeżdżamy już po godzinach pracy. Ciemno i pusto.

– *Już nie płaczę* – mówi fotografując dom ze wszystkich stron. – *Ale jednak coś ścisną w gardle. Siedem lat niebywałego wysiłku! Nie wiem czy pani mnie rozumie, bo tylko ten, kto coś budował w PRL, może to pojąć. Dachówka jest nowa – zauważa, gdy obchodzimy dom naokoło – ale to zrozumiałe, bo ja kładłem rozbiórkową, przywiezioną aż spod Nowej Soli, ze stodoły mojej babci. Przeszło pięćset kilometrów. Ale drzwi wejściowe są moje! Ita drewniana brama, którą znalazłem w pegeerze pod Słupskiem. Płot sam spawalem. – Tutaj – pokazuje piwniczną ścianę – *zrobiłem kryty basen. Sprowadziłem dźwig ze Stoczni im. Komuny Paryskiej z Gdyni, który nad linią energetyczną przerosił wielkie, żelbetowe płyty.**

– *W tym oknie na piętrze Danusia z Anetką siedziały przed wyjazdem, kiedy zrobiłem im ostatnie zdjęcie* – głos mu się łamie. – *Pozwoli pani, że zadzwonię do żony. W Kalifornii już jest rano, dzieci pewnie się obudziły.*

Odchodzi na bok.

*

W kawiarni przy Monte Casino w Sopocie rozmawiamy o cudzie.

Bo to cud, że Danusia, już po pięćdziesiątce, urodziła zdrowe bliźniaki. Po kuracji hormonalnej oczywiście. Przez sześć miesięcy ciąży nie ruszała się z łóżka. Leżała i rosła jak pączek w maśle, bo przyjaciółki na zmianę donosiły jej jedzenie. Bliźniaki też rosły. Gdy się urodziły, ważyły ponad trzy kilo. Chłopiec i dziewczynka: Jason i Marielle. Piątego października skończyły trzy lata. Na urodziny przyszło osiemdziesiąt osób, zarówno Polacy, jak Amerykanie. Choć na ogół rządząją osob-

ne przyjęcia dla jednych i drugich, bo podczas spotkań z rodakami lubią pośpiewać polskie piosenki, powspominać, a Amerykanów mogłoby to znudzić.

*

Dziś mieszkają w Los Gatos, w hiszpańskim domu z czerwonej cegły, na akrowej działce. Mają piękny widok na całą Krzemową Dolinę i właśnie przymierzają się do budowy nowego domu. Janusz już go widzi: dwa przenikające się ostrosłupy. Beton i szkło. Ma wycucie bryły, kiedyś zdawał na rzeźbę w gdańskiej ASP. Nie dostał się z braku miejsc. Pojechał nawet do ministra Tejchmy z prośbą o interwencję, nic jednak nie wskórał.

Więc – jak mówię – ma wycucie bryły i sam wymyślił koncepcję nowego domu, w którym – w miejscu połączenia ostrosłupów – będzie kuchnia o powierzchni 240 metrów kwadratowych.

– *W Stanach* – wyjaśnia – *urządza się wielkie przyjęcia, na sto, sto dwadzieścia osób, ale na innych zasadach niż w Polsce. Każdy uczestnik party przynosi ze sobą coś do jedzenia, naturalnie po uprzednim uzgodnieniu z panią domu. Zauważyła pani, że goście lubią grupować się w kuchni właśnie? Dlatego też w moim nowym domu kuchnia będzie ogromna. Wystrójem ma przypominać nocny klub.*

*

W 1990 roku rodzice przyjechali do Los Gatos. Ojciec obszedł cały dom, ogród, sprawdził wodę w basenie i oznajmił: – *Mogę już wracać. Nie zginiacie.*

Wtedy dopiero Janusz mógł się przyznać, że gdy przyjechali do Kalifornii, zamieszkali z Danusią i małą Anetką w podrzędnym hotelu, w którym było pełno karaluchów i prostytutek. Danuta płakała, on szukał nerwowo ja-

kiejkolwiek pracy. Miał szczęście. W sklepie spotkał chłopaka, który drukował w podziemiu bibułę, za co władze wypchnęły go z Polski. Pomógł mu załatwić pracę, poznał z inżynierami, którzy już się tu zaczęli.

Początkowo inżynier Liberkowski składał zasilacze wysokiego napięcia do systemów rakietowych. Jeden z nich poleciał nawet poza układ słoneczny! Danuta dostała posadę pomocnicy nauczycielki, wkrótce już pracowała jako nauczycielka. Po roku kupili pierwszy dom, ale miesięczne spłaty kredytu były wyższe niż ich wspólne zarobki. Przekonał właściciela, by mu pożyczył pieniądze.

Potem zaczęło się poprawiać. Firma laserowa, komputerowa, kolejne patenty. Wysookie stanowiska w Intelu, Ewentlo. Coraz większe dochody. Dobrobyt.

I kiedy wszystko już tak dobrze szło, zginęła Anetka.

Zmarli rodzice.

*

Gdy urodziły się bliźniaki, coraz częściej myślał o tym, jak w razie zderzenia uchronić małe dzieci jadące w aucie. To stało się po prostu jego obsesją.

Foteliki sprzedawane w sklepach i salonach samochodowych praktycznie nie chronią podczas zderzeń przy prędkości powyżej 50 kilometrów na godzinę. A kto jeździ z taką prędkością? Codziennie ginie w Stanach Zjednoczonych troje dzieci w zapiętych prawidłowo fotelikach. Sześćset jest rannych.

Wpadł na pomysł, by dziecko ulokować w kapsule składającej się z dwu półkul włożonych jedna w drugą. – *Przydała mi się moja rzeźbiarska wyobraźnia* – dodaje. W razie uderzenia, półkule zamykają się, chroniąc dziecko, które „pływa” w wewnętrznej półkuli.



Inżynier Janusz Liberkowski, milioner, zwycięzca w popularnym plebiscytcie telewizji ABC „Amerykański wynalazca”, absolwent Politechniki Gdańskiej

Zgłosił do konkursu American Inventor organizowanego przez telewizję ABC fotelik nazywany „Anecia Safety Capsule”. W konkursie wzięło udział dwanaście tysięcy wynalazców. Do finału doszło czterech. Każdy miał 30 sekund na prezentację swego pomysłu. Widzowie wybierali zwycięzcę. W głosowaniu wzięło udział 35 milionów Amerykanów. Gdy emocje sięgały zenitu, prowadzący ogłosił:

- And the winner is Janusz Liberkowski!

Spełnił się American Dream. W jednej chwili stał się sławny. Otrzymał tysiące e-maili z całego świata, nieznani ludzie zaczęli go i gratulowali sukcesu. Nie krył wzruszenia, gdy przypadkowo spotkana na lotnisku pani, jak się okazało żona strażaka, który ratuje ofiary wypadków ze zgniecionych aut, rozpłakała się podczas rozmowy.

Czekała go także nagroda finansowa. Czek na milion dolarów.

- *Pieniądze są ważne, ale najważniejsza jest pasja. I wiara w siebie. To sprawia, że jeden człowiek zostaje prezydentem USA, dostaje Nagrodę Nobla, a inny – zmywa talerze w knajpie.*

*

„Liberkowski pokazał nowy wizerunek polskiego emigranta w USA – pisały gazety. – Amerykanie zobaczyli nieprzeciętnie inteligentnego, kipiącego pomysłami inżyniera, który w dodatku podkreśla, że jest Polakiem”.

- *Teraz przygotowuję się do produkcji moich fotelików – mówi pijąc herbatę. – Jedna firma będzie je robić w Stanach, druga – dla całej Europy – w Polsce. Jestem w trakcie omawiania szczegółów, po to tu przyjechałem. Za rok zasypię Amerykę i Europę fotelikami.*

Chodzi mi też o to, by były tanie, aby każdy mógł je kupić. Wiem przecież, ile znaczy dla rodziców zdrowie i życie dziecka.

Na foteliku nie poprzestaje. Teraz myśli o poprawie bezpieczeństwa w całym samochodzie. – *Nie tylko myślę – twierdzi z determinacją – ja to po prostu zrobię! Pomysł już mam. Zaskoczę cały świat.*

*

Młody człowiek, z którym Anetka jechała autostradą nad Zatoką San Francisco w swoją ostatnią podróż, zastrzelił się w pięć lat później. Dokładnie w rocznicę jej śmierci.

Barbara Szczepuła
Dziennik Bałtycki

* Przedruk z „Polska – The Times – Dziennik Bałtycki”



Spotkanie seniorów PG

19 października 2007 r.



Fot. Krzysztof Krzempek

Gdańsk 21 października 2007 r.

Do Pana Rektora Politechniki Gdańskiej.
Łaskawie odebrać raczy.

Wielce Łaskawy Panie Rektorze

Przypadł mi zaszczyt w imieniu Seniorów Emerytów PG z całego serca podziękować Panu Rektorowi za uroczyste spotkanie w dniu 19 października 2007 r., nie tylko był Pan Rektor łaskaw pamiętać o nas samotnych i starych, tak nielicznych dobiegających już setki lat, lecz był Pan Rektor łaskaw uroczystość tę uświetnić swoją osobą, za co bardzo serdecznie dziękujemy. Dziękujemy też za miłe słowa jakie skierował Pan do nas z życzeniami i nadzieją na lepsze jutro.

Jesteśmy wdzięczni za pamięć o nas, za tak uroczony spędzony dzień, których tak mało w obecnym życiu mamy. Życie jest piękne, ale nie dla nas samotnych, którzy vegetujemy z dnia na dzień, już zapomniani.

Piszę to, by wyrazić naszą wdzięczność i radość, za ten jeden dzień, który dzięki Panu Rektorowi mogliśmy spędzić radośnie, miło, bo jednak ktoś o nas pamiętał. A czy się jeszcze z Panem Rektorem spotkamy? Bóg jeden wie.

Dziękujemy – dziękujemy – dziękujemy.

Na ręce Pana Rektora, również serdecznie i bardzo gorąco, dziękujemy pełnej dobroci i szlachetności, życzliwości dla nas Pani Bober i Jej pomocnym Paniom, które zadały sobie tyle trudu, byśmy bodaj ten jeden dzień w roku, spędzili miło, uroczysto, zapomnieli o codziennych kłopotach i ciężkim życiu, my starzy samotni. Nadzieje na lepsze jutro... wiek nam odbiera.

Panie Rektorze, my również składamy Panu Rektorowi nasze gorące życzenia, by nasza wdzięczność płynąca z głębi serca zawsze Panu Rektorowi towarzyszyła, życie Pana by było usłane tylko pięknem i radością... i polecamy się pod opiekuńcze skrzydła Pana Rektora.

Sercem oddani

Seniorzy Klubu PG
Zofia Adel

„Edukacja Techniczna” – konferencja na WEIA PG

Dnia 19 października 2007 roku na Wydziale Elektrotechniki i Automatyki Politechniki Gdańskiej Dziekan Wydziału EIA przy współpracy z Centrum Edukacji Nauczycieli zorganizował konferencję poświęconą nauczaniu przedmiotów ścisłych w szkołach ponadgimnazjalnych oraz środowisku akademickim.

Od 8 rano mury nowego audytorium w gmachu profesora Kopeckiego na Wydziale Elektrotechniki i Automatyki wypełniały się nauczycielami ze szkół ponadgimnazjalnych z całego województwa, niekiedy absolwentami Wydziału.

Na otwarcie konferencji „Edukacja Techniczna”, poprowadzone przez mgr inż. Jolantę Śmigierską – przedstawiciela CEN, oraz prodziekana ds. kształcenia ustawicznego i rozwoju WEIA dr. hab. inż. Leona Swędrowskiego, przybyli m.in. tak znamienici goście, jak: rektor Politechniki Gdańskiej prof. Janusz Rachoń, dy-

rektor Centrum Edukacji Nauczycieli w Gdańsku Mirosława Janowska, za-ca dyrektora Departamentu Edukacji i Spraw Społecznych Urzędu Marszałkowskiego Elżbieta Lamparska oraz 74 nauczycieli przedmiotów ścisłych.

W trakcie konferencji goście wykładający na co dzień wiedzę z zakresu: fizyki i matematyki oraz przedmiotów elektromechanicznych w grupach roboczych podjęli dyskusję nad najistotniejszymi problemami współczesnego kształcenia przedmiotów ścisłych i technicznych. Wymiana uwag nie ustępowała zarówno w salach wykładowych, jak i podczas przerwy kawowej czy obiadu.

Trudu moderowania i czuwania nad rozwojem kierunku obrad w trakcie warsztatów podjęli się zarówno nauczyciele akademicy z Politechniki Gdańskiej (prof. dr hab. inż. Marek Krawczuk, prof. dr hab. inż. Piotr Chrzan, prof. dr hab. inż.

Andrzej Grono, dr inż. Jacek Skibicki, dr inż. Andrzej Skiba, dr inż. Jarosław Tarnawski, dr inż. Maciej Łuszczek, dr inż. Lech Wiczkowski, dr inż. Krystyna Nowicka, dr Barbara Wikieł), nauczyciele szkół ponadgimnazjalnych (mgr Małgorzata Karmasz oraz mgr Kamil Żmudziński), jak również konsultanci CEN (mgr inż. Jolanta Śmigierska i mgr Urszula Krzyżykowska).

Opracowane zagadnienia i wnioski z grupowych dyskusji zostały zaprezentowane na podsumowaniu i przygotowane do dalszego wypracowania jako oficjalny dokument i narzędzie dla dydaktyków.

Konferencja była również okazją do poznania wydziałowych laboratoriów i narzędzi pracy przyszłych inżynierów. Tylko wymiana doświadczeń i dialog przyczyniają się do zmian, dlatego dziekan Wydziału EIA gorąco dziękuje za zaangażowanie wszystkim dydaktykom, którzy zechcieli wziąć udział w pracy na rzecz lepszej edukacji i zaprasza do dalszej współpracy.

*Agnieszka Kaczmarek
Wydział Elektrotechniki i Automatyki*



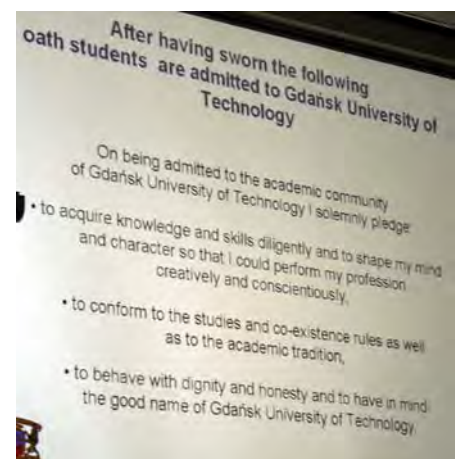
Zarządzanie dla Chińczyków i nie tylko

Dnia 12 listopada 2007 roku odbyła się uroczysta ceremonia rozpoczęcia roku akademickiego na anglojęzycznych studiach licencjackich na kierunku zarządzanie *Bachelor in Management*. Uroczystość wyjątkowa, ponieważ po raz pierwszy w historii uczelni studentami tego kierunku zostali studenci z Chińskiej Republiki Ludowej, gościem był więc Attaché Konsularny Konsulatu Generalnego Chińskiej Republiki Ludowej w Gdańsku Pan Wang Wei Jing. Uroczystość zaszczytli swoją obecnością również dziekani: Wydziału Chemicznego – prof. Jacek Namieśnik, i Architektury – prof. Andrzej Baranowski, prodzie-

kan Wydziału Mechanicznego – prof. Krzysztof Kaliński, wykładowcy z Wydziału Zarządzania i Ekonomii oraz Studium Języków Obcych.

Trzyletnie studia licencjackie z zarządzania organizowane są na Wydziale Zarządzania i Ekonomii po raz pierwszy, są naturalnym następstwem strategii internacjonalizacji kształcenia, konsekwentnie realizowanej przez władze Wydziału od kilku lat. Ich program od początku przygotowywany był dla studentów z Azji. Prace trwały dwa lata: poszukiwanie kandydatów, nostryfikacja chińskich dyplomów szkół średnich, procedury wizowe, to działania, które zabierają mnóstwo czasu. Musieliśmy

pokonać wiele barier, jak zwykle, gdy jakiś projekt realizowany jest po raz pierwszy. Zdobyliśmy jednak mnóstwo cennych doświadczeń, nawiązaliśmy



Fot. Beata Kucwaj

nowe kontakty, a to wszystko będzie owocować w przyszłości.

Internacjonalizacja studiów na WZiE to nie tylko projekt „chiński”. Już teraz studiuje u nas kilkanaście osób z krajów Unii Europejskiej (Niemiec, Hiszpanii, Włoch, Szwecji, Rumunii) w ramach programu Erasmus, na PG spędzą jeden lub dwa semestry, głównie na uruchomionej przed dwoma laty anglojęzycznej specjalności (studia II stopnia) *Small Business Management and Economics*. Nastąpił także ogromny skok liczby naszych studentów wyjeżdżających na 1–2 semestry na uczelnie zagraniczne – w tym roku już prawie 100 osób studiuje na 23 uczelniach w 9 krajach (w ramach Erasmusa).

Studia anglojęzyczne, rosnąca szybko liczba studentów-obcokrajowców, a także doświadczenia, z jakimi wracają do nas studenci powracający z uczelni zagranicznych, stawiają przed wydziałem nowe wielkie wyzwania, ale również dzięki temu poziom dydaktyki na wydziale z pewnością będzie się stale podnosił.

W tym roku studia rozpoczęło 19 studentów z różnych prowincji Chin. Poza przedmiotami wynikającymi ze standardu studiów licencjackich na tym kierunku, zagraniczni studenci mają też obfity program dodatkowy: intensywny kurs języka angielskiego i polskiego, realizowany we współpracy ze Studium Języków Obcych PG, zajęcia z historii i kultury Polski.



Fot. Beata Kucwaj

W codziennej pracy związanej z organizacją studiów dla studentów chińskich, wdrożeniem w podstawowe czynności codziennego życia studenta PG niezwykle przydatna okazała się współpraca ze studentami z organizacji studenckiej *Erasmus Student Network*, którzy bardzo skutecznie zadbali – i nadal to robią – o zintegrowanie studentów z Chin ze studentami polskimi i innymi studentami-obcokrajowcami.

Studenci z Chin bardzo entuzjastycznie podchodzą do czekającego ich przynajmniej trzyletniego pobytu w Polsce. Jak sami mówią, jest to dla nich okazja

do poznania naszego kraju i Unii Europejskiej. Ku zaskoczeniu wielu pracowników WZiE, młodzi Chińczycy są bardzo otwartymi, ciekawymi nowych wrażeń i pracowitymi młodymi ludźmi. Na razie wspaniale się integrują i coraz pełniej uczestniczą w życiu studenckim PG. Mamy nadzieję, że w przyszłości będą oni wyjątkowymi ambasadorami naszej Alma Mater w dalekich Chinach, a ich opinia spowoduje, że kolejni młodzi Azjaci wybiorą studia właśnie na naszej uczelni.

Magdalena Popowska
Wydział Zarządzania i Ekonomii

Wygrać marzenie



Członek BEST-u – właśnie spełniło się jego marzenie :)

Dokładnie 20 lat temu pojawił się pomysł założenia największego w Europie stowarzyszenia studentów uczelni technicznych, a 18 lat temu w Berlinie powstał BEST (Board of European Students of Technology). Od 1989 roku BEST rozwinął się w dojrzałą organizację, która nieustannie daje każdemu studentowi możliwości korzystania ze swoich unikatowych usług, tj. kursów naukowych oraz projektów wspierających rozwój kariery i zaangażowanie w edukację. Wszystko bez względu na członkostwo, kierunek studiów uczelni technicznej, status społeczny czy socjalny.

Jedną z najwspanialszych cech BEST-u jest jego nieustanny rozwój. Corocznie aktywni studenci z uczelni technicznych w całej Europie pragną osobiście współtworzyć tę nowo-

czesną i silną organizację. Właśnie te indywidualności kreują najbardziej innowacyjne pomysły, które mają możliwość realizacji. Przykładem może być student z Węgier, Christian Bogdan, który stworzył język programowania Makumba (www.makumba.org). Dzisiaj twórca jest doktorem Royal Institute of Technology w Sztokholmie, a jego dzieło – podstawą rozwoju wszystkich aplikacji internetowych całego BEST-u.

Członkowie BEST-u mają dodatkowo możliwości samodoskonalenia poprzez zdobywanie umiejętności sprawniej komunikacji, prezentacji, współpracy zespołowej podczas realizacji projektów, również w dynamicznym środowisku międzynarodowym. Te doświadczenia są dzisiaj niezbędne na rynku pracy. Grzegorz Szczepański z Polski doświadczenie z BEST-u wykorzystał, zakładając agencję public relations, która w krótkim czasie zdobyła prestiżowe nagrody dla najlepszej na świecie. Dzisiaj jest jednym z wyróżniających się specjalistów w swojej dziedzinie w kraju. Z kolei możliwość bezpośredniego i demokratycznego uczestnictwa w procesie podejmowania decyzji w całej europejskiej organizacji stanowi wyjątek wśród innych, silnie ustrukturyzowanych korporacyjnie organizacji konkurencyjnych. Członkowie BEST-u, Nicolo Wojewoda z Włoch oraz Joao Rei z Portugalii, od zawsze dyskutowali o usprawnieniu systemu edukacji w Europie. Dzisiaj, chociaż nadal studiują, zasiadają w międzynarodowym zarządzie SEFI (European Society for Engineering Education), gdzie na co dzień wpływają na kształt edukacji inżynierskiej. Dzięki wspieraniu własnych, nieskrępowanych pomysłów członków i ich aktywnego zaangażowania w sprawy własnego rozwoju, BEST daje szansę wygrania marzenia! Czy to prawda? Jak najbardziej tak, chociaż nie wygrasz niczego, jedynie czytając moje słowa, czując jakieś zaciekawienie, zgadzając się lub marząc o tych wszystkich możliwościach...

Chciałbym opowiedzieć Tobie krótką historię, metaforę, którą może znasz. Pewien student, może właśnie taki, jak Ty, miał małe marzenie, które usilnie chciał zrealizować. Bardzo chciał wygrać na loterii liczbowej. W tym celu postanowił zgłębić tajniki



Wyjazd integracyjny

prawdopodobieństwa, tworzył algorytm, nawet szczerze modlił się i mocno trzymał kciuki, ale nie odnosił sukcesu. Kiedy zapytano go, czy kiedykolwiek kupił los na loterii, paradoksalnie okazało się, że nigdy! Pomyślałem wtedy, że musi być niezwykle trudno wygrać, jeśli nie bierzesz udziału w grze, a czasem nawet najprostsze sprawy takie, jak Twój udział, wymagają wysiłku.

BEST oferuje fantastyczne możliwości każdemu studentowi uczelni technicznej. Jeśli tylko chcesz wygrać coś dla studentów, edukacji lub po prostu dla samego siebie... obudź w sobie

BESTię, zdobądź bilet i daj sobie szansę na wygraną! Wszystkim odważnym życzę już tylko szczęścia w wygrywaniu swoich marzeń!

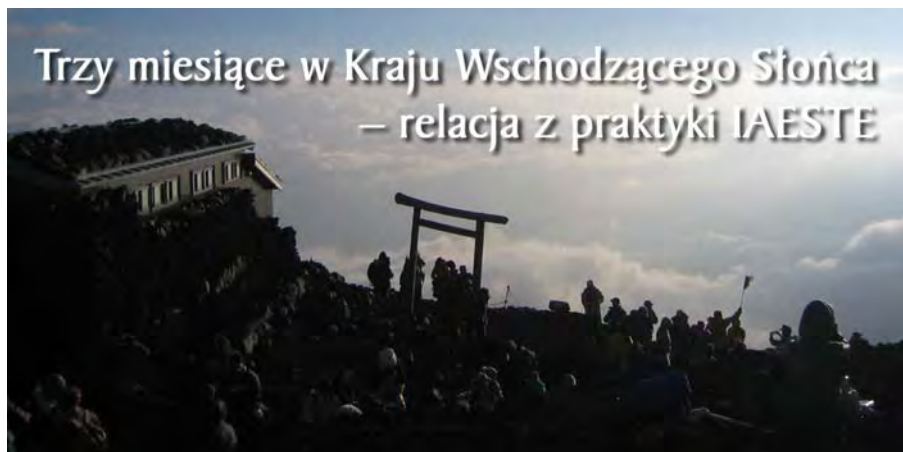
Bartosz Lipnicki

Student Wydziału Zarządzania i Ekonomii

PS. Autor jest członkiem Board of European Students of Technology (BEST). Był założycielem, a w latach 2003–05 prezesem Organizacji Studenckiej BEST Gdańsk (Lokalnej Grupy BEST) przy Politechnice Gdańskiej. W latach 2006–07 pełnił funkcję prezesa Międzynarodowego Zarządu BEST-u.



Grupa członków Organizacji Studenckiej BEST Gdańsk



Wschód słońca na Górze Fuji

Fot. Paweł Żochowski

Gdy byłem na trzecim roku studiów, szukałem możliwości zaktywizowania się. Mój wybór padł na organizację IAESTE, która zajmuje się międzynarodową wymianą studenckich praktyk inżynierskich. W pierwszym roku działalności nadzorowałem akcję letnią, czyli pobyt zagranicznych studentów w Gdańsku. W kolejnym sezonie zebraliśmy dużo więcej ofert praktyk w Trójmieście, co pozwoliło większej liczbie studentów ubiegać się o praktykę.

Ja wybrałem ofertę wyjazdu do Japonii, na Uniwersytet Tokijski. Oferowane warunki były lepsze niż w firmach, również program praktyki bardziej mi odpowiadał. Trochę czasu zajęło mi przygotowanie odpowiednich dokumentów, gdyż strona japońska ma w tej materii wysokie wymagania. Przygotowując się do wyjazdu, obejrzałem fragment filmu dokumentalnego o Tokio i zacząłem się martwić, gdyż zoba-

czyłem ulice pełne ponurych ludzi w garniturach. Napisałem do mojego pracodawcy z pytaniem o strój obowiązujący w pracy i odetchnąłem z ulgą, gdy profesor Hirose wysłał mi zdjęcie z wycieczki górskiej z dopiskiem – podobnie ubieramy się na co dzień. Świetnie – pomyślałem – ja też lubię górskie wycieczki.

W pracy obowiązki praktykanta uzgadnialiśmy na podstawie moich zainteresowań i obecnych potrzeb laboratorium. Wykonałem antenę LTSA, wykorzystywaną do poszukiwania plastikowych min przeciwpiechotnych (jeden z projektów realizowanych w laboratorium), prowadziłem symulację do pracy dyplomowej z filtrów adaptacyjnych oraz poznałem środowisko Labview, pracując nad innym projektem, natury którego nie mogę ujawnić. Na Uniwersytecie Tokijskim studia różnią się od prowadzonych na Politechnice Gdańskiej.

W Japonii studenci wybierają laboratorium, w którym chcą pracować. Te zaś są prowadzone przez profesorów i nazywane od ich nazwisk. W tym układzie student spędza wiele czasu w swoim laboratorium, gdzie ma swoje stanowisko pracy i nie tylko, np. w naszym były trzy wygodne kanapy i małe zaplecze kuchenne. Studenci mają bezpośrednią styczność z profesorem i resztą zespołu – wspólne lunche, seminaria, wycieczki. Każdy ma swoje zadania, jednak członkowie laboratorium razem funkcjonują jako grupa i tak podejmują ważne decyzje. Wszystko to sprawia, iż atmosfera pracy jest bardzo fajna, nie ma miejsca na niezadowolenie, konflikty. Tak właśnie było i w moim przypadku.



Most Shinkyo w Nikko

Fot. Paweł Żochowski



Shibuya

Fot. Paweł Żochowski

Tyle tytułem pracy, zaś wieczorami i w weekendy – korzystajmy z życia! Tak dosłownie, jak i w przenośni, gdyż w Japonii wszędybylska wydaje się fraza – let's enjoy!

Tokyo jest metropolią, w której wspaniale jest się zagubić, by znów odnaleźć, tzn. dojść do stacji metra lub kolei, których sieć sięga daleko i jest doskonale zorganizowana. Jedynym mankamentem jest brak komunikacji miejskiej w nocy – pociągi odjeżdżają po północy, a następne dopiero od piątej, szóstej rano. W stolicy Japonii jest kilka dzielnic pełnych sklepów i miejsc do zabawy, które są szczególnie popularne wśród młodzieży. Należą do nich: Shibuya, Shinjuku czy Roppongi. Ponadto jest wiele pięknych i ciekawych miejsc rozsianych po całym mieście – moim ulubionym są ogrody Hamarikyu.

Chcę także wspomnieć o akcji letniej IAESTE Tokyo, która była świetnie przygotowana: imprezy integracyjne, przedsta-



Taniec Bon Fot. Paweł Żochowski

wienia teatralne, warsztaty kulturowe i wycieczki (np. na Górę Fuji). Po pracy nie można było się nudzić, zwłaszcza że w tym czasie w Tokyo przebywało ponad 50 praktykantów z całego świata. Do każdej nowej znajomości w Japonii podchodzi się w myśl zasady – ichigo ichie, czyli „raz w życiu”.

Mój pobyt w Kraju Kwitnącej Wiśni mogę podzielić na 3 etapy: miesiąc miodowy, okres krytyczny oraz ostatni, integrujący. Podczas pierwszego okresu nie doznałem większego szoku kulturowego. Owszem, język, potrawy i zwyczaje diametralnie odbiegały od tego, do czego przywykłem, jednak wszystko mi odpowiadało, czułem się jak u siebie w domu, na co duży wpływ miała goszcząca mnie rodzina Tsu-bouchi, a szczególnie dzieciaki: siedmioletnia Fuka i pięcioletni Yuki.

W kolejnej odsłonie mojej japońskiej przygody na wiele rzeczy spojrziałem krytycznym okiem, czasami ogarniała mnie samotność i czułem się jak ktoś obcy.

Najgorsze były długie podróże pociągami – z domu do pracy jechałem około dwóch godzin, w dużym ścisku, praktycznie bez szans na nawiązanie rozmowy, znajomości.

Na szczęście faza krytyczna nie trwała długo, a w uciążliwych podróżach pomogły dwie rzeczy: przyjazd Shabaza, Irańczyka, który mieszkał i pracował razem ze mną, oraz zakup elektrycznego gadżetu.

Trzeci etap pobytu to okres, w którym czerpałem z obu kultur: europejskiej i japońskiej. Coraz więcej rozumiałem i potrafiłem przyjąć zasady życia i funkcjonowania w społeczeństwie japońskim. Stwierdziłem też, że w Japonii wszystko opiera się na harmonii, i takie wrażenie mam do dziś.

W Japonii w okresie letnim jest bardzo ciepło, co sprawia, że przyjemnie się podróżuje. Jest też do tego stopnia bezpiecznie, iż można spokojnie spać pod gołym niebem, choć przyznam, że pewnej nocy najadłem się strachu. Stało się tak za sprawą gromady jeleni, bodajże najliczniej reprezentowanego gatunku na Myjiamie, niewielkiej wyspie w pobliżu Hiroszimy. Sama Hiroszima to obecnie prężnie rozwijające się miasto, jednak odwiedziłem je ze względu na Park Pokoju i znajdujące się w nim muzeum oraz Kopułę Bomby Atomowej – ruiny budynku, który znajdował się blisko epicentrum wybuchu, a teraz służy jako pomnik. Następnie udałem się do Himeji, Ama-no-Hashidate i Kyoto – ale to już zupełnie inna historia...

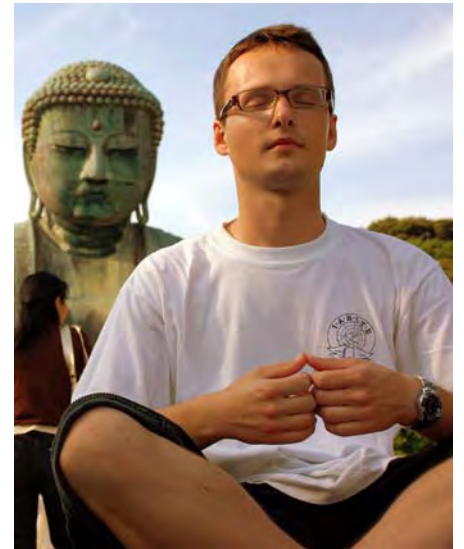
Na zakończenie chcę dodać, iż Japonią zainteresowałem się po raz pierwszy pod

koniec szkoły podstawowej podczas lektury „SHOGUNA” Jamesa Clavella. Lecąc zaś do Tokyo, znałem już sylabiczne pismo japońskie – kanę – oraz miałem pewien zasób słownictwa. Uważam, iż udając się do jakiegoś kraju, warto znać podstawy języka – daje to szansę na prawdziwe poznanie kultury i ludzi, którzy z niej się wywodzą. Dlatego cieszę się, że teraz można uczyć się japońskiego w Studium Języków Obcych Politechniki Gdańskiej.

Niech ten akapit będzie zachętą do czytania książek i nauki języków obcych, zaś artykuł – promocją działalności studenckiej.

Paweł Żochowski
Student Wydziału Elektroniki,
Telekomunikacji i Informatyki

Fot. autor



Autor i posąg Buddy Daibutsu w Kamakurze
Fot. Sofyan Tan

Konkurs „Browar Wrzeszcz” rozstrzygnięty! Studenci Politechniki Gdańskiej zdobyli nagrody główne

Śpośród dwunastu koncepcyjnych projektów zagospodarowania i zabudowy terenu po Browarze w Gdańsku Wrzeszczu wybrano dwa najlepsze, a jedną pracę uhonorowano wyróżnieniem specjalnym. Jury nie wyłoniło zwycięzcy, dwie równorzędne nagrody zdobyli studenci architektury Politechniki Gdańskiej. Wyróżnienie przypadło w udziale politechnikom z Poznania.

Celem konkursu było uzyskanie najlepszego pod względem funkcjonalnym, estetycznym i użytkowym projektu architektoniczno-urbanistycznego, obejmującego teren po Browarze w Gdańsku (na wschód

od ul. Kilińskiego), z uwzględnieniem charakteru i rangi miejsca.

– *Przyznanie nagród nie było łatwą decyzją, ponieważ wszystkie prace prezentowały wysoki poziom. Zdecydowaliśmy się nie przyznawać pierwszego miejsca. Wyróżnione prace konkursowe wykazały wiele ciekawych koncepcji zagospodarowania terenów starego Browaru w Gdańsku. Jesteśmy przekonani, iż część pomysłów zawartych w wyróżnionych pracach ma szansę znaleźć odzwierciedlenie w ostatecznym projekcie* – mówiła podczas rozstrzygnięcia konkursu sędzia przewodnicząca dr hab. inż. arch. Elżbie-

ta Ratajczyk-Piątkowska z Katedry Architektury Użyteczności Publicznej na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej.

Równorzędne drugie miejsca zdobyły dwuosobowe zespoły: Katarzyna Badera i Bartosz Arend oraz Katarzyna Rosa i Krzysztof Pietras.

– *Jesteśmy zaskoczeni, ale bardzo szczęśliwi, że nasza praca została doceniona. Dziękujemy* – cieszyli się Katarzyna Badera i Bartosz Arend. – *Nasz projekt zawiera koncepcję zwartej centrum handlowego powiązanego z zespołem zabudowy mieszkaniowo-usługowej wzdłuż*



ulicy Kilińskiego, tworząc tym samym pasaż handlowy zapewniający komunikację pieszą pomiędzy placem Wybickiego a ulicą Kilińskiego.

Jury konkursowe doceniło też przedłużenie założenia parkowego wzdłuż rzeki Strzyży. Druga nagrodzona praca ujęła komisję konkursową faktem, że autorom udało się znaleźć odpowiednie proporcje pomiędzy funkcją mieszkaniową a usługową. Niewątpliwym plusem okazały się także czytelne rozwiązania komunikacji pieszej. Najistotniejszym atutem tego opracowania było zintegrowanie części naziemnych z zabytkowymi piwnicami poprzez dodanie nowych powierzchni.

W wyróżnionej pracy studentów Politechniki Poznańskiej komisja doceniła próbę niekonwencjonalnego wyeksponowania browaru w skali urbanistycz-

nej względem otoczenia i jako niepowtarzalnego miejsca w skali miasta.

Zwycięskie zespoły otrzymały nagrody w wysokości 6,5 tysiąca złotych, zaś autorzy wyróżnionej projektu – 5 tysięcy złotych. Dodatkowo członkowie wszystkich zespołów otrzymali licencje programu 3ds MAX ufundowane przez firmę Autodesk, uprawniające do komercyjnego wykorzystywania oprogramowania w okresie studiów.

Konkurs przebiegał pod patronatem Pawła Adamowicza, prezydenta Gdańska, i Janusza Rachonia, rektora Politechniki Gdańskiej. Organizatorem konkursu było przedsiębiorstwo budowlane Górski Sp. z o.o. we współpracy z firmą Autodesk.

Katarzyna Żelazek
Biuro Prasowe
Fot. Marek K. Jasina

Specjalistyczny język obcy – niezbędny każdego studenta

Wraz z wejściem Polski do Unii Europejskiej i otwarciem zachodnich uczelni i rynków pracy dla Polaków zmieniły się oczekiwania studentów wobec systemu nauczania języków obcych w szkołach wyższych. Świadomi możliwości rozwoju naukowego i zawodowego, jakie daje studentom i absolwentom kierunków technicznych i ekonomicznych swoboda przekraczania granic oraz dostęp do najnowszych publikacji z wybranych dziedzin, młodzi ludzie coraz powszechniej domagają się nauczania specjalistycznego języka obcego w ramach lektoratu.

Wychodząc naprzeciw potrzebom współczesnego studenta, studia języków obcych wielu uczelni podjęły wysiłek przygotowania programów nauczania języka specjalistycznego.

Również Studium Języków Obcych Politechniki Gdańskiej aktywnie reformuje swój system nauczania pod tym kątem. Od roku akademickiego 2006/2007 nasi lektorzy przygotowują ramowe i szczegółowe programy dla poszczególnych wydziałów i kierunków. Ramowy program poza analizą tekstów i nauką terminologii zakłada również nabycie umiejętności przygotowywania prezentacji, pisanie streszczeń, interpretacji rysunków, diagramów związanych z tematyką techniczną, czytanie dokumentacji technicznej, instrukcji obsługi, opisy procesów, a więc

szereg zagadnień ściśle związanych z umiejętnością posługiwania się językiem fachowym w sytuacjach praktycznych. Poza modulem technicznym przygotowujemy również moduł języka świata pracy, obejmujący elementy komunikacji interpersonalnej, czy moduł small business, który powstał na życzenie studentów i cieszy się ogromnym zainteresowaniem.

Pracujemy również nad skryptami do nauki języka specjalistycznego, w paź-

dzierniku bieżącego roku ukazał się podręcznik *English for Mechanical Engineering* mgr. M. Adamczyka i mgr. B. Dawidowicza. Mgr A. Kucharska-Raczunas i mgr J. Maciejewska przygotowują skrypt dla studentów, chcących zapoznać się z terminologią fachową w języku angielskim z dziedziny matematyki, a nad skryptem dla studentów Wydziału Chemicznego pracuje mgr D. Horowska. Wcześniej powstały skrypty: *Technical English Grammar* autorstwa mgr G. Gójskiej, *Deutch fur technische Berufe* – H. Olejnik i *Technical Writing in English* – mgr I. Mokwy-Tarnowskiej, która prowadzi kurs academic writing na platformie Mo-



Dr Tomasz Saryusz-Wolski, Seminarium Bolońskie na PG, 15 grudnia 2006 r.

Fot. Krzysztof Krzempek

odle (książki te są w stałej sprzedaży w księgarni PG). Poza tym korzystamy z wydawnictw innych politechnik, przede wszystkim krakowskiej, a studenci wydziału ETI i EiA uczą się z podręczników Oxford University Press: *Information Technology, English for Computing, English for Electrical and Mechanical Engineering*. Wszystkie kursy sprofilowane dostępne są dla studentów, którzy opanowali język przynajmniej na poziomie średnio zaawansowanym. Studentom na niższych poziomach proponujemy naukę języka technicznego ogólnego na bazie podręczników *Technology* i *Tech Talk* (Oxford University Press). Nauczyciele innych języków niż angielski mają niestety dużo trudniejsze zadanie niż angliści, gdyż większość materiałów muszą opracowywać samodzielnie, na rynku są nieliczne pozycje z zakresu języka specjalistycznego obcego.

Odrębny program i propozycje przygotowaliśmy dla studentów Wydziału Zarządzania i Ekonomii. Od lat uczymy języka biznesu angielskiego, niemieckiego, hiszpańskiego i rosyjskiego. Obecnie mamy opracowaną nową poszerzoną ofertę, w ramach lektoratu będziemy uczyć studentów pod kątem egzaminów międzynarodowych BEC. Studenci Europeistyki zakończą natomiast lektorat j. angielskiego obowiązkowym zewnętrznym egzaminem IELTS, a naukę innych języków – wewnętrznym egzaminem centralnym.

Wszystkie te przedsięwzięcia wymagają od naszych lektorów ogromnego zaangażowania i wysiłku. Uczestniczymy też w licznych szkoleniach i konferencjach poświęconych nauczaniu języka specjalistycznego, starając się jak najlepiej przygotować do nowych wyzwań i zadań. We wrześniu wzięliśmy udział w warsztatach metodycznych zorganizowanych przez Studium Języków Obcych Politechniki Krakowskiej. Lektorzy tej uczelni dzielili się z nami swoimi doświadczeniami w nauczaniu języka technicznego, pokazując, w jaki sposób tworzą nowe programy i jak realizują je w praktyce. Przybliżali nam sposoby adaptacji tekstów technicznych, tworzenia na ich bazie ćwiczeń i ich praktycznego wykorzystania w trakcie zajęć. Lektorzy SJO Politechniki Krakowskiej zainicjowali serię wydawniczą do nauczania języka fachowego na poszczególnych wydziałach, którą wykorzystujemy również w pracy ze studentami na Politechnice Gdańskiej. Powstały już takie skrypty, jak: *English for Environmen-*

tal Engineering, Reader Friendly Civil Engineering, Modern Wonders of Civil Engineering, Reading Companion for students of Architecture, Architecture in English, Transport & Logistics..., *English Through Electrical Energy Engineering, Angst vor Fachtexten? Das kann doch leichter sein, Texte zur Wahl... für Studenten der Fachbereiche Architektur & Bauingenieurwesen, Fachworterverzeichnis i Alles digital*; w zapowiedzi są kolejne tytuły. Inne jednostki podejmują podobne wyzwania, chociaż na mniejszą skalę.

Kolejnym, niezwykle ważnym elementem, bez którego całe przedsięwzięcie związane z wdrażaniem języka obcego specjalistycznego nie miałyby szans powodzenia, jest silne wsparcie ze strony władz wydziałów i uczelni. Przede wszystkim, zarówno programy języka fachowego, jak i podręczniki powstają pod kątem potrzeb poszczególnych wydziałów. Niezbędna jest więc konsultacja lub wręcz ścisła współpraca przy tworzeniu skryptów, aby zostały w nich ujęte wszystkie niezbędne zagadnienia i nie pojawiły się rażące błędy w użyciu terminologii fachowej. Ani humanista nie jest w stanie wziąć pełnej odpowiedzialności za merytoryczną poprawność tekstów, ani inżynier nie potrafi napisać dobrego podręcznika do nauki języka. Wszyscy rozumiemy potrzebę i znaczenie nauki języka fachowego, zdając sobie sprawę, że przyszłość naszych absolwentów często zależy od stopnia znajomości języka obcego i umiejętności poruszania się w międzynarodowym środowisku pracy lub akademickim.

Władze wielu uczelni i wydziałów wykazują pełne zrozumienie dla powyższych problemów i nie zamykają studenckim możliwości uczenia się języków obcych na studiach II stopnia, mimo że nie jest to przewidziane w standardach ministerialnych, dodając na ogół 60 h (np. Politechnika Łódzka i Poznańska). Często zwiększany jest również wymiar godzin na studiach I stopnia, np. Politechnika Warszawska proponuje od 180 do 210 h w zależności od wydziału, a Politechnika Łódzka 180 h plus 60 h dla słabszych studentów. Biorąc pod uwagę fakt, że jedynie 30% osób rozpoczynających naukę w SJO PG zna język obcy na poziomie biegłości B1 Europejskiego Systemu Opisu Kształcenia Językowego Rady Europy, przy realizacji wymaganego minimum programowego 120 h, tylko oni będą mieli szansę osiągnąć poziom B2 wymagany przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa

Wyższego. To właśnie na studiach II stopnia studia języków obcych, które będą miały taką możliwość, planują nauczanie języka specjalistycznego, gdy studenci osiągną już odpowiedni poziom znajomości języka ogólnego. Nie sztuką jest bowiem wykucie na pamięć fachowych terminów, ważniejsze jest, by umieć je położyć w logiczne zdania i dłuższe wypowiedzi.

Poszczególne SJO, mimo że pracują nad reformą programów nauczania, indywidualnie dostosowując je do specyfiki i potrzeb swoich uczelni, nie są osamotnione w swoich wysiłkach. Coraz większa liczba jednostek należy do SERMO, czyli Stowarzyszenia Akademickich Ośrodków Nauczania Języków Obcych, którego zasadniczymi celami wpisanymi w statut organizacji są:

- 1) integracja środowiska akademickich ośrodków nauczania języków obcych oraz reprezentowanie interesów tego środowiska w kraju, za granicą oraz w organizacjach międzynarodowych,
- 2) rozpowszechnianie kryteriów dobrej praktyki w nauczaniu języków obcych i troska o wysoki poziom świadczonych usług edukacyjnych,
- 3) podejmowanie działań mających na celu harmonizację programów nauczania języków obcych,
- 4) podejmowanie działań mających na celu standaryzację kryteriów oceny wyników nauczania,
- 5) dbanie o wysoki poziom materiałów i wysoką jakość środków dydaktycznych wykorzystywanych w praktyce zawodowej.

Członkami SERMO są kierownicy SJO i ich zastępcy, a więc osoby najlepiej zorientowane w funkcjonowaniu swoich jednostek i upoważnione do podejmowania działań i wiążących decyzji. W naszych spotkaniach często biorą udział w charakterze gości członkowie władz różnych uczelni, na ostatnią debatę przybył także prof. Stefan Jurga, Sekretarz Stanu w Ministerstwie NiSzW, a wcześniej dr Tomasz Saryusz-Wolski, promotor procesu bolońskiego i dyrektor Centrum Kształcenia Międzynarodowego Politechniki Łódzkiej, który szczerzy się tym, że 100% jego studentów spędza przynajmniej jeden semestr, studiując na zachodnich uczelniach w ramach unijnych programów wymian studenckich i podkreśla, że potencjalny pracodawca zagraniczny zainteresowany jest w pierwszej kolejności stopniem znajomości języków obcych kandydata. War-

to przypomnieć, że dzięki staraniom kierownictwa SJO w grudniu 2006 r. odbyło się na naszej uczelni Seminarium Bolońskie z udziałem dr. Saryusza-Wolskiego. Dzięki spotkaniom SERMO jesteśmy zorientowani, co dzieje się w SJO na innych uczelniach, możemy czerpać z doświadczeń innych jednostek, korelować nasze działania, a najbliższe listopadowe zebranie ma być poświęcone właśnie językowi specjalistycznemu i wypracowaniu wspólnych standardów w jego nauczaniu. Wśród wniosków SERMO skierowanych do Ministerstwa NiSzW znajduje się też postulat wprowadzenia kursów zorientowanych na język specjalistyczny na studiach II stopnia, gdyż na tym etapie studenci posiadają już podstawową wiedzę ze swojej dziedziny. Poza tym, ci studenci, którzy skorzystają z prawa zmiany kierunku studiów po I stopniu w ramach procesu bolońskiego, powinni mieć możliwość ukończenia kursu języka fachowego w swojej specjalizacji.

Istotne jest, aby w dobie globalizacji i mobilności studentów, absolwentów i pracowników władze szkół wyższych postrzegały studia języków obcych jako ośrodki wspierające umiędzynarodowienie nauczania, a ich ambicją było wykształcenie młodych ludzi zdolnych do

swobodnego funkcjonowania w swoim zawodzie w środowisku międzynarodowym. Ważne, by studenci i absolwenci byli przygotowani językowo do pracy z zagranicznymi kontrahentami na poziomie równorzędnych partnerów, a niska znajomość języka nie ograniczała ich tylko do roli pomocników majstrów na budowach w Irlandii czy barmanów w angielskim pubie. Wyjeżdżając za granicę w ramach programów unijnych Erasmus/Sokrates, czy do pracy w swoim zawo-

dzie, młodzi inżynierowie poszerzają swoją wiedzę, zdobywają nowe, bezcenne doświadczenia, uczą się nowych technologii, innych form pracy, które później wykorzystują i wprowadzają na rodzimym gruncie. Bez biegłości językowej ich rozwój zawodowy jest w znacznej mierze ograniczony, a przynajmniej spowolniony.

*Jolanta Wielgus
Studium Języków Obcych*



Warsztaty metodyczne w Krakowie

Fot. A. Mieszkowska

„Za to, że byłeś dobrym szewcem, mianuję cię krawcem”

Legendarny Zakład Mechaniki Precyzyjnej w Gdańsku we współpracy z Politechniką Gdańską

Szukałem na ul. Jaśkowa Dolina Zakładów Mechaniki Precyzyjnej, do których jako technik zostałem skierowany nakazem pracy. Przeszedłem spory kawałek ulicy od Grunwaldzkiej w górę. I nic. Ludzie nie słyszeli. Jedna pani powiedziała, że na początku jest „coś”, ale na bramie reklamowało się ZMP.

– *Niech Pan tam lepiej nie wchodzi.*

Zaryzykowałem. Cóż było robić. A nuż. I to były Zakłady Mechaniki Precyzyjnej w Gdańsku. Mało znane i do tego więcej tajne niż jawne. Był 15 lipca 1953 roku.

Zakłady Mechaniki Precyzyjnej powstały w 1952 roku z przekształcenia Spółdzielni Student, zajmującej się techniczną działalnością usługową. Z ponie-

mieckiej suteryny na dzisiejszej ulicy Lenziona we Wrzeszczu, niewielki dobytek przeniesiono do małej willi i pasa baraków przy Jaśkowej Dolinie. Stanowiły one zaplecze policji gdańskiej, a po wojnie stały się zbędne posterunkowi Milicji Obywatelskiej Wrzeszcz przy ul. Grunwaldzkiej. Ówczesne władze miasta Gdańska organizowały życie przemysłowo-handlowe i naukowe. Okazało się, że w kraju nie ma wag precyzyjnych. A potrzebne były wszędzie. Dosłownie i w przenośni. Od Politechniki Gdańskiej, Akademii Medycznej, przez zakłady farmaceutyczne, apteki, aż po odradzający się przemysł.

Wybór producenta wag padł na Zakłady Mechaniki Precyzyjnej. Zatrudniono

jednego inżyniera mechanika, absolwenta Politechniki Gdańskiej z 1951 roku, pana mgr. inż. Henryka Gliszewskiego. Pelen werwy i rzetelnej wiedzy inżynier szybko uruchomił manufakturalną produkcję wag precyzyjnych. Miał do dyspozycji wspaniałych współpracowników. Byli to pracownicy i mistrzowie z przedwojennego przemysłu zbrojeniowego zlokalizowanego w trójkącie COP. Zatrudniono również świeżo upieczonych, w ramach nakazu pracy, ale prymusów, po Technikum Budowy Maszyn w Elblągu. I tak ruszyła precyzyjna machina. Brakowało maszyn, materiałów, chemikaliów – wszystkiego. Powszechny wówczas dowcip o zaopatrzeniowcach mówił, jak o górnikach: „Z podziemi macie wydobyć, ale być musi”. Poprawiło się znacznie, kiedy pierwsze skutecznie działające wagi trafiły do odbiorców, również wojska.

Otrzymaliśmy ogromne zamówienie na wytwarzanie sprawdzianów i przeciw-sprawdzianów do produkowanej amunicji i innych masowo powstających materiałów wojskowych. Zakład szybko stanął na nogi. Zakupiono budynek dawnego

PSS na ul. Klinicznej. I tam przeniosła się Mechanika.

Przy pomocy profesora Włodzimierza Rodziewicza, również z PG, uruchomiono procesy galwaniczne, to jest cynkowanie, kadmowanie, miedziowanie, niklowanie i chromowanie przemysłowe. Sukcesem na skalę krajową były procesy obróbki powierzchniowej aluminium. Wiedzę teoretyczną i technologiczną przekazał nam wieloletni pracownik Politechniki Gdańskiej, starszy wykładowca Alfons Kwiczor, nazywany przez nas profesorem. Zakłady zakupiły licencję C. Platha w Hamburgu na produkcję kompasów magnetycznych. Perfekcyjna znajomość języka i ogromna wiedza w zakresie procesów magnetycznych w metalach pozwoliła pracownikom zakładu na szybkie opanowanie produkcji i zaopatrzenie nie tylko własnego, dość dynamicznie rozwijającego się przemysłu okrętowego, ale i na znaczący eksport do wielu krajów – kompasów zagranicznych łodziowych i okrętowych, a nawet peryskopowych. Dochodziła tu już technika optyczna, ale Alfons Kwiczor poradził sobie przy pomocy Polskich Zakładów Optycznych w Warszawie.

Młodzi technicy w ślad za zachętami kierownictwa zakładu i współpracowników z PG rozpoczęli naukę na Politechnice Gdańskiej. W znaczny sposób podniosło to poziom techniczny i technologiczny zakładu. Szczególnie należy podkreślić ówczesne konkursy na pracę społecznie użyteczną. Jeden ze studentów zdobył I miejsce w konkursie ogólnowojewódzkim za pracę na temat alternatywnych technologii produkcji belek do wag analitycznych, nienarządzających tych wyrobów na naprężenie wewnętrzne.

Nowe technologie, nowoczesne obrabiarki i narzędzia skrawające przybliżyli studentom nie tylko na uczelni, ale i w zakładzie profesor Stanisław Miłoś i profesor Stanisław Horiszny, a ze spawalnictwa – profesor Mieczysław Myśliwiec.

Największym sukcesem były jednak w owych czasach związki nazywane nieformalnymi: przyjaźnie ludzkie pomiędzy uczonymi, wykładowcami, studentami i pracownikami z zakładu. I niekoniernie inżynierami. Naukowcy cenili niezwykle mistrzów w zakładzie ślusarskim czy galwanizerów. Mgr inż. Henryk Gliszewski po przejściu na emeryturę podjął się nowatorskiej pracy badawczej, która miała zgłębić tajemnicę pracy zespołowej i indywidualnej – skąd się biorą autorytety, sukcesy i miłość do zawodu.

Problemy obróbki cieplnej, szczególnie stali, ale i później normalizacji aluminiowych stopów pomagał rozwiązywać profesor Marian Sienkowski. I co było fantastycznym doświadczeniem „młodych wilków” w Mechanice – nie bali się pytać profesorów o swoje zakładowe problemy w czasie wykładów. Często dyskusje były naprawdę pasjonujące, bo efekty sprawdzono w laboratorium.

Rosły z każdym rokiem wymagania naukowe. Tytuły inżynierów stały się w Mechanice powszechne. Biuro konstrukcyjne i technologiczne zatrudniało kilkunastu inżynierów, a nawet dwóch doktorów nauk technicznych. Przychodzili do biura pracownicy warsztatu, pytając – pół żartem, pół serio – czy to prawda, że Mechanika ma być połączona z Akademią Medyczną, bo mamy już dwóch doktorów.

Prawda wówczas była bardziej złożona niż się wydawać mogło przeciętnemu obserwatorowi. Zakłady były stanowczo za małe na badania naukowe i laboratoryjne. Powstawały tzw. zakłady doświadczalne, ale o ich zadaniach pojęcia nie mieli poważni decydenci. Zakłady doświadczalne mają produkować! I to było przyczyną powszechnego hamowania gospodarki. Oczywiście, że przeniesiono poważną część obciążeń na Politechnikę Gdańską. Szczególnie jednak przyznać należy, że pogoń Politechniki Gdańskiej, i chyba nie tylko wówczas, za pieniądzem była przyczyną tego, że badania były powierzchniowe i przeważnie praktyczne, rzadko odkrywcze i dorównujące osiągnięciom Zachodu. Sądzę, że w tym miejscu jest stworzony moment, aby określić ten problem jednoznacznie. Muszą być nakłady na badania w przemyśle i na naukowe badania w uczelniach. To może przynieść zysk jutro. To przyniesie zyski pojutrze. To pewność.

W owych czasach dochodził jeszcze jeden problem stricte polityczno-strategiczny. Było RWPG i ZSRR. Kto widzi jakieś różnice – to po prostu się myli. Zakłady Mechaniki Precyzyjnej produkowały swoje wyroby do trzydziestu jeden krajów na świecie, ale najwięcej do ZSRR. Nie otrzymały na żaden z kilkudziesięciu wyrobów specjalizacji w ramach RWPG. Nie otrzymały zezwolenia na współpracę i nie przystępowały do podziału rynków zbytu z Sartoriusem (RFN), Mettlerem (RFN) czy producentami wag w USA. Nie, i to kategorycznie NIE. Miarę goryczy dopełniło zmniejszenie eksportu wag i innych wyrobów do ZSRR. Państwo to

uruchomiło swoją produkcję podobnych do naszych wyrobów. I co? I nic. Mechanika jednym podpisem premiera Piotra Jaroszewicza przeszła z produkcji mechanizmów precyzyjnych, takich jak wagi analityczne, kompasy okrętowe, aparaty izolujące, aparaty do pływania podwodnego, maszyn dziewiarskich i innych – na produkcję magnetofonów.

Pan Zbigniew Jujka trafnie zobrazował owo zdarzenie w satyrze rysunkowej. Siedzi król na tronie i mówi do kłęczącego kmiotka: „Za to, że byłeś dobrym szewcem, mianuję cię krawcem”.

1200 pracowników stanęło przed alternatywą: przekwalifikować się, czy szukać nowego zatrudnienia. Stare typy magnetofonów ZR Kasprzaka w Warszawie, to pozornie proste produkcje. Przyjęto na taśmę młodych, nowych pracowników i nielicznych „starych”, którzy zaryzykowali jeszcze raz w życiu. Efekt był opłakany. Nawet czterdzieści procent magnetofonów cofano do poprawy. Przypomniało sobie o Fordzie. Wprowadzono system montażu gniazdowego. Problem opanowali „starzy” pracownicy, ale nie pomogło to na dalszą metę, bo brak doświadczenia w przemyśle elektryczno-elektronicznym i nawyki do ręcznego montażu i regulacji – pozostały. Zakład nigdy nie osiągnął pełnej masowej, firmowej produkcji. I upadł.

Nie pomogło wsparcie zakładu wysokimi czynnikami społeczno-politycznymi, ani pracownikami PG. To nie była wina ani dyrekcji, ani załogi. To było tak, jak z owym szewcem.

Pozostały jeszcze mury zakładu i tablica pamiątkowa na ul. Beniowskiego 5 w Oliwie, poświęcona tym, którzy siły swoje oddali pięknemu zawodowi mechanika precyzyjnego. Tym, których wyroby przetrwały i są dalej używane w licznych laboratoriach w kraju i na świecie. Tym, którzy rozumieli, że nauka jest niezbędna, aby trud ludzkich rąk okazywał się skuteczny.

Dziękować należy wielu profesorom i pracownikom Politechniki Gdańskiej oraz Akademii Sztuk Pięknych za pomoc i wsparcie naukowo-techniczne czy artystyczno-techniczne i ergonomiczne, w produkcji bardzo skomplikowanych wyrobów, które powstały w legendarnych już Zakładach Mechaniki Precyzyjnej w Gdańsku.

*Antoni Dutko
Absolwent PG,
inżynier z roku 1965
i magister z roku 1970*

Wspomnienia „Lufki”, asystenta z Miernictwa

Obowiązki asystenta w Katedrze Miernictwa Elektrycznego i Pomiarów Maszyn objąłem jeszcze jako student, z początkiem lutego roku 1950. Profesor Trzetrzewiński znał moje ówczesne przezwisko „KLERYK”, które nadal mi o rok młodszy kolega Konstanty Kazigrotowski. Razem z Mietkiem Musielakiem w roku 1948 byliśmy na praktyce wakacyjnej w fabryce „Inż. Cisewski” (teraz Eltra) w Bydgoszczy. W niedługim czasie przyjęło się jednak określenie „LUFKA”, gdyż nałogowo paliłem bezustnikowe papierowy „Giewont”, osadzone w szklanej lufce. Ale istotne uzasadnienie tego przezwiska miało podłoże dydaktyczne. Byłem dociekliwy i wymagający, więc bardzo często wystawiałem studentom negatywne oceny, czyli „LUFY”. Błędy i niedociągnięcia słownie oceniałem bardzo ostro.

Na tym tle doszło do spięcia z grupą, rozpoczynającą zajęcia na kursie inżynierskim w semestrze wiosennym 1953. Grupę tę tworzyli Berdecki Zygmunt, Pankanin Bernard i Ryczakowicz Zofia. W E-22 montowali oni układ pomiarowy do „Badania galwanometru statycznego”, a schemat był całkowicie wadliwy. Przyczynę stanowiła technika wykonywania połączeń metodą poszczególnych węzłów. Tak np. od wyłącznika doprowadzono przewód do rezystora normalnego, a do jego zacisku przykręcano dodatkowo jeszcze jeden przewód, który miał dochodzić do miernika (ten zostawał chwilowo wolny). Do drugiego zacisku rezystora normalnego przyłączano rezystor regulacyjny, którego koniec łączyło się z akumulatorem itd. Dodatkowy przewód był jeszcze wolny, a kwestia, gdzie go dołączyć, stanowiła zagadkę. Sprawdziłem układ i poinformowałem o prawidłowym sposobie łączenia: należy całościowo realizować poszczególne obwody.

Po wykonaniu nowego układu znów stwierdziłem ogromne błędy, bo nadal stosowano technikę łączenia metodą węzłów. Zarządziłem ponowne wykonanie schematu prawidłową techniką „poszczególnych obwodów”. I tu pozwoiliem sobie na dokuczliwy komen-

tarz: „gdybym ja popełnił takie błędy – to wlażłbym pod stół i zawył psim głosem”. W chwilę potem odchodziłem do innego stoiska, ale usłyszałem damski głos recytujący obraźliwą „grę półśłówkę”. Miałem ochotę zrewanżować się pięknym za nadobne – ale zrezygnowałem. Rachunek ten nie został wyrównany nawet wówczas, gdy delikwentka studiowała na kursie magisterskim i ponownie ćwiczyła w naszym laboratorium.

Inna przygoda wydarzyła się w semestrze wiosennym 1954, przy ćwiczeniu „Metoda trzech amperomierzy i trzech woltomierzy”. Ten temat na kursie inżynierskim wykonywała grupa trzech studentek: Tarkowska Maria, Tomczak Aleksandra i Wilczyńska Danuta. I tutaj występowała wadliwa technika montowania schematu, co prowadziło do istotnych błędów układu. Nakazałem zatem rozłączyć i wykonać połączenia od początku. Czas mijał, a ćwiczenie jeszcze nie ruszyło, więc stanąłem koło stołu i czekałem na ukończenie połączeń, Tarkowska, nachylna nad matem stołu, nie spostrzegła mojej obecności i rzuciła dość głośno: „Teraz dobrze! Niech się wypcha!” Podniosła głowę i zdębiała. Wilczyńska wpychała chusteczkę do rozdzielonych ust, a Tomczak uciekła do sali E-22. Układ teraz istotnie był całkiem poprawny.

Tak się złożyło, że 19 marca 1954 doznałem perforacji wrzodu żołądka, co spowodowało operację chirurgiczną i późniejszy okres rehabilitacji. Do pracy wróciłem pod koniec maja, tak że uczestniczyłem w przeprowadzaniu kolokwium zaliczeniowych. Ta właśnie grupa trafiła do mnie na kolokwium i powitałem ją następującym powiedzonkiem „życzenia studenckie czasem się spełniają, ale w zmienionym sensie; zamiast WYPCHAĆ mnie POKROJONO”. Studentki były porządnie przygotowane i uzyskały oceny dobre.

W poprzednim roku jedna grupa studentów naruszyła regulamin zajęć i miałem usunąć ją z sali laboratorium. Sprawozdania z wykonanego ćwiczenia każdy student pisał indywidualnie, jedynie dane liczbowe były jednako-



we. Szczególną wagę przywiązywaliśmy do dyskusji otrzymanych rezultatów, a to wymagało indywidualnego przemyślenia. Warunkiem dopuszczenia do następnego zadania było oddanie poprzedniego sprawozdania. Grupa w składzie: Iłowiecki Henryk, Hładki Bohdan i Haczkur Grzegorz przyszła na ćwiczenie „Pomiar mocy trójfazowej układem Arona” bez sprawozdań z poprzedniego tygodnia. Twierdzili, że nie mogli napisać sprawozdań, bo jako członkowie ZMP zostali wysłani na wieś (koło Tczewa), by agitować rolników za wstępowaniem do powstającego gospodarstwa zespołowego (czyli kółchozu). Przeciwno usunięciu z laboratorium protestowali – wobec czego doradziłem im odwołać się do Profesora. Na to Hładki powiedział „dajmy spokój, nic u niego nie da się załatwić”.

Na marginesie chcę przytoczyć wiadomość od kolegi Sucheckiego (asystenta w Laboratorium Wysokich Napięć), że podobna sprawa i tam się wydarzyła. Adiunkt Grudziecki usunął ich z laboratorium i wobec protestu – skierował do profesora Szpora. Profesor ich przyjął w swym gabinecie, wysłuchał wyjaśnień i doradził zwrócić się do dziekana. Tutaj Iłowiecki dalej pociągnął wywiad: „A dziekan napisze kartkę do Pana Profesora żeby nas dopuścić do ćwiczenia?”. Na to padła odpowiedź: „Jeżeli tak, to odpiszę dziekanowi, by mi nie urządził bałaganu w laboratorium. Żegnaj panów”.

W roku 1958, podczas kolokwium zaliczeniowego, złapałem studenta na próbie ściągania. Marian Wysiński siedział przy stole stojącym w E-21 po lewej stronie drzwi do sali E-22. Wiercił się dość podejrzanie, więc wyszedłem do sąsiedniej sali i przez szczelinę koło zawiasów skrzydła drzwiowego obserwowałem delikwenta. Dostrzegłem, że wsunął rękę do prawej kieszeni spodni i wtedy dostrzegł, że jest obserwowany.

ny, więc natychmiast rękę wyjął. Podszedłem do niego i zażądałem: „Niech pan pokaże, co ma w kieszeni”. Z lewej kieszeni wyjął chusteczkę i paczkę papierosów – a rękę położył na stole. Tutaj interweniowałem: „proszę pokazać całą zawartość, wywracając kieszeń całkowicie”. Wówczas ukazały się notatki do niektórych tematów ćwiczeń. Teraz poleciłem: „Obecnie druga kieszeń”, z której ukazały się inne tematy. W tym stanie rzeczy poleciłem mu opuścić salę, a on powiedział: „słowo daję, iż nie ściągałem”.

Takie zapewnienie zrobiło na mnie mocne wrażenie i zacząłem analizować zapisane odpowiedzi. Okazało się, iż we wzorze na błąd nieczułości w mostku Wheatstone’a pojawia się niewłaściwy symbol: stała prądowa galwanometru oznaczona jako 'GI' zamiast poprawnego 'CI'. Ta sama usterka występowała też w skonfiskowanej ściągałce. Po tygodniu laborant Edmund Tomczak (skaptowany przez Wysińskiego) zapytał mnie, czy sprawdziłem odebraną piśmienną odpowiedź? „Tak, panie Edziu. Niech mu pan powie, że stała prądowa galwanometru ma symbol 'CI' a nie 'GI' On już to zrozumie”.

Zima 1957/58 była bardzo mroźna i obfitowała w opady śniegu. Nic więc dziwnego, że jako obuwie nosiłem tak zwane „narciarki”. Takie buty miały wysokie cholewki, a ich sznurowanie było osłonięte zewnętrznym skórzanym „językiem”. Język ten był wyposażony w rzemyk obejmujący kostkę nogi i miał sprzączkę do zapięcia. Takie obuwie powszechnie nosili nasi studenci.

Kolokwium zaliczeniowe było mocno uciążliwe, gdyż zajęcia laboratoryjne obejmowały aż 16 tematów i odbywały się dwa razy w tygodniu. Kolokwium w sali E-21 zdawały równocześnie dwie trójosobowe grupy ćwiczeniowe. Przy stole stojącym pod oknem krótkiej ściany siedział wysoki, wysportowany młodzieniec i intensywnie pisał swe odpowiedzi; ja spacerowałem wzdłuż sali. W czasie gdy wędrowałem w stronę klatki schodowej – wkładał prawą rękę pod zewnętrzny język prawej narciarki. Gdy podczas spaceru robiłem zwrot – on kładł rękę na stole. To powtórzyło się parę razy, aż podszedłem do niego i poleciłem, by zdjął prawy but. Wywołało to wyraźny chichot innych zdających, tym bardziej, iż w bucie ściągałki nie było!

Domyśliłem się, iż była to pułapka na mnie, gdyż po tej wpadce (bojąc się śmieszności) – nie będę „się czepiał”. Nasuwał się wniosek, że uczestnicy owej podgrupy mają przy sobie pełny zestaw ściągałki. Zdołałem upilnować jednego i odebrałem mu komplet 16 ściągałki. Część z nich była pisana przez kalkę, więc nie było trudności, by skontrolować innych uczestników. Całą podgrupę usunąłem.

We wczesnych latach pięćdziesiątych prof. Eugeniusz Kenig prowadził wykłady z „elektrotechniki stosowanej” dla studentów innych wydziałów. Przedmiot ten obejmował także zajęcia laboratoryjne, złożone z dwu osobnych cykli tematycznych. Ćwiczenia z zakresu maszyn elektrycznych odbywały się w laboratorium pomiarów maszyn, a cykl z zakresu pomiarów był realizowany w laboratorium miernictwa. Każdy z tych cykli kończył się kolokwium. Zaliczenie laboratorium wymagało zdania obu kolokwiumów.

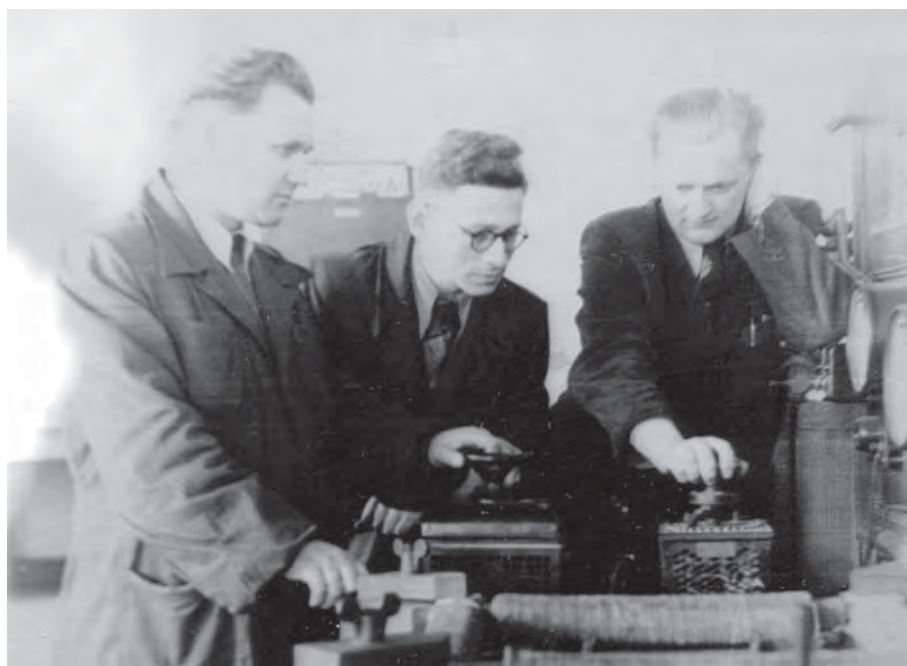
W roku 1954/55 zaliczenie dla studentów Wydziału Mechanicznego, nadzorowane przeze mnie i Romka Dołmata urządziliśmy w małej salce koło naszego warsztatu. Katedra miała wtedy cztery małe pokoje na poziomie Dziekanatu, istniejące w wieżowej drewnianej przybudówce z roku 1939. Zdających było coś dwudziestu i byli gęsto upakowani. Wypatrzyłem jednego siedzącego pod ścianą, który korzystał ze ściągałki – więc go wyprosiłem. Po zakończeniu tego kolokwium Romek

zapytał „Wiesz kogo wywalites?”. Okazało się, że ten student, to syn kierowniczki naszego Działu Osobowego, Henryki Bogusławskiej. I tu trzeba oddać mu sprawiedliwość, bo zgłosił się do mnie w godzinach konsultacji i solennie zapewnił, iż w przyszłości nie będzie korzystać z niedozwolonych pomocy. W terminie poprawkowym zdał całkiem przyzwoicie.

Znacznie bardziej kłopotliwe było prowadzenie kolokwium dla Wydziału Chemicznego, na którym studiowało dużo dziewcząt. Miały one opracowaną technikę ukrywania ściągałki pod pończoszką – co uniemożliwiało złapanie „na gorącym uczynku”. W sali E-21 sadzaliśmy je przy tych stołach, gdzie możliwa była wygodna obserwacja. Zdarzały się jednak spryciary, umiejętnie manewrujące krawędzią spódniczki. W takim przypadku stosowałem technikę „obserwacji towarzyszącej”, bo sam siadałem na wolnej części blatu tego stołu. Korzystanie ze ściągałki stawało się wówczas niemożliwe. Z mojego miejsca obserwowałem studentki pracujące na innych stanowiskach.

W latach 80. pisma sygnowałem splecionym zespołem liter „JS”, co było podstawą do mojego ostatniego przyzwiska: „DOLAROWIEC”.

Jerzy Sawicki
Emerytowany profesor PG



„Polityka” Arystotelesa i myśli pochodne

Sprawy polityki nabrały u nas ostatnio, po roku 1989, ponownego i żywiołowego przyspieszenia. Przeciętny obywatel, który w krzątaniu dnia codziennego nie poświęcał im nadmiaru swego czasu, spostrzegł, że musi do nich osobiście powrócić. Niedawno sprawiły to wybory do naszego parlamentu. W tej dziedzinie ludzie często uważają, że zdarzenia polityczne są jedyne w swoim rodzaju i dlatego trwa na tym tle nieustanny dyskurs i „odkrywanie Ameryki”. Tymczasem, jak czytamy w Biblii:

To, co było, jest tym, co będzie, a to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie:

więc nic zgoła nowego nie ma pod słońcem.

Jeśli jest coś, o czym by się rzekło:

„Patrz, to coś nowego” – to już to było w czasach, które były przed nami.

Nie ma pamięci po tych, co byli

ani też po tych, co będą, nie będzie pamięci u tych, co będą później.

(Ekl 1: 9-11)

Żyję już blisko 80 lat i tę biblijną mądrość miałem okazję sprawdzić wielokrotnie. Moje życiowe doświadczenia sprawiają, że niektóre wypowiedzi polityków zdają mi się dziwnie znajome z ubiegłych czasów, a ich twarze wystarczają mi dla bezbłędnej diagnozy co do ich intencji i ideałów; myślę, że ludzie mojej generacji mogą tę opinię podzielić.

Co prawda są politycy, reprezentujący oryginalne i etycznie dobrze osadzone poglądy, ale jest ich duża mniejszość. W mojej opinii należy do nich – jako mój wzorzec – prezydent Francji generał Charles de Gaulle, który położył dla swej ojczyzny duże zasługi, ale wiedział też, kiedy się z polityki usunąć.

Jak wszystkie ludzkie sprawy, również polityka jest bardzo wiekowa, bo miała ona dla człowieka znaczenie od samego początku jego egzystencji, jako gatunku *homo sapiens*. Dlatego, nie można się dziwić, że zajął się nią Arystoteles (384–322 przed Chr.), wybitny filozof starożytnej Grecji. Wśród wielu wartościowych dzieł, napisał też księgę pt. „Polityka” (Ossolineum, Wrocław 2005).

Polityka jest sztuką rządzenia państwem. Pisze Arystoteles: *To bowiem jest właściwością człowieka odróżniającą go od innych stworzeń żyjących, że on jedyny ma zdolność rozróżniania dobra i zła, sprawiedliwości i niesprawiedliwości (...); wspólnota zaś tak ukształtowanych istot staje się podstawą rodziny i państwa.* Jak jest z naszym dzisiejszym rozróżnianiem sprawiedliwości i niesprawiedliwości?

Arystoteles ustala trzy ustroje właściwe, którymi są monarchia (królestwo), arystokracja i politea (tj. republika lub rządy obywateli) oraz, odpowiednio, trzy zwyrodniałe, czyli tyrania, oligarchia (dziś słowo bardzo modne) i demokracja; jak widać, nie bardzo ceni on demokrację, o której mówi, że jest to ustrój, w którym wszyscy kłócą się ze wszystkimi. Trudność ustalenia istoty tych ustrojów polega na tym, że wynika to z jakościowej realizacji celu państwa, którym jest szczęśliwe życie jego obywateli.

Tak więc czytamy: *Rząd jest czynnikiem władającym w państwach, a jako taki z konieczności znajduje się w rękach jednostki, albo niewielkiej, czy też i wielkiej liczby ludzi.* Jeśli rząd włada ku ogólnemu pożytkowi ludzi, to reprezentuje on ustrój właściwy, niezależnie od tego, czy jest to monarchia, arystokracja, czy politea. W przeciwnym wypadku będzie to ustrój zwyrodniały.

Znaczy to, że: (...) *państwo, które prawdę zasługuje na tę nazwę, nie jest nim tylko z istnienia, musi się troszczyć o cnotę. Inaczej bowiem wspólnota państwowa staje się układem (!) sprzymierzeńców (...), a prawo staje się umową (...) – rekojmią wzajemnej sprawiedliwości bez możliwości natomiast urabiania dobrych i sprawiedliwych obywateli.*

Dalej możemy wyczytać: *We wszystkich umiejętnościach i sztukach celem jest dobro. Tak jest przede wszystkim i w najważniejszej ze wszystkich, jaką jest sztuka męża stanu. Czy nie powinniśmy dziś wołać, trawestując Danutę Rinn, „gdzie ci mężowie stanu (wspaniali tacy)?”. Dobrem w państwie jest sprawiedliwość, sprawiedliwością zaś to, co jest dla ogółu pożyteczne. Według powszechnego mniemania sprawiedliwość wydaje się pewnego rodzaju równością, co do pewnego*

stopnia zgadza się z zasadami filozoficznymi (...). Powiada się bowiem, że sprawiedliwość obejmuje przydział pewnych rzeczy pewnym osobom i że równi winni mieć równy udział. Musimy jednak wyjaśnić, na czym polega równość osób, a na czym nierówność, bo w tym leży trudność i powód do rozważań polityczno-filozoficznych. Czy więc według Arystotelesa są równi i równiejsi?

Za jego odpowiedź niech służy tylko jeden podany przykład: *Bo jeśli będzie ktoś górujący nad innymi w grze na flecie, a ustępujący im znacznie co do szlachetności pochodzenia i urody, to przecież takiemu należałoby przyznać najlepsze flety.*

Przy okazji warto zanotować, że już u Arystotelesa występuje trójwładza: czynnik obradujący (władza ustawodawcza), czynnik rządzący (władza wykonawcza) i czynnik sądowy (władza sądownicza).

Reasumując, Arystoteles jest zdania, że najlepszy ustrój to ten, przy którym najlepsi rządzą, a najlepszym państwem jest to, które opiera się na średnim stanie.

W wymienionym tu dziele Arystotelesa jest jeszcze wiele świątliwych myśli, ale sądzę, że na tym można by tu dziś poprzestać. Oby wszystkie nasze władze zechciały sobie przypomnieć, co na temat polityki mówiono już wieki temu.

Osobiście podzielam opinię Arystotelesa, że dobrym ustrojem może być każdy z trzech przez niego wymienionych, jeśli tylko lepiej od dwóch pozostałych zadba o dobro obywateli. Najlepszym przykładem może tu być „ustrój” kościoła katolickiego, który przecież odpowiada oświeconemu absolutyzmowi.

Zbigniew Cywiński
Emerytowany profesor PG



Wycieczka do Turcji



Rys. Andrzej Wiśniewski

Latem tego roku Koło PTTK nr 116 przy PG zorganizowało wycieczkę autokarową do Turcji (2.08–25.08.2007). Pierwszy nocleg mieliśmy w Cieszynie. Następnie przez Czechy i Słowację pojechaliśmy do Makó (Węgry). Tu czekała nas nie lada atrakcja – dwugodzinna kąpiel w basenie z gorącą wodą siarczaną. Kolejny etap obejmował wielogodzinny przejazd przez malowniczą Transylwanię. Nocowaliśmy już w Russe (Bułgaria) – w ośrodku o wdzięcznej nazwie „Raj”. Wieczorem następnego dnia byliśmy już w tureckim Edirne, czyli dawnym Adrianopolu.

Miasto to założył cesarz rzymski Hadrian (II w.), stąd jego grecka nazwa Adrianopolis. W 378 r. Goci rozgromili tu armię rzymską i zabili cesarza Walensa. W okresie bizantyjskim Adrianopol był stolicą prowincji Macedonia. W 1361 r. miasto zdobyli Turcy Osmańscy i nazwali je Edirne. Od 1365 r. – aż do zdobycia Konstantynopola (1453) – było ono stolicą ich państwa. W 1920 r. Adrianopol zajęli Grecy, ale w 1923 wrócił on do Turcji.

W Edirne zwiedziliśmy dwa meczety: Selimiye Cami (Meczeta Selima) i Eski Cami (Stary Meczeta). Ten pierwszy ma bogaty wystrój, ten drugi ozdobiony jest tylko wielkimi inskrypcjami z Koranu.

Selimiye Camii to najwspanialsze dzieło Mimara Sinana (1489–1588), najwybitniejszego tureckiego architekta czasów osmańskich. Meczeta był budowany w latach 1568–1574 dla sułtana Selima II (1566–1574). Jest mniejszy od wcześniejszego (1557 r.), potężnego meczetu Süleymaniye w Stambule, zaprojektowanego również przez Sinana, ale bardziej elegancki i harmonijny. Odnacza się precyzyjną symetrią – ogromną kopułą o średnicy 31,5 m (szerszą o kilka centymetrów niż kopuła stambulskiej bazyliki Hagia Sophia) podtrzymuje osiem kolumn, łuków i przypór. Dzięki wielkim oknom to miejsce modlitwy jest przewiewne i jasne. Niezwykle bogate wnętrze meczetu zawiera m.in. delikatnie rzeźbioną marmurową ambonę (*minber*) oraz niezwykle ozdoby z fajansu wewnątrz i wokół mihrabu, czyli niszy wskazującej kierunek Mekki. Cztery wysmukłe (71 m) minarety, z trzema galeriami na każdym, potęgują wrażenie ogromu.

W meczecie tym spotkaliśmy kilkuletniego chłopca w złotym stroju (długie spodnie, kaftanik, czapka z okrągłym denkiem i wysokim otokiem). W rękę miał laseczkę, też złotą i dziwnie zakończoną. Okazało się, że przyjechał z Niemiec. Róża, znająca dobrze niemiecki, dowiedziała się od jego dziadków, że ich wnuk przysto-

wywał się do ... obrzezania. Przedtem musiał w tym specjalnym stroju odwiedzić w towarzystwie rodziny kilka meczetów.

Po nocy spędzonej na campingu ruszyliśmy w podróż do Kapadocji (810 km, najdłuższy etap naszej wycieczki). Na krótko przed zmierzchem zatrzymaliśmy się nad wyschniętym obszarem słonego jeziora (*Tuz Gölü*), by pochodzić po grudkach soli i obejrzeć cudowny zachód słońca. Późnym wieczorem byliśmy na campingu w pobliżu Uchisar.

Powierzchnia tej anatolijskiej krainy, jaką jest Kapadocja, została ukształtowana przez działania sejsmiczne. Tereny te znane są przede wszystkim z charakterystycznych, tworzących księżycowy krajobraz, form tufowych oraz z domów i kościołów wykutych w tufowych skałach. Pierwszego dnia zwiedzania Kapadocji mieliśmy okazję zobaczyć kamienne ‘grzybowisko’ w Zelve. Fantastyczne ‘grzyby’ i inne, równie urokliwe tutejsze formy są tworem przyrody. Najpierw wulkany zasypały całą okolicę pyłem powulkanicznym oraz bryłami twardej skały. Z czasem pyły pod wpływem warunków atmosferycznych scaliły się i pozamieniały w tuf powulkaniczny. Deszcze i wiatry wymywały miękki tuf spod twardych głazów, co doprowadziło do tworzenia podziwianych przez turystów form.

Aż do średniowiecza Kapadocja była rejonem prężnie rozwijającego się chrześcijaństwa. Tu powstały również jedne z pierwszych klasztorów. Już od IV w. pustelnicy drążyli w skałach swoje cele. W 1907 r. francuski duchowny G. de Jerphanion odkrył Dolinę Göreme, w której znalazł blisko 350 kościołów z czasów bizantyjskich, wykutych w skale tufowej. Dziś tworzą one Park Narodowy Göreme, wpisany w 1985 r. na Listę Światowego Dziedzictwa Ludzkości UNESCO, licznie odwiedzany przez rzesze turystów (wstęp 10 lir). Są to przede wszystkim małe kościoły (na kilkadziesiąt osób) ze stropami kopułowymi, zdobione freskami (zob. <<http://www.pbase.com/>>), z których najstarsze pochodzą z IX w. Do najważniejszych zabytków należą: Kościół św. Barbary, Kościół Wężowy i Kościół Ciemny.

Ten pierwszy pochodzi prawdopodobnie z VIII w., a na jego ścianach zachowały się prymitywne freski z ochry, które mogły być namalowane wkrótce po I ikonoklazmie (730–787), czyli sporze o obrazy. Cesarz Leon III Izauryjczyk (panował 717–741) w 730 r. zakazał czczenia ikon Chrystusa, Dziewicy Maryi i świętych, a także nakazał zniszczenie istniejących wizerunków.

Kościół Wężowy pochodzi z XI w., a w jego centralnym miejscu znajduje się postać Chrystusa i fundatora świątyni (w postaci dziecka). Inne freski przedstawiają m.in. św. Tomasza, św. Bazylego i św. Jerzego zabijającego węża (stąd nazwa kościoła). Również z XI w. pochodzi Kościół Ciemny, do którego wstęp jest oddzielnie płatny (5 lir). Jego freski (m.in. Ostatnia Wieczerza i ukrzyżowanie Jezusa, a także portrety ewangelistów) zachowały niezwykle żywe barwy, gdyż światło dzienne docierało tu jedynie przez małe drzwi wejściowe. Najmniejszą świątynią jest Kościół Jabłkowy, również z XI w., wykuty na planie krzyża z centralną kopułą podtrzymywaną filarami i stosunkowo dobrze zachowanymi freskami. W części klasztorów w Göreme znajdują się wyciosane w skale ogromne stoły z ławami, mogące pomieścić kilkudziesięciu mnichów.

W drodze powrotnej przystanek w Ürgüp, gdzie za 3 liry chętni i wytrwali mogli wejść na tutejszą twierdzę. Wieczorem impreza w tureckiej restauracji (15 euro, tylko zimne zakąski), gdzie główną atrakcją był występ zespołu folklorystycznego, prezentującego m.in. taniec brzucha.

Następnego dnia pojechaliśmy do Kaymakli, by zwiedzić wykute w wulkanicznym tufie olbrzymie, mające 7 kondygnacji, podziemne miasto. Mogło ono pomieścić około 15 tys. mieszkańców i było wykorzystywane od czasów starożytnych. Od VII do IX w. stanowiło schronienie przed Arabami, a w XIII w. – przed Mongołami. Przeciskaliśmy się wąskimi korytarzami,

podziwiając pomysłowość budowniczych, którzy zadbali o różne takie „szczegóły”, jak np. wentylacja czy zaopatrzenie w wodę.

Następną atrakcją był wąwóz Ihlara, wycięty głęboko (ok. 100 m) w skalistym terenie w wyniku ruchów tektonicznych. Wzdłuż płynącej w nim rzeczki Melendiz Suyu na kilkunastokilometrowym odcinku znajduje się 14 klasztorów i kościołów skalnych z czasów bizantyjskich. Zachowały się ślady płaskorzeźb i fresków – motywy geometryczne, fragmenty biblijnych scen, święci. Dominujące kolory: ochra, czerwień i błękit.

Wczesnym rankiem 9 sierpnia zwinęliśmy namioty, by udać się w drogę na płd. zachód (etap 760 km). Po drodze postój w mieście Konya (staroż. Ikonium), dawnej stolicy seldżuckiego sułtanatu Rum. Główną atrakcją jest tu Muzeum Mohamada Rumiego (1207–1273), znanego jako Mevlana (‘Nasz Mistrz’), wielkiego tureckiego myśliciela, poety i mistyka, założyciela Zakonu Tańczących Derwiszów. W czterech dużych salach znajdują się: 1) groby świątobliwych derwiszów, 2) grobowiec Mevlany – cel pielgrzymki pobożnych Turków, 3) elementy kultu: naczynia, suknie derwiszów, modlitewniki, 4) różne wydania Koranu i relikwie, w tym włos Mahometa, przechowywany w specjalnej szkatułce. Budynek muzeum jest obok meczetu zbudowanego za panowania Selima II przez Sinana. Dziedziniec okala niski budynek z pasażem, gdzie znajdowały się cele derwiszów. W niektórych odtworzono wy-

strój wewnątrz wraz z postaciami ich mieszkańców.

Mevlana wierzył, że wszyscy ludzie powinni poszukiwać Boga. Ci, którzy nazywają siebie niewierzącymi, są jedynie nieświadomymi poszukiwaczami; ci zaś, którzy uważają siebie za wierzących, są świadomi swoich poszukiwań. Nie jest istotne, że poszukujący wybierają tyle odmiennych ścieżek, wszak przeznaczeniem wszystkich, z racji Pierwotnego Przymierza, jest Bóg. Boga nie można odnaleźć za pomocą rozumu. Prowadzi do Niego miłość: „Słowa pomagają nam zrozumieć, ale niewysłowiona miłość jest najlepszym oświeceniem. Intelkt próbujący wyjaśnić miłość staje się niczym osioł, który ugrzązł w błocie. Miłość zrozumieć można tylko miłością. (...) Dowodem na słońce jest samo słońce. Jeśli wymagasz dowodu, wystarczy, że się od słońca odwrócisz” <<http://www.sufischool.org/mevlana.htm>>.

Wieczorem byliśmy na nadmorskim campingu (Çubucak), bardzo zatłoczonym, bo zjeżdżają się tu Turcy złaknieni ciepłej, śródziemnomorskiej wody. Przywożą ze sobą lodówki, telewizory i inne sprzęty. W pobliżu jest targ, gdzie co rano turyści zaopatrują się w owoce i inne płody ziemi. Dużym powodzeniem cieszą się też duże naleśniki oraz miód migdałowy.

Następnego dnia zażywaliśmy wspaniałych kąpiei, a pod wieczór udaliśmy się do pobliskiego nadmorskiego kurortu Marmaris na riwierze tureckiej, pełnego banków, kantorów, restauracji, barów, dyskotek, sklepów i bazarów. Miasto, sennie i leniwe w ciągu dnia, budzi się nocą, tętniąc muzyką i wakacyjną atmosferą. W starożytności nazywało się Physkos (zał. w VI w. p.n.e.); w średniowieczu kontrolę nad nim sprawował Rycerski Zakon Szpitalników św. Jana z Jerozolimy, mający swą bazę na Rodos; w 1522 r. Sulejman Wspaniały zdobył je dla imperium otomańskiego.

Miasto otulone jest zielonymi wzgórzami, które w wielu miejscach niemal pionowo schodzą do morza, tworząc niezapomniane krajobrazy. Zatoka lśni czystą, turkusową tonią morza, a tutejszy port jachtowy jest największy w całej Turcji. Na nadmorskim bulwarze stoi duży pomnik założyciela i pierwszego prezydenta Republiki Tureckiej (*Türkiye Cumhuriyeti*), Mustafy Kemala (1881–1938), który przybrał sobie nazwisko *Atatürk*, czyli „Ojciec Turków”. W 45 minut można stąd dopłynąć na grecką wyspę Rodos. Na odległym o 75 km krańcu półwyspu Datça Morze Egejskie łączy się z Morzem Śródziemnym.



Wąwóz Ihlara

Fot. Stefan Zabieglik

W sobotę 11 sierpnia czekała nas nie lada atrakcja – rejs statkiem wycieczkowym po Zatoce Marmaris. Przeszliśmy też „chrzest morski” w postaci kubła wody wylewanej przez szypira statku na tych, którzy byli w Turcji po raz pierwszy. Wielką frajdą były kąpiele podczas postojów, których mieliśmy kilka. Jedna z nich odbywała się na tzw. zielonym jeziorze, gdzie woda rzeczywiście jest zielona. Obejrzelśmy też „akwarium”, czyli zatoczkę położoną u podnóża skalistego, wchodzącego głęboko w morze zbrocza. Na podwodnych skałkach pełno jest tu morskich roślin, w zagłębieniach chowają się jeżowce, wszędzie pływają kolorowe rybki.

W niedzielę udaliśmy się do małej wioski rybackiej Dalyan, położonej na wschodnim brzegu rzeki o tej samej nazwie, ok. 90 km od Marmaris i ok. 30 km od międzynarodowego portu lotniczego w Dalamanie. Dalyan ma zaledwie 4 tys. mieszkańców, lecz w sezonie turystycznym liczba ta zwiększa się kilkunastokrotnie. Płynąc łodzią po rzece, mieliśmy okazję oglądać wiele starożytnych pamiątek, jak np. grobowce likilijskie w Kaunos (malowniczo wkomponowane w urwiste skały), mury Akropolis, teatr z II w. p.n.e. dla 1,5 tys. widzów, ruiny czterech antycznych świątyń oraz bazyliki bizantyjskiej z V–VIII w. Płynęliśmy zaś na słynną plażę Izuzu (dł. 6 km), oblewaną ciepłymi falami Morza Śródziemnego; tu składają jaja żółwie morskie Caretta. Cały ten rejon należy do parku krajobrazowego, chronionego od 1988 r. W trosce o zachowanie ekosystemu zabroniono tutaj budowania wszelkich obiektów; hotele znajdują się ok. 10–12 km od morza, a transfer na plażę odbywa się najczęściej łodziami. Rzeka wije się wśród wysepek pełnych bujnej roślinności.

Równie atrakcyjnym punktem programu wycieczki do Dalyanu były kąpiele błotne w pobliżu jeziora Koycegiz. Smarowaliśmy całe ciało błotem, gdyż działa ono korzystnie na skórę. Zażyliśmy też kąpiele termalnych (40°C) w wodach zawierających różne składniki mineralne i działających leczniczo na wiele chorób.

Wieczorami na naszym campingu odbywały się śpiewy, które przyciągały miejscowych Turków, skorych do zawierania znajomości.

Rankiem 14 sierpnia udaliśmy się na północ. Celem był camping Pamučak, niedaleko starożytnego Efezu, ale po drodze zatrzymaliśmy się w Pamukkale, które słynie z wapiennych osadów powstałych na zboczach góry Cökelez, naniesionych przez

wypływającą z gorących źródeł wodę, bogatą w związki wapnia i dwutlenku węgla. Osady węglanu wapnia układają się tu w malownicze nacieki i stalaktyty. Pamukkale położone jest na linii pęknięcia skorupy ziemskiej. Lecznicze właściwości tutejszych źródeł znane były już w starożytności. Na tych terenach oddawano cześć Asklepiosowi, Hygei i Apollinowi. Powyżej wapiennych tarasów Pamukkale król Pergamonu Eumenes II założył w II w. p.n.e. miasto-uzdrowisko Hierapolis (od imienia Hiery, żony Telefosa, króla Myzji, któremu oddawano w Pergamonie cześć jako herosowi i legendarnemu założycielowi). Od 133 r. p.n.e. przeszło ono pod panowanie Rzymian. Odbudowane po dwóch wielkich trzęsieniach ziemi (17 r. p.n.e. i 60 r.), swój złoty okres przeżywało za Septymiusza Sewera i Karakalli. Kolejne trzęsienie w 1354 r. położyło kres jego historii. Pod koniec XIX w. zaczęto badać ruiny Hierapolis (w 1887 r. C. Humann odkrył ołtarz pergamoński). Od 1957 r. wykopaliska prowadzą archeolodzy włoscy, w 1973 zapoczątkowali oni odbudowę miasta. Odnalezione przez nich zabytki, głównie z okresu rzymskiego i wczesnochrześcijańskiego, są eksponowane w miejscowym muzeum. W 1988 r. Hierapolis i Pamukkale zostały wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Na terenie Hierapolis zachowały się m.in.: pozostałości Wielkich Łaźni z II w., główna ulica miasta z czasów Domicjana (z bramą jego imienia), ruiny świątyni Apollina z III w., Basen Kleopatry z wodą termalną i zatopionymi w niej antycznymi kolumnami (z płatnym wejściem, na terenie jedynej tu motelu), dobrze zachowany teatr z czasów rzymskich (zbudowany za Hadriana, przebudowany za Septymiusza Sewera) z widownią wkomponowaną w zbocze góry, trzy nekropolie z różnymi typami grobowców, a także ruiny kilku kościołów.

Zwiedzanie Pamukkale i ruin Hierapolis odbywało się w upalne południe (44°C), a na niebie nie było ani jednej chmurki. Pod wieczór byliśmy już na campingu Pamučak, oddalonym o kilka kilometrów od miasta Selçuk.

Następnego dnia pojechaliśmy do Domku Matki Boskiej (tur. *Maryem Ana Evi*), położonego na Górze Słowika (450 m n.p.m.), 7 km od Selçuku. Droga wije się stromą serpentyną, a podczas jazdy podziwiać można panoramę okolicy. Według tradycji chrześcijańskiej, a także muzułmańskiej – choć przez niektórych chrześcijan kwestionowanej – tu wraz z ewangelistą

św. Janem spędziła ostatnie lata swego ziemskiego żywota matka Jezusa. Faktem jest, że w Efezie był w V w. kościół poświęcony Maryi, a do dziś zachowały się ruiny Bazyliki św. Jana. Ale dopiero opublikowanie wizji niemieckiej zakonnicy, stygmatyczki i wizjonerki Anny Katarzyny Emmerich (1774–1824), doprowadziło do próby weryfikacji tej tradycji i ustalenia miejsca Domu Matki Boskiej. Emmerich opisała bowiem szczegółowo, choć nigdy nie była w Efezie, dom Maryi. W 1892 r. specjalna ekipa badawcza znalazła ślady (fundamenty) takiej budowli z I w.

Sanktuarium, obejmujące odrestaurowany w 1951 r. kamienny domek z ołtarzykiem, należy obecnie do Stowarzyszenia na rzecz Domu Najświętszej Marii Panny, a opiekują się nim franciszkanie. Choć Kościół katolicki nie potwierdził oficjalnie autentyczności tego miejsca, odwiedziło je czterech papieży: Leon XIII (1896), Paweł VI (1967), Jan Paweł II (1979) i Benedykt XVI (2006), a Pius XII w 1951 r. nadał Domowi Matki Boskiej status sanktuarium. My byliśmy 15 sierpnia, czyli w święto Wniebowzięcia NMP. Mieliśmy zatem okazję uczestniczyć w nabożeństwie ekumenicznym, które zgromadziło licznych pielgrzymów różnych nacji. Z tutejszego źródła nabraliśmy też wody, mającej ponoć lecznicze właściwości.

Następnego dnia część uczestników wybrała się mikrobusem (tur. *dolmuş*) na zwiedzanie pozostałości starożytnych kolonii jońskich: Prieny, Miletu i Didymy.

Z zachowanych ruin Prieny, leżącej ongiś na nadmorskim klifie, odtworzyć można układ tego portowego miasta, wzorowany na planie Aten. W dość dobrym stanie zachowały się tu zabytki z okresu hellenistycznego i czasów rzymskich, między innymi: pięć kolumn ze świątyni Ateiny; wspaniały teatr; stadion ze 190-metrową bieżnią; pozostałości agory, gimnazjonu, stoiki, budynków rady miejskiej, a także fundamenty domu, w którym w 334 r. p.n.e. miał się zatrzymać Aleksander Wielki. Z Prieny pochodził jeden z siedmiu mędrców – Bias (VI/V w. p.n.e.), który na pytanie, dlaczego nie zabiera swego dobytku i nie ucieka przed Persami, odpowiedział: „Całe moje bogactwo jest w mojej głowie”. Tu też urodził się i pracował słynny rzeźbiarz Archelaos (III w. p.n.e.), autor m.in. płaskorzeźby *Apoteoza Homera* (British Museum w Londynie).

Dla filozofa Milet jest miejscem szczególnym. Tu bowiem mieszkał ojciec filozofii – Tales (VII/VI w. p.n.e.), znany

wszystkim z twierdzenia o ramionach kąta przeciętych równoległymi, a także jego dwóch uczniów: Anaksymander i Anaksymenes. Dziś ruiny tego wielkiego ongiś miasta portowego leżą w odległości kilku kilometrów od morza, za co odpowiada uchodząca tu do morza rzeka Meander, która przez wieki zamulała te tereny. Zachowały się lub odkopano pozostałości wielu budowli hellenistycznych i rzymskich: ogromnego teatru (15 tys. widzów), rady miejskiej, gimnazjonu, świątyni Ateny i Apollina, łaźni rzymskich Faustyny (żona cesarza Marka Aureliusza), dwóch agor i Świątnej Bramy, a także pomnika dla uczczenia bitwy pod Akcjum (31 r. p.n.e.).

Ok. 18 km od Miletu leży Didyma, w której największą atrakcją są ruiny słynnej, monumentalnej świątyni Apollina o wymiarach 116 x 82 m. Wzniesiono ją w VI w. p.n.e., ale do dziś przetrwały fragmenty z okresu hellenistycznego i rzymskiego, kiedy to przebudowywano ją po wcześniejszych zniszczeniach. Tu mieściła się słynna w starożytności wyrocznia Apollina, która w 331 r. p.n.e. ogłosiła Aleksandra Wielkiego „synem Zeusa”. Jeszcze dziś podziwiać można ogromne kolumny w stylu jońskim. Milet z Didymą łączyła Świąta Droga, wzdłuż której stały sarkofagi oraz kamienne lwy i sfinksy.

17 sierpnia zwiedzaliśmy Efez (tur. *Efes*), najlepiej zachowane ruiny wielkiego starożytnego miasta jońskiego. Tu w VI/V w. p.n.e. mieszkał Heraklit, autor słynnych słów *Panta rei* ('Wszystko płynie').



Artemida Efeska Fot. Włodzimierz Babicki

Tu znajdowała się słynna świątynia Artemidy, uznawana za jeden z siedmiu cudów świata (110 x 55 m), którą zbudował król Lidii Krezus w VI w. p.n.e., a podpałił w 356 r. p.n.e. szewc Herostrates, by uzyskać rozgłos. Dziś *Efes Pilsen* to marka najpopularniejszego w Turcji ... piwa.

W Efezie zachowało się tyle zabytków, że ich opis zająłby cały numer naszego Pisma. Wiele z nich (m.in. posąg Artemidy, posądek Priapa z ogromnym penisem czy głowy Zeusa i Sokratesa) znajduje się w Muzeum Archeologicznym Efezu w Selçuku. Tu wymienię tylko kilka z tych, które oglądać można na terenie stanowiącym wielkie muzeum na wolnym powietrzu: odeon z II w. (niewielki teatr na ok. 1,5 tys. osób); budynek rady miejskiej (I–III w.); Ulica Marmurowa z licznymi pomnikami i systemem kanalizacyjnym; pozostałości Świątyni Domicjana (koniec I w.); zrekonstruowany łuk Fontanny Pollia (I w.); Monument Gajusa Memmiana, budowniczego akweduktu zaopatrującego Efez w wodę (I w. p.n.e.); Brama Herkulesa z reliefami (II w.); relief bogini Nike; częściowo zrekonstruowana Fontanna Trajana (pocz. II w.); resztki Świątyni Hadriana z zachowanymi fryzami (II–IV w.); termy rzymskie (II–IV w.) z posągami Scholastyki; marmurowe latryny dla mężczyzn z czasów Wespazjana (wprowadzając podatek od publicznych toalet, powiedział: *Pecunia non olet*); ruiny domu publicznego (IV w.); płyta chodnikowa na Ulicy Marmurowej ze swoistą reklamą (lewa stopa i twarz kobiety) tego domu; fragmenty kolumn świątyni Serapisa (II w.); imponująca Biblioteka Celsusa (II w.); Brama Mazeusa i Mitridiusza (I w.); agora handlowa i otaczająca ją stoa (I w.); Wielki Teatr na ok. 20 tys. widzów, wkomponowany w zbocze góry Pion (III w. p.n.e. – I w. n.e.), dziś miejsce corocznego festiwalu muzycznego.

W samym Selçuku znajdują się: ruiny Bazyliki św. Jana, ślady po Świątyni Artemidy oraz najcenniejszy zabytek architektury islamskiej – meczet Isa Bey (XIV w.).

Wieczorem pojechaliśmy do pobliskiego nadmorskiego kurortu Kuşadası ('Ptasia wyspa', od półwyspu w kształcie głowy ptaka), by oglądać i fotografować zachód słońca.

Następnego dnia w Selçuku był dzień targowy – wyśmienita okazja do odwiedzenia tureckiego bazaru. Jest to rynek głównie dla miejscowych, a nie dla turystów. Po powrocie ostatnia okazja, by zażyć kąpeli, bowiem następnego dnia bierzemy kurs na

północ. Czeka nas ostatni camping na tureckiej ziemi, tym razem w Polonezköy – dla Polaków: Adampol.

Namioty rozbiliśmy na placu obok ... kościoła. Stąd dwukrotnie wyruszyliśmy na zwiedzanie Stambułu, jedyne miasta na świecie, które leży na dwóch kontynentach.

Dzieje Stambułu sięgają greckiej kolonii Byzantion, założonej w VII w. p.n.e. nad Bosforem od strony Europy. W 324 r. Konstantyn Wielki zbudował tu miasto Konstantynopol, które uczynił drugą stolicą swego imperium. Po podziale cesarstwa (395) było ono stolicą cesarstwa rzymskiego wschodniego, zwanego bizantyjskim (Bizancjum). Słowianie nazywali je Carogrodem. Po zdobyciu go przez Turków (1453) zostało stolicą imperium osmańskiego i otrzymało drugą nazwę: Sтамбул (tur. *Istanbul*, od greckiego *is ten poli* – 'do miasta'), która od 1930 r. jest nazwą oficjalną.

Dziś Sтамбул to największe miasto Turcji (10 mln mieszkańców) i wielki ośrodek gospodarczy (ok. 1/4 produkcji całego kraju), siedziba kilkudziesięciu banków i giełdy papierów wartościowych. Tu znajdują się m.in.: największy port handlowy Turcji, dwa międzynarodowe porty lotnicze, końcowa stacja kolei europejskiej i początkowa kolei na Bliski Wschód, a także 5 uniwersytetów (najstarszy – Uniwersytet Sтамбулский, zał. w 1453). W 2010 r. Sтамбул będzie Europejską Stolicą Kultury.

Na obejrzenie wszystkich zabytków Sтамбулу nie wystarczyłoby dwóch tygodni, a my mieliśmy zaledwie dwa dni i to niecałe (licząc dojazdy z Adampola). Z konieczności ograniczyliśmy się zatem do najważniejszych.

Głównymi punktami naszego zwiedzania były: kościół Mądrości Bożej (gr. *Hagia Sofia*, tur. *Ayasofya*, zbud. w VI w., po 1453 meczet, od 1935 muzeum), rezydencja sułtanów (Pałac Topkapi, tur. *Topkapi Sarayı*, XV–XIX w.) wraz z obszernym haremem (zwiedzanie za dodatkową opłatą 10 YTL) i Błękitny Meczet (*Sultan Ahmet Camii*, 1609–1616). Pozostałe atrakcje Sтамбулу, w tym Wielki Bazar (4,5 tys. sklepów, restauracji i warsztatów) uczestnicy wycieczki „zaliczali” indywidualnie lub w małych grupkach. Ja wyszedłem z niego po dwudziestu minutach, czując się jak Diogenes z Synopy, który będąc na rynku w Atenach powiedział: „Ileż tu rzeczy, których nie potrzebuję!”

Adampol leży wśród zalesionych wzgórz (sosny, graby i kasztanowce) po azjatyckiej stronie Bosforu, na północny wschód od Sтамбулу – 20 km od Morza

Czarnego, 15 km od Bosforu. Wieś ta powstała z inicjatywy księcia Adama Czartoryskiego i od jego imienia wzięła swą nazwę. Na zakupionych przez księcia terenach osiedlali się polscy emigranci, którzy musieli opuścić kraj po powstaniu listopadowym. Pierwsze chaty postawiono w 1842 r. Później dołączyli uczestnicy Wiosny Ludów (1848–49). Po wojnie krymskiej (1853–56) w Adampolu osiedliło się 38 polskich żołnierzy walczących wtedy w armii sułtańskiej. Byli też uciekinierzy z niewoli rosyjskiej i jeńcy wykupieni od Turków (Polacy wcieleni siłą do armii rosyjskiej). Pierwsi mieszkańcy zajmowali się rolnictwem, hodowlą zwierząt oraz leśnictwem. W 1938 r. mieszkańcy Adampola dostali obywatelstwo tureckie.

W latach 60. ubiegłego wieku, w związku z trudną sytuacją gospodarczą w Turcji, wielu adampolan wyemigrowało do USA, Australii, Niemiec i Włoch. Później jednak sytuacja poprawiła się. Gdy wybudowano mosty łączące azjatycki i europejski brzeg Bosforu oraz doprowadzono do wsi asfaltową drogę, rozwinęła się turystyka. Miejscowi Polacy zaczęli inwestować w hotele, pensjonaty i restauracje (m.in. Club Adampol, Karczma Kriha, Polka Hotel), a zamożni stambulczycy uczynili Polonezköy celem swych weekendowych lub urlopowych wypadów. Zaczęli tu osiedlać się także Turcy.

Wśród dzisiejszych mieszkańców Polonezköy polskie korzenie ma już mniejszość. Wielu z nich mówi jednak po polsku (kiludziesięciu biegle), kultywuje tradycje i święta (msze w miejscowym kościele katolickim pw. Matki Boskiej Częstochowskiej odprawia polski ksiądz ze stambulskiej parafii św. Antoniego), utrzymuje kontakty z krajem przodków. Nierzadko adampolska młodzież studiuje w Polsce. Na wójtów Polonezköy tradycyjnie wybierani są Polacy.

4 lipca 1992 r. wieś obchodziła 150-lecie powstania, co uczczono m.in. obeliskiem z napisem: „Tu w polskiej wsi, dawniej zwanej Adampolem, żyli i żyją Polacy” oraz otwarciem Domu Pamięci CioCI Ryży.

Dom ten zbudował w latach 1881–83 Wincenty Ryży (1852–1927), sybirak–zesłaniec, który osiedlił się tu w 1881 r., a w następnym poślubił Zofię Kępkównę (1864–1951), córkę jednego z pierwszych adampolskich osadników. Ostatnią lokatorką tego domu była ich najmłodsza córka, Zofia Ryży (1903–1986). Ta żarliwa patriotka prowadziła w Adampolu polską

bibliotekę, a także uczyła miejscową młodzież języka polskiego i historii. Jej dom, z zachowanym częściowo wyposażeniem czterech izb, pełni dziś funkcje muzeum. Znajdują się tu stare meble i sprzęty, w gablotach i na ścianach pamiątki związane z historią wioski, w tym księgi, kopie dokumentów (oryginały przekazano Bibliotece Książąt Czartoryskich w Krakowie) i fotografie – te stare, na których widać dawnych mieszkańców wioski, a także najnowsze, np. ze spotkania adampolan z Janem Pawłem II w 1979 r. w Stambule czy z prezydentami III RP (L. Wałęsa był w 1994, A. Kwaśniewski – w 1996 i 2000). Polonezköy odwiedzali też m.in.: pianista F. Liszt (1847), pisarz G. Flaubert (1850), prezydenci Turcji (w 1937 r. sam Atatürk, w 1985 K. Evren), nuncjusz papieski bp Angelo Roncalli, późniejszy papież Jan XXIII (1941), ministrowie spraw zagranicznych PRL (Adam Rapacki, 1961) i RP, dyplomaci, politycy i duchowni.

Rodzina Ryżych jest bardzo zasłużona w dziele podtrzymywania polskości Adampola i działalności na rzecz współpracy polsko-tureckiej. Jej członkowie od wielu pokoleń zbierają pamiątki rodzinne i dokumenty dotyczące ich wsi. Dzięki tej tradycji i współpracy z instytucjami polskimi powstał ww. Dom Pamięci Zofii Ryży (jego współwłaścicielem jest też Antoni Dochoda). Lesław Ryży, przez 18 lat (1957–1975) wójt Polonezköy, z okazji 150-lecia Adampola został odznaczony złotym Orderem Zasługi RP. Jego córka Agnieszka, Polka w piątym pokoleniu, towarzyszyła i pomagała ojcu w jego działalności. W 1984 r. wyjechała na studia do Polski i tam poznała swego przyszłego męża (ślub kościelny wzięli w Adampolu). W latach 1992–1995, już jako Agnes Modlinska, prowadziła w Adampolu restaurację, promując polską kuchnię i polską kulturę, a obecnie wraz z mężem kieruje galerią sztuki współczesnej Constantinopol <<http://www.constantinopol.pl/>>. Prowadzi też bogato ilustrowany portal internetowy *Oficjalna strona Domu Pamięci Zofii Ryży* <<http://www.adampol-polonezkoy.pl/>> (zob też portal <<http://www.polonezkoy.com/>>).

Na cmentarzu w Adampolu jest ok. 270 grobów. 92 zabytkowe nagrobki zostały odnowione przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Wśród nich jest grób ze złamaną kolumną Ludwika Śniadeckiej (1802–1866), córki słynnego profesora Jędrzeja Śniadeckiego i nieodwzajemnionej miłości Juliusza Słowackiego, pod koniec życia ... muzułmanki. W 1850 r. wyszła ona

za Michała Czajkowskiego (1804–1886), który w 1841 r. negocjował w imieniu księcia Czartoryskiego warunki powstania Adampola. Czajkowski utworzył polski pułk walczący w wojnie krymskiej po stronie tureckiej, a w 1850 r. przeszedł na islam (jako Mehmed Sadyk Pasza).

Na adampolskim cmentarzu pochowany jest też tajemniczy Austriak H. Albertall (zm. 1941), który spędził w Adampolu 30 lat. Miejscowa legenda głosi, że był to ... sam arcyksiążę Rudolf (zob. J. S. Łątka, *Oskarżam arcyksięcia Rudolfa*, Warszawa 1983 oraz <www.sknh.uni.lodz.pl/varia/Justyna_spekulacje.pdf>).



Grób Ludwika Śniadeckiej

Fot. Stefan Zabieglik

Organizatorami tej udanej wycieczki byli Bożena Hakuć i Ryszard Dunikowski. „Bożenka” (w „cywilu” Pani Dyrektor Biblioteki PG) była naszym „ministrem finansów”, a „Rysio” (były wykładowca PG) kierował całością. Trzeba przyznać, że jego znajomość odwiedzanych przez nas miejsc i tras jest imponująca. Pan Ryszard zna świat lepiej, niż niejeden z nas Gdańsk Wrzeszcz.

Nasi mistrzowie kierownicy (Ludwik i Andrzej) prowadzili autokar z wirtuozerią, choć tak różne drogi i tak długą trasę (8.800 km) mieliśmy do pokonania.

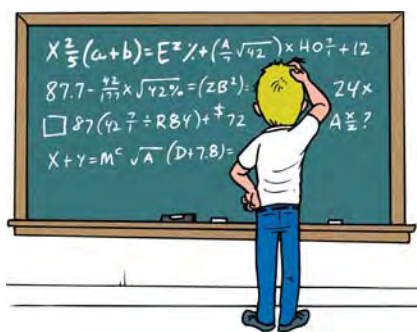
Róża Janca-Brzozowska przygotowała wspaniałą „Miniprzewodnik wycieczki” i prowadziła dzienniczek, który został wykorzystany przy pisaniu niniejszego artykułu.

Róża Janca-Brzozowska

Absolwentka PG

Stefan Zabieglik

Wydział Zarządzania i Ekonomii



Kącik matematyczny



Tak oto mamy wyjątkowy miesiąc w roku. Grudzień będzie dla mnie zawsze szczególnym miesiącem. Króluje w nim św. Mikołaj, a ja – jak wiadomo – darzę go niezwykłym sentymentem. Pisałam już o tym dwa razy w „Piśmie PG”, ale jest to dla mnie temat ciągle fascynujący.

Dlatego też, aby świat matematyczny w grudniu był radosny i twórczy, niech jeszcze raz zawitają w nim Mikołaje.

Ach, te Mikołaje w matematyce!

„Hej dorośli, spójrzcie czasem na dzieci!
Przyjmijcie oczy dziecka,
by inaczej patrzeć na życie.
Przyjmijcie dziecięce marzenia
i radość z małych rzeczy.
To takie wspaniałe bawić się, po prostu żyć!”

P. Bosmans

„Gdzieś na skraju drogi
gdzie kończą się gaje
wiosną hasają króliczki
i płyną ruczaje
były w swojej wiosce
liczne Mikołaje”

(cytat z pracy o Mikołajach Piotra M.)

Matematyka wbrew obiegowej opinii, która kojarzy ją z rachunkami i tablicami wzorów, jest nauką pełną fantazji, urody, a także zabawy. Mnóstwo jest faktów potwierdzających potrzebę niezwyklej wyobraźni w matematyce.

Matematycy muszą jednak często odwoływać się do pewnej symboliki, aby opisać swój świat – nawet między sobą. Symbole nie są jednak tym światem, tak jak nuty nie są muzyką.

Postanowiłam jednak ograniczyć użycie symboli i opisać pewne zabawy z matematyką. Na początku przedstawię, jak bawili się moi byli studenci informatyki (z ETI) zadaniami o Mikołajach. Następnie zaś chciałabym zacytować pewne fragmenty (też zabawne) toastu wygłoszonego przez śp. Romana Sikorskiego (wybitnego matematyka) na jednym ze Zjazdów Polskiego Towarzystwa Matematycznego. A więc, do dzieła!

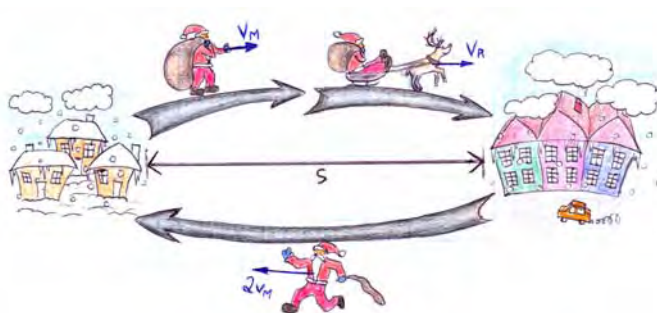
Wśród zadań o Mikołajach było zadanie o następującej treści:

Zadanie 1

Pewien Mikołaj niósł z miasta A do miasta B ciężki wór z prezentami. Gdy był dokładnie w połowie drogi, spotkał zaprzęg reniferów, który zabrał go do miasta B. Po rozdaniu wszystkich prezentów, Mikołaj wrócił pieszo do miasta A.

W którą stronę podróżował dłużej, jeżeli z pustym workiem szedł 2 razy szybciej niż z pełnym?

Niech to zadanie zilustruje rysunek z pracy Krzysztofa S.



A oto 2 sposoby rozwiązania tego zadania.

I. Metoda Marcina R.

Chcąc poprawnie rozwiązać to zadanie, należy uściślić, co dzieje się z Mikołajem po spotkaniu zaprzęgu reniferów, a konkretnie, z jaką prędkością ów zaprzęg poruszał się. Moim zdaniem możliwe są 2 interpretacje:

- 1) Ponieważ nie jest to określone w treści zadania, to można przyjąć, że czas, jaki jest potrzebny zaprzęgowi do pokonania połowy drogi dzielącej miasta A i B, jest pomijalnie mały. Ma to swoje uzasadnienie, gdyż w jaki inny sposób Mikołaj byłby w stanie odwiedzić wszystkie dzieci jednego wieczoru? Wyliczenie daje, że w obie strony podróżował jednakowo.
- 2) Można by również założyć, że czas podróży saniami nie jest pomijalnie mały. W takim przypadku można wywnioskować, że Mikołaj podróżował krócej z pustym workiem. Oznacza to, że w drugim przypadku (jak łatwo stwierdzić) zrobił to t_{sani} szybciej.

II. Metoda Mateusza J.

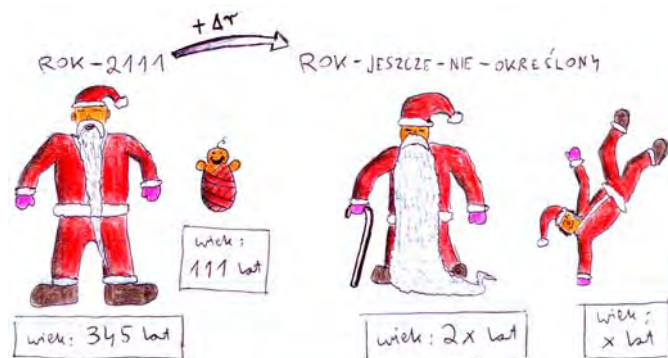
Aby poprawnie rozwiązać zadanie, potrzebne są rozważania teoretyczne. Jak wiadomo, sanie św. Mikołaja poruszają się z miejsca na miejsce praktycznie natychmiastowo. Fizycy od wieków głowią się, jak to się dzieje? Wszak sanie teoretycznie nie mogą poruszać się nawet z prędkością światła. Najnowsze badania i eksperymenty doprowadziły do powstania nowych teorii. Jedną z nich jest teoria tuneli czasoprzestrzennych. Jej zwolennicy twierdzą, że sanie potrafią w jakiś sposób połączyć 2 punkty czasoprzestrzeni, niejako je zaginając. Jest też druga teoria mówiąca, że sanie św. Mikołaja mają mniej energii, gdy poruszają się szybciej. Nie ma jednak ona wielu zwolenników. Obie teorie są przedmiotem intensywnych badań.

A teraz może jeszcze zadanie nr 2.

Zadanie 2

W 2111 roku Mikołaj Starszy będzie miał 345 lat, a jego syn Mikołaj Młodszy 111 lat. W którym roku Mikołaj Starszy będzie dwa razy starszy od Mikołaja Młodszego.

Tu także niech będzie pomocny rysunek Krzysztofa S.



I. Rozwiązanie Piotra O.

Teoretycznie można by policzyć, że stanie się to w 2234 roku. Ale tylko teoretycznie. Po krótkim śledztwie doszedłem do wniosku, że

- 1) Mikołaj Starszy – to w rzeczywistości św. Mikołaj urodzony w 270 r. n.e. (?) w Peterze w Azji Mniejszej (dane: Watykan),
- 2) Mikołaj Młodszy – to jego konkurent Dziadek Mróz, o którym legenda powstała już w XVII wieku; domniemana data urodzin to 1556 r.

Ponieważ Mikołaj Starszy, jak i Młodszy, żyją z niesamowitą prędkością, to starzeją się wolniej niż otaczający ich świat. Korzystamy tu z równań Lorentza dla zjawiska dylatacji. (Tu następują długie wyliczenia autora). Na podstawie wiedzy o wieku Mikołaja w roku 2111 oraz ze znajomości daty narodzin obliczamy pewien współczynnik „b” dla poszczególnych Mikołajów.

Na podstawie powyższych rozważań Mikołaj Starszy będzie miał 2 razy więcej lat około roku 2689.

II. Rozwiązanie Humanistyczno-Genealogiczne (jak napisał autor) Tomasza P. na temat rodziny Mikołaja

Mikołaj urodził się w $2111 - 111 = 2000$ roku. Jego tata zaś w $211 - 345 = 1766$ roku, czyli podczas narodzin młodszego miał $2000 - 1766 = 234$ lata. To znaczy, że był o tyle właściwie lat starszy. Teoretycznie za tyle lat urodzin młodszego starszy będzie 2 razy starszy, czyli nastąpi to w $2000 + 234 = 2234$ roku.

Tak jednak się nie stanie, gdyż z zadania 1 wiemy, że co roku Mikołaj podróżuje swoimi saniami z prędkością większą od prędkości światła, więc cofa się w czasie, co zapewnia mu „wieczną młodość”, a poza tym Mikołaj urodził się w 1766 roku, tylko około 300 r. n.e. Więc należałoby rozważyć dwa przypadki: albo św. Mikołaj zdobył swoje sanie w wieku 345 lat i od tego czasu jego wiek jako funkcja czasu jest stały, tak jak jego syna (gdyż w czasie wynalezienia sań miał już 111 lat). W tym przypadku nigdy wiek ojca nie będzie dwukrotnym wiekiem syna.

Drugi przypadek to to, że Mikołaj w Wigilię i przez 2111

$- 300 = 1811$ lat starzeje się o 345 lat, czyli dla niego 1 rok to 0,19 lat. Zrównanie nastąpi w $2111 + 1288 = 3399$ roku.

A teraz na „deser” rozwiązanie w wersji wierszowanej – oczywiście Ani P.

Bajka z przesłaniem historycznym

Kiedyś Mikołaj zapragnął Wnusi,
Lecz by tak było, sam dziecko mieć musi.
Tak oto w 234 roku życia doczekał się syna
I Mikołajów powiększyła się rodzina.
Mikołaj Młodszy, bo syn nazwany został tak,
W 2111 roku skończy 111 lat.
Lecz ród Mikołajów jest bardzo magiczny,
Gdyż wolno starzeją się Mikołaj i jego bliscy.
Tak oto Mikołaj M., stuje dynastolatak,
Czuł się jak ośmioletni chłopaczek,
A jak to dzieci wszystkie, dobrze wiecie,
Wtedy prezentów pragnie jak najbardziej na świecie.
I choć w przyszłości to on nas podarkami obdarzy,
Teraz Mikołaj Młodszy sam o prezencie marzy
Ojciec jego ma wór prezentów zapchany
Tam też już czeka podarek dla syna przygotowany.
Lecz chłopiec musi się w przyszłym fachu ćwiczyć
Mikołaj Starszy kazał mu samemu wyliczyć
Numer swego prezentu i odnaleźć w worze tę zabawkę
Zadając mu taką oto zagadkę:
Numer taki doczepiłem do prezentu Twojego
Jak rok, w którym wiek ojca twego
Będzie dwukrotnością wieku jedyne go syna jego.
Mikołaj Młodszy tę bajkę uważnie czytał,
Wszystkie dane skrupulatnie sobie wypisywał.
Do 234 swój wiek dodał
I wiek ojca – 345 lat otrzymał.
Jeśli do 345 – myśli – n by dodać,
To (swój wiek plus n) razy dwa muszę otrzymać.
I niewiadomej n poszukać.
Mikołaj Młodszy jest trochę zdziwiony.
Dobrze zna historię, więc w wynik jest zapatrzony,
Bo właśnie na tyle po zaborach lat
Polska zniknęła ze świata map!
Lecz od zadumy silniejszy prezentu głód.
Dodał więc 123 do 2111 najszybciej jak mógł
I pobiegł prędko do wora z prezentami
Szukać prezentu z numerem 2234 na nim.

Na tym zakończyłabym „Opowieści Mikołajowe”. Sądzę, że podane przykłady świadczą nie tylko o fantazji moich studentów, ale i ich radości w zabawie z matematyką.

A teraz zapowiadane fragmenty toastu prof. Romana Sikorskiego. Treścią ich są związki matematyki ze sportem. Kto wie, może przyda nam się to przed Euro 2012.

„Proszę Państwa, marzeniem matematyki polskiej było, by została przeniesiona z resortu nauki do resortu sportu, bo zapewniłoby to liczne korzyści materialne i niematerialne.

... Przejście matematyki z resortu nauki do resortu sportu napotkało na opór głównie ze strony władz wojskowych.

Wiadomo bowiem, że cała matematyka opiera się na dowodzeniu, a przecież wojsko też opiera się na dowodzeniu.

... Z drugiej strony wśród matematyków wyczynowców, tych z pierwszej linii, pojawiła się modernistyczna tendencja, by niczego nie dowodzić, by tylko formułować twierdzenia. No bo jeśli twierdzenie jest prawdziwe, to po co go dowodzić, a jeśli jest fałszywe, to wiadomo – nie da się udowodnić. Ale szczęśliwie udało się pokonać wszystkie trudności związane z przejściem matematyki z nauki do sportu. Zwyciężył argument, że matematyka to gimnastyka umysłu, a gimnastyka należy przecież do sportu, w to nikt nie wątpi.

... Natomiast włączenie matematyki do sportu zmieni całkowicie charakter niektórych konkurencji sportowych. Tak na przykład zamiast zwykłego rzutu kulą wprowadza się rzut kulą w przestrzeni Banacha. Dotychczasowy rzut oszczepem zostanie zastąpiony przez rzut wektorem w przestrzeniach liniowych.

Poranną gimnastykę zastąpi się kwadrantem gimnastyki umysłu w postaci zadań z topologii różniczkowej dla przedszkolaków oraz najprostszych zadań z arytmetyki dla dorosłych.

Wpływ środowiska sportowego na matematykę będzie również wielki.

Konkurencje sztafetowe niewątpliwie przyczynią się do nowych metod kompleksowego rozwiązania problemów matematycznych, każdy uczestnik prowadzi badania na swoim odcinku i odda problem do rozwiązania następcy w sztafecie.

Nudne konferencje naukowe zastąpi się przez pasjonujące mecze drużyn matematycznych w obecności tysięcy widzów na trybunach. Sprawozdanie radiowe z przebiegu takiego meczu będzie wyglądało mniej więcej tak:

„Wspaniały widok, proszę państwa, wspaniały widok. Trybuny wypełnione; wszędzie gęsto siedzą faceci z trąbkami, jankami i innymi przedmiotami do wyrażania swych uczuć metodami geometrii rzutowej. Na boisku naprzeciwko siebie dwie drużyny: czarno-biali kontra biało-czarni. Wszyscy czekają na sędziego, który rzuci problem matematyczny.

Czarno-biali będą usiłovali go rozwiązać, a biało-czarni będą usiłovali go obalić. Wszyscy czekają w wielkim napięciu. O, już jest, już pojawia się sędzia.

Sędzia rzuca problem, chwytą go prawoskrzydłowy czarno-białych, usiłując go rozwiązać, ale nic mu nie wychodzi, nie jego specjalność, oddaje więc go lewoskrzydłowemu ze swej drużyny. Ten oddaje go główką do centrum, piękne odbicie, proszę państwa, wspaniałe odbicie, bardzo elastyczne, widać główka jego jest pusta, a nieprzeładowana wiedzą matematyczną. Centrowy ruszył, tak, ruszył naprzód, proszę państwa, to znaczy rozwiązuje, to znaczy zaczyna rozwiązywać, pomaga mu prawy pomocnik, już, już wydaje się, że rozwiąże, wspaniała sytuacja podbramkowa, już, już, szkoda, że niczego nie widać z mego stanowiska sprawozdawczego, zaraz spróbuję się gdzieś dowiedzieć, co się stało. Aha, już wiem, kontrprzykład. Tak, proszę państwa, kontrprzykład. W ostatniej chwili obrońca biało-czarnych zaanonsował, że widzi kontrprzykład na dotychczasową metodę czarno-białych. Teraz problem przejęli biało-czarni, konstruują kontrprzykład, wspaniały kontrprzykład. Szkoda, że go państwo nie widzą, bo ja także niczego nie

widzę z mego stanowiska, ale słyszę, że już, już są blisko mety, zaraz padnie gol...

Niestety, sędzia gwizdże, okazało się bowiem, że w konstrukcji kontrprzykładu lewy strzelec biało-czarnych sfaulował. Skorzystał z twierdzenia, którego założenia nie są nigdy prawdziwe. I znów prowadzą czarno-biali, znów zbliżają się do bramki i znów kontratak biało-czarnych, znów udany kontrprzykład i czarno-biali muszą zmienić ideę dowodu, wspaniale zmieniają, zamiast twierdzenia Banacha-Steinhaus'a stosują najpierw twierdzenie Banacha, a dopiero potem twierdzenie Steinhaus'a, już, już są bliscy celu, już strzelają bramkę, ale bramkarz biało-czarnych odparł ich strzał, bo strzelili kulą jednostkową z przestrzeni \mathbb{R}^2 zamiast z \mathbb{R}^2 duże. Gra nabiera tempa. Co czarno-biali sformułują jakiś interesujący lemat, to biało-czarni kontrują, wspaniale kontrują, albo lewy obrońca znajduje lukę w dowodzie, albo prawy obrońca znajduje niespełnione założenia.

A czarno-biali wciąż atakują, wspaniale atakują, co raz to chwytają się nowej idei. I tak płynie gra... no właśnie o co? O co walczą obie drużyny? Może się kogoś spytamy, o co i po co walczą? Pytam się, ale nikt nie wie o co i po co, po prostu urzeka ich piękno abstrakcji i brak zastosowań, walka dla samej walki, jeszcze jedno twierdzenie, jeszcze bardziej abstrakcyjne od poprzedniego, jeszcze jedno uogólnienie.

Przepraszam, zagadałem się, a tu sędzia odgwizduje koniec meczu, była to wspaniała walka, aha, wreszcie dowiedziałem się o co, o co ta walka była, to była walka o puchar Fermata. Mecz jest nierozegrany, czarno-biali nie zdołali obalić tej słynnej hipotezy, ale to jeszcze nie koniec, proszę państwa, będzie dogrywka o hipotezę Riemanna. To ja już się wyłączę do ponownego spotkania.

Kończąc, wznoszę okrzyk: Niech żyje matematyka. Nowa wspaniała dyscyplina sportowa.”

No i czy nie są wspaniałe te fragmenty toastu profesora Sikorskiego? Mam nadzieję, że podobał się taki rodzaj wiedzy matematycznej.

Krystyna Nowicka
Studium Nauczania Matematyki

PS. Mili Czytelnicy „Pisma PG”, z powodów osobistych być może zakończę opowiadania ze świata matematyki. Dziękuję za wyrozumiałość i zyczliwość ...

Z okazji zbliżających się Świąt chciałabym podarować takie oto przemyślenia:

„Boże Narodzenie sprawia, że na naszej planecie znów robi się ciepło. Nadchodzi powoli ogromna Miłość. Zatrzymaj wpływający czas we wspomnieniach, a przede wszystkim pamiętaj o pięknych chwilach, by nigdy nie poszły w zapomnienie.”



Pokorna wielkość

Alexander Pope

- *Przyroda i prawa przyrody były ukryte w ciemności.
Bóg rzekł: "Niech stanie się Newton" i stało się światło.*

Izaak Newton

- *Prawa, które odkryłem, są bardzo proste.
Sformułowałem je szybko, ale zanim do tego doszło,
bardzo długo myślałem.*
- *Ludzie budują za dużo murów, a za mało mostów.*

Niech radują się śmiertelni, że istniała taka ozdoba rodzaju ludzkiego. Ten fragment epitafium, znajdującego się na pomniku Izaaka Newtona w Opactwie Westminsterskim, jest hołdem złożonym człowiekowi, który rozwiązał problem mechaniki wszechświata. W swoim długim, pracowitym życiu zajmował się matematyką, fizyką, astronomią, lingwistyką, geografią, ekonomią, budownictwem okrętowym, chemią, alchemią i teologią.

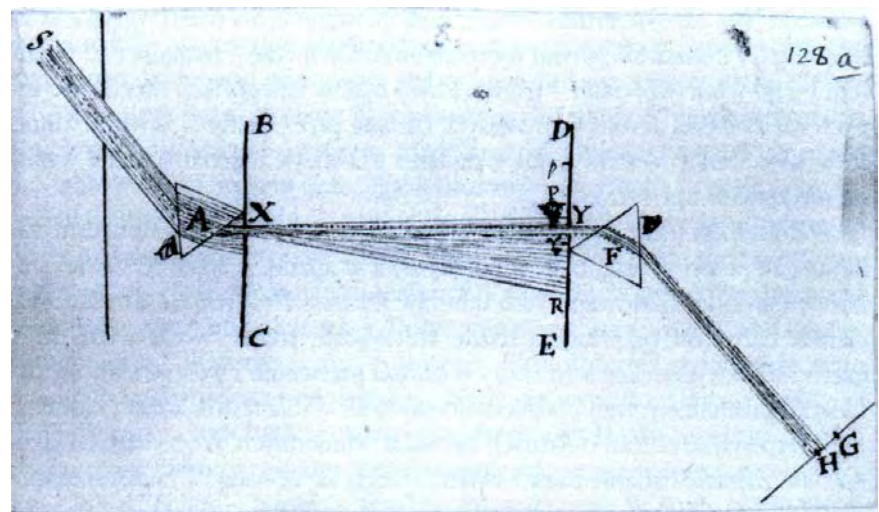
Karierę naukową zaczął od oślej ławki w szkole w Grantham. Wydarzeniem, które obudziło w nim ambicję i wolę walki, była bójka ze szkolnym prymusem, Arthurem Storerem, którego brutalnie pokonał. Wydarzenie to w kilka lat później wpisał na listę 58 grzechów, którą sporządził w okresie żarliwości religijnej. Na tejże liście znalazło się również pragnienie podpalenia domu matki i ojczyma. Przez osiem pierwszych lat życia wychowywała go babka, której nigdy w żadnych swoich notatkach (a liczą one kilka milionów wyrazów) nie poświęcił ani jednego słowa. Ojciec zmarł, zanim się urodził. Prawdopodobnie porzucenie przez matkę było powodem jego negatywnego stosunku do kobiet. Nigdy się nie ożenił, nie ma śladu informacji, że kiedykolwiek myślał o założeniu rodziny. Matka ledwie umiała się podpisać, a rodzina ojca, rolników z dziada pradziada, podpisywała się trzema krzyżkami, w przeciwieństwie do rodziny babki, gdzie wykształcenie otrzymali liczni krewni. Izaak nie miał korzeni, które zapewniłyby mu sukcesy w nauce. Jego droga od domu w Wololthorpe do pasowania przez królową Annę na szlachcica jest ciągle niezbadana.

Izaak Newton był dziwnym uczniem. Dokonał wielkich odkryć, ale w samotności. Był pracowolikiem o neurotycznej osobowości, kłótlwym, obraźliwym, skrytym, nieutrzymującym z nikim bliskich kontaktów. Już jako dziecko wykazywał ogromną pomysłowość i zręczność manualną, konstruując zabawki, które zadziwiały otoczenie. Były to zegary wodne, wiatraki, młynki napędzane przez myszy chodzące w kieracie, latawce z umieszczonymi na nich lampionami, zegary słoneczne. Frapowały go konstrukcje mechaniczne, a wszystko, co tworzył, było efektem tych zainteresowań.

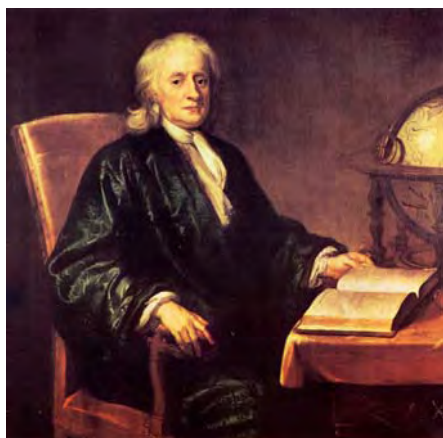
Miał szczęście, że w swoim życiu trafił na ludzi, którzy dostrzegali w nim zadatki na geniusza. Tak było w Grantham, a później w Trinity College. Studia w Cambridge zaczynał jako subszkar (ubogi student, który nie płacił za naukę, ale w zamian służył profesorom

i bogatym kolegom, zjadając po nich resztki posiłków), by po latach wrócić jako profesor. Poniżająca sytuacja zwiększyła jego samotność i wpłynęła na skoncentrowanie się na zdobywaniu wiedzy. Sam wyznaczał sobie dziedziny, które chciał zgłębić. Na boku zostawił Arystotelesa i Platona, z których poglądami zapoznawali się jego koleżdy, a zajął się teoriami głoszonymi przez Keplera, Kopernika, Bacona i Kartezjusza. W swoim studenckim notatniku sporządził listę pytań, na które chciał znaleźć odpowiedź, pytań dotyczących kwestii i wątpliwości związanych ze zrozumieniem świata i zdobyciem wiedzy. Wstępując na uniwersytet, posiadał jedynie podstawowe informacje z arytmetyki. W rekordowym czasie jednego roku samodzielnie, bez pomocy nauczycieli, posiadał całą ówczesną wiedzę matematyczną, co pozwoliło mu na zapoznanie się z teoriami Kartezjusza związanymi z geometrią oraz światopoglądem mechanistycznym innych filozofów.

Od Kartezjusza nauczył się zastosowania metod matematycznych do problemów fizycznych. Zainspirowany geometrią kartezjańską, wynalazł nowe narzędzie – rachunek różniczkowy i całkowity. Dokonał tego w czasie przymusowego pobytu w domu rodzinnym, do którego został odesłany (podobnie jak pozostali studenci) z powodu epidemii. Dwa lata odosobnienia przyniosły odkrycia, które postawiły Newtona na pierwszym miejscu wśród wszystkich uczonych (zdyktansował go dopie-



Doświadczenie rozstrzygające Izaaka Newtona. Rysunek – zaczerpnięty z rękopisu Newtona jego optycznych wykładów w Katedrze Matematyki im. Lucasa w Cambridge – przedstawia wczesną wersję doświadczenia z dwoma pryzmatami; źródło: Rewolucja naukowa. Prószyński i S-ka 2000



Isaac Newton. Portret namalowany przez Pietera Van der Bancka. La Grande Encyclopédie Librairie Larousse 1975

ro w dwieście lat później Albert Einstein swoją teorią względności). Ujawnił je jednak dopiero po kilkunastu latach na prośbę astronoma Edmunda Halleya, jedyne go człowieka, z którym ekscentryk Izaak Newton zgodził się rozmawiać. Prośba Halleya dotyczyła matematycznego zapisu elipsy, po których poruszają się planety krążące wokół Słońca. Christopher Wren, Robert Hooke oraz Edmund Halley nie wątpili, że orbity planet mają kształt elipsy, ale nie potrafili tego przedstawić za pomocą wzoru. Newton dał odpowiedź, która przeobraziła naukę. Ujawnił moc przewidywania, która tkwi w fizyce matematycznej.

Udowodnił, że orbity planet muszą być eliptyczne, bo wynika to z prawa o sile, która zależy od odwrotności kwadratu odległości między przyciągającymi się masami. Pozwoliło to na wyciągnięcie wniosku, że teoretycznie istnieje możliwość określenia przeszłości i przyszłości wszechświata, jeżeli znane są warunki początkowe dla każdego atomu oraz działające na nie siły. Twierdzenie to zakładało sztywność wszechświata. Dopiero nieoznaczoność i prawdopodobieństwa mechaniki kwantowej zmieniły ten pogląd. Teoria względności i teoria kwantowa znajdują zastosowanie w układach o prędkości zbliżonej do prędkości światła i gigantycznym przyciąganiu. Przyciąganiu ziemskiemu i niewielkim prędkościami ciągle jeszcze wystarcza mechanika newtonowska.

Geniusz Newtona pozwolił mu na sformułowanie – w ciągu zaledwie siedemnastu miesięcy – 193 twierdzeń i udowodnienie ich w tym rekordowo krótkim czasie. Całość zawarł w trzech tomach największego intelektualnego

dzieła swego życia, a jednocześnie największego osiągnięcia umysłu w historii nauki, epokowego dzieła „Philosophiae Naturalis Principia Mathematica”. Wiedza, którą przedstawił, to nie tylko suchy zapis odkryć, ale cały kontekst ludzkiej wiedzy, skonstruowanej i postrzeganej jako jedna całość. Subrahmanyan Chandrasekhar, najwybitniejszy astrofizyk XX wieku, laureat Nagrody Nobla z fizyki za prace nad ewolucją gwiazd, mocno podkreśla, że odkrycia Newtona całkowicie zmieniły kierunek rozwoju nauki.

„Principia” to zwięzły opis trzech zasad dynamiki oraz teorii grawitacji. Zasady dynamiki, odkryte i sformułowane przez Izaaka Newtona, dotyczą poruszania się ciała, gdy nie działa na nie żadna siła, ruchu ciała, gdy działa na nie jakaś siła, oraz akcji i reakcji, gdy siły są sobie równe i przeciwnie skierowane. Uczony udowodnił, że we wszechświecie wszystko jest proste, nie ma żadnej tajemniczości, wszystko oparte jest na prostych, podstawowych zjawiskach, a najbardziej nawet skomplikowane wyjaśnić można, opierając się na prostych prawach. Dzieło to nigdy by się nie ukazało drukiem, gdyby nie pomoc Halleya. To on opłacił druk i dystrybucję „Principiów”. Nakład był wprawdzie niewielki i sprzedano jedynie kilkaset egzemplarzy, ale nie oznacza to braku zainteresowania i reakcji społeczeństwa. Mimo iż Newton świadomie i z premedytacją niezbyt jasno przedstawiał swoje teorie, kierując je tylko i wyłącznie do matematyków, to jednak szybko zostały one rozpoznane, przyjęte z ogromnym zainteresowaniem i zaakceptowane. O tym, jak wielką cieszyły się popularnością, świadczyły liczne wykłady, odbywające się przeważnie w kawiarniach i innych miejscach publicznych, na które przybywały tłumy, a obecność na nich, podobnie jak zainteresowanie sprawami nauki – dzięki odkryciom i twierdzeniom sformułowanym przez Newtona – stało się dzięki osobie tego milczącego uczonego eleganckie i modne.

W roku cudów – roku stworzenia fizyki klasycznej i matematyki niezbędnej do jej wyrażania, Newton jako dwudziestotrzyletni student, któremu zafundowano dwuletnią przerwę w studiowaniu, dokonał trzech największych odkryć w historii nauki: nie tylko stwo-

rzył rachunek różniczkowy, ale również rozłożył widmo światła na części składowe, używając do tego celu pryzmatu, oraz odkrył prawo powszechnego ciążenia.

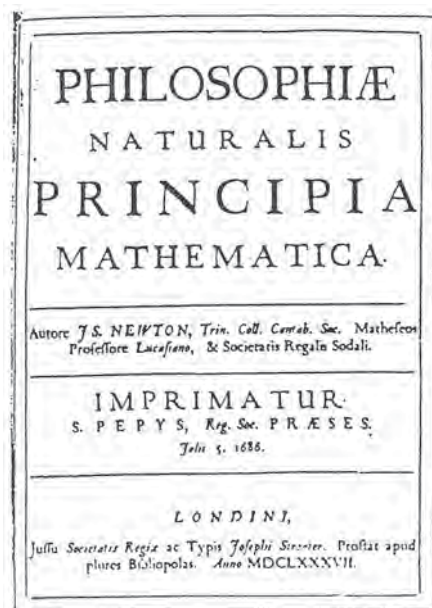
Własne poglądy na temat właściwości światła i barw zawarł w dziele „Optics”, w którym prezentuje wniosek o niejednorodności światła i rozłożeniu tej niejednorodnej mieszaniny na jej podstawowe, proste składowe. Przedstawia też wniosek dotyczący światła jako tworów składającego się z malutkich cząsteczek. Dzieło to ukazało się z opóźnieniem, ponieważ nieprzyjmujący jakiegokolwiek krytyki Newton wycofał się do swojej samotni i dopiero po wielu latach zdecydował się opublikować efekty swojej pracy.

Prowadząc obserwację komet i planet, używał teleskopu refrakcyjnego, z dużym obiektywem i okulem na przeciwnym końcu. Ponieważ fałszował on kolory, dlatego Newton skonstruował pierwszy teleskop zwierciadlany, wolny od aberracji chromatycznej. W miejsce soczewek zastosował zwierciadło wklęsłe, zbierające światło. Po sprezentowaniu Towarzystwu Królewskiemu jednego z trzech wyprodukowanych przez siebie teleskopów, został wybrany na jego członka, a w przyszłości do czekał się funkcji Przewodniczącego Towarzystwa, którą pełnił przez kilkadziesiąt lat. Kilkakrotnie – w czasie piastowania tego zaszczytnego stanowiska – zdarzyło mu się nadużyć swojej władzy, by zniszczyć ludzi, którzy mu się przeciwstawili lub postąpili niegodnie.

Sfałszował również wyniki badań, podając spreparowane dane liczbowe,



Teleskop zwierciadlany Newtona; źródło: Kompendium. Wiedza w pigułce. Firma Księgarska Jacek i Krzysztof Olesiejuk 2005



Strona tytułowa dzieła *Philosophiæ Naturalis Principia Mathematica*; źródło: *Na ramionach olbrzymów*. WNT 1999

aby danym doświadczalnym dodać większej dokładności. Było to sprzeczne z jego powszechnie znaną nienawiścią do kłamstwa i oszustwa, a także nieuczciwości, która zawsze doprowadzała go do furii.

Swoje poglądy, swój system kosmologiczny Izaak Newton zbudował na założeniu, że istnieje naczelny architekt, stwórca, którym jest Bóg. Wszechobecność Boga była dla Newtona ostatecznym układem odniesienia i w nim dopiero zdefiniowane było prawo działania siły. Nauka była dla niego formą kultu religijnego. Swoje życie religijne rozpoczął jako anglikanin, a skończył jako antytrynitariusz. Z prywatnych zapisków wynika, że kwestionował ortodoksyjne nauki, nigdy jednak w żadnym oficjalnym dziele nie pojawiła się informacja, która zrodziłaby cień wątpliwości dotyczący jego oficjalnie wyznawanej wiary, o co bardzo dbał. Gdy zaproponowano mu objęcie godności Master of Trinity, odmówił, ponieważ musiałby słuchać poleceń, a nie chciał się im podporządkować, zwłaszcza że nie akceptował doktryny Trójcy Świętej. Przyjął natomiast stanowisko Nadzorcy, a później Kuratora Mennicy. Bardzo aktywnie i efektywnie walczył z fałszerstwami monet, był nawet pomysłodawcą karbowania ich krawędzi, co zapobiegało łatwemu ich podrabianiu. Londyńscy fałszerze bali się Newtona, ponieważ doprowadził na szafot kilkudziesięciu przestępców, osobiście uczestnicząc w egzekucjach.

Z pozostałych po nim notatek wynika, że matematyka i fizyka nie były jedynymi dziedzinami, którymi się interesował. Bardzo dużo czasu poświęcał sprawom ezoteryki, metafizyki i okultyzmu. Alchemia i studia nad Biblią, a szczególnie prorocтва biblijne, stanowiły trzon jego pozanaukowych zainteresowań i działań. W XVII wieku alchemia, podobnie jak matematyka i fizyka, była dziedziną nauki, zajmującą się m.in. badaniem pierwiastków. Około miliona słów zapisanych w notatkach alchemicznych to dowód na zgłębianie przez ich autora tajników przyrody. Gdyby udało się rozszyfrować niektóre z nich, mielibyśmy prawdopodobnie zapis reakcji chemicznych przeprowadzanych przez tego wielkiego uczonego. W kręgu jego zainteresowań znajdowała się transmutacja (ponieważ dzięki niej zdobywał dowody korpuskularnej natury materii) oraz powietrze i metale, które według niektórych ówczesnych poglądów rosły w ziemi, zgodnie z prawami wzrostu roślin i zwierząt. W notatkach znajdują się również uwagi dotyczące alchemii odzwierciedlającej prace Boga podczas stworzenia świata.

Swoje zainteresowanie chemią Izaak Newton wyniósł prawdopodobnie jeszcze z czasów szkolnych w Grantham, gdy mieszkał na stacji u miejscowego aptekarza. Z „Principiów” wynika, że był zwolennikiem poglądu głoszącego, że źródłem wszelkiej materii jest woda. W jedynej opublikowanej rozprawie „De natura acidiorum” zajmuje się powinowactwem chemicznym i wypieraniem metali z roztworów w kwasach. Jest też pomysłodawcą eksperymentów związanych z poznaniem mechanizmu wzrostu roślin przez badanie krążenia soku roślinnego. Zgodnie z duchem ówczesnego czasu zajmował się także wytapianiem różnych związków chemicznych. W tym celu dokonał zakupu specjalnego pieca, działającego w systemie ciągłym, w którym udało mu się wytworzyć różnego rodzaju amalgamaty i substancje, których dzisiaj, niestety, nie jesteśmy w stanie odtworzyć.

Całe życie Newtona skoncentrowane było na pracy, nie było w nim żadnych osobistych, prywatnych elementów. Nie miał przyjaciół, nie pojawiały się w jego pobliżu żadne kobiety, odmawiał sobie rozrywek, czego dowód

znaleźć można w notatkach, w których umieszczał każdy wydatek, nawet na „rozpusztę” w postaci słodkiego kremu czy odrobiny wina. Nie miał poczucia humoru. Nie znosił krytyki. Nie utrzymywał kontaktów z rówieśnikami, zarówno w czasie studiów, jak i w dorosłym życiu. Znany był ze swej ekscentryczności, zaniedbanego ubrania, przekrzywionej peruki, zdartych butów i poplamionego kołnierzyka. Dla mieszkańców Collegium Trinity był „dziwakiem, co mieszka w bramie” (obok wejścia do kolegium). O ile we wczesnej młodości miał prawo czuć się niedocenionym geniuszem, o tyle w późniejszym okresie spotykał ludzi, którzy w swojej pomocy daleko wykraczali poza służbowe obowiązki. W dowód uznania jego zasług powierzono mu stanowisko kuratora, a następnie dyrektora Bank of England. Został również zagranicznym członkiem Akademii Nauk w Paryżu, a królowa Anna ofiarowała mu tytuł szlachecki.

W swoich badaniach zastosował i utrwalił metodę naukową, polegającą na przeprowadzaniu eksperymentów w celu sprawdzenia teorii i hipotez. Albert Einstein powiedział o Newtonie: „Przyroda była dla niego otwartą księgą. [Ten badacz] stoi przed nami silny, pewny siebie i samotny”. Natomiast wielki uczony, który nigdy nie był czołobitny, stwierdza z wielką pokorą: „Jeżeli widziałem dalej, to dzięki temu, że stałem na barkach gigantów”.

Ewa Dyk-Majewska
Biblioteka Główna

1. Bernstein J., Teoria wszystkiego. Prószyński i S-ka 1999
2. Bragg M., Na barkach gigantów. Wielcy badacze i ich odkrycia od Archimedes do DNA. Prószyński i S-ka 2004
3. Brennan R.P., Na ramionach olbrzymów. Życie i dzieło twórców współczesnej fizyki. WNT 1999
4. Brock W.H., Historia chemii. Prószyński i S-ka 1999
5. Chandrasekhar S., Prawda i piękno. Estetyka i motywacja w nauce. Prószyński i S-ka 1999
6. Kierul J., Izaak Newton. Bóg, światło i świat. Oficyna Wydawnicza Quadrivium 1996
7. Newth E., W poszukiwaniu prawdy. Opowieści o nauce. WNT 1999
8. Shapin S., Rewolucja naukowa. Prószyński i S-ka 2000

Oszczerstwo polską specjalnością? Równocześnie z ukazaniem się „Gazety Wyborczej” z dnia 10-11.11.2007, w której znajduje się artykuł p. Pawła Huelle pod tytułem „Oszczerstwo polską specjalnością”, wpadła mi przypadkowo w ręce odbitka artykułu pani Joanny Dudy-Gwiazdy wraz ze stroną tytułową dwumiesięcznika „Obywatel” nr 5(37)2007. Zbieżność tych dwu artykułów skłoniła mnie do napisania tego tekstu. Ponieważ ten drugi artykuł dotyka środowiska politechnicznego, będę usatysfakcjonowany, jeśli mój tekst znajdzie się w „Piśmie PG”. „Pismo PG” promuje Politechnikę Gdańską, przedstawia wydarzenia z przeszłości, także były i obecne osiągnięcia jej pracowników. Prócz rzeczy chwalebnych, mamy czasem tę drugą, ciemniejszą stronę życia. Wierzę jednak, że „Pismo” potrafi też stanąć w obronie dobrego imienia byłego pracownika naszej Uczelni.

Mało jest ludzi, którzy mają ochotę babrać się w bagnie, jednak uważam, że nikczemność nie może zostać bez odpowiedzi. Brak jakiegokolwiek reakcji oznacza ciche przyzwolenie, a bezkarność prowadzi do dalszych, jeszcze brutalniejszych ataków.

Autor artykułu w „Gazecie Wyborczej” ogranicza się tylko do dwu przypadków oszczerstw, ale przedstawia przypadki z bardzo wysokiej półki. Oszczerstwu podlegają tu dwie osoby: Józef Piłsudski i Lech Wałęsa. Myślę, że Autor potrafiłby rozwinąć temat na całkiem okazałą książkę, uzasadniając swą tezę, ale wystarczyły tylko dwa przykłady. Artykuł opublikowany w magazynie „Obywatel” ma tytuł „Teoria Okrętu pod nadzorem Armii Ludowej” i skupia się tylko na jednej osobie, już z niższej półki. Poświęcony jest Lechowi Kobylińskiemu, pracownikowi Politechniki Gdańskiej od roku 1948, absolwentowi Wydziału Budowy Okrętów PG z roku 1950, profesorowi od roku 1962, doktorowi honoris causa PG z roku 2004. Ten doktorat honorowy, jak podaje artykuł, uzyskany został „niehonorowo, w drodze oszustwa”. Już tylko to stwierdzenie podważa dobre imię Wydziału, Rektora, Senatu i całej Politechniki Gdańskiej. A stwierdzeń pejoratywnych jest więcej. Autorka, Joanna Duda, w roku 1963 jeszcze nie Gwiazda, ukończyła Wydział Budowy Okrętów Politechniki Gdańskiej w specjalności Budowa Maszyn Okrętowych. Wszystkie wymienione w jej artykule osoby z nazwiska, z wyjątkiem Zenona Kliszki, Władysława Gomułki i Włodzimierza Lenina, są absolwentami Wydziału Budowy Okrętów PG, który od roku 1969 występował pod nazwą Instytutu Okrętowego. Nie znam pisma „Obywatel”, ale oceniając je tylko na podstawie bezkrytycznie wydrukowanego paszkwilu, bez żadnej weryfikacji ze strony Redakcji, nie może być pismem wysokiego lotu. Jeśli przez ten artykuł udało się sprzedać o kilka egzemplarzy tego numeru więcej, to można powiedzieć, że Redakcji opłaciło się. Jestem jednak głęboko przekonany, że nazwisko Autorki zostało wykorzystane do firmowania zawartych treści, a rzeczywistym autorem artykułu, przynajmniej w 90% objętości, jest p. Maciej Pawłowski (absolwent Instytutu Okrętowego z roku 1970), występujący w artykule jako wybitny, niedoceniony uczony, walczący od lat o wysokie standardy merytoryczne i etyczne w polskiej nauce. Pod hasłem walki o te szczytne ideały najczęściej kryje się własny interes takiego wielkiego bojownika. Zawarta w artykule treść pokrywa się bardzo dokładnie z licznymi pismami, jakie M. Pawłowski rozsyła w formie elektronicznej do licznej i wybranej grupy osób, a także do różnych instytucji, nie tylko w kraju, ale i poza jego granice. Jeśli znalazłby się kolekcjoner tych pism, to byłby z nich opasyły tom. Stąd domniemanie graniczące z pewnością, kto jest głównym autorem tekstu w „Obywatelu”. A rozsyłane przez M. Pawłowskiego pisma szkalują osoby, które stanęły w jakikolwiek sposób na drodze jego interesu. Ze szczególnym jednak upodobaniem od kilkunastu już lat pragnie obniżyć autorytet prof. Lecha Kobylińskiego, byłego zwierzchnika i promotora jego pracy doktorskiej – osoby powszechnie znanej, cieszącej się dużym szacunkiem w branży okrętowej i mimo zaawansowanego wieku, wciąż czynnego zawodowo. To obsesyjne szkalowanie i zwalczanie przy każdej okazji lub i bez okazji prof. L. Kobylińskiego ma na celu odsunięcie go z udziału w pracach na rzecz Międzynarodowej Organizacji Morskiej i zajęcie jego miejsca. Stąd też takie zainteresowanie Polskim Rejestrem Statków, które z urzędu zajmuje się współpracą z IMO (International Maritime Organization). Nie wspomina p. M. Pawłowski w swoich licznych pismach, że prof. L. Kobyliński przed laty uczestniczył lub przewodniczył wielu radom naukowym różnych instytucji. Przez prawie 25 lat, od chwili powołania do życia w roku 1982 do

2007, był przewodniczącym Rady Naukowej w Centrum Techniki Morskiej. A w tej instytucji opracowuje się wiele problemów niejawnych. Długi okres przewodzenia Radzie i pełne zaufanie do Profesora świadczy, że musiał dobrze wypełniać swoje obowiązki. Lecz dbałość o interes Państwa Polskiego w realizowanych tam sprawach nie leżała w sferze zainteresowania p. Pawłowskiego – nie widział tam interesu dla siebie. Daleko idąca niechęć autora paszkwili do prof. L. Kobylińskiego wzięła swój początek z wygórowanych roszczeń finansowych za wykonaną pracę, mimo że przed jej rozpoczęciem warunki umowy były określone.

M. Pawłowski ostatnio wyjątkowo gorliwie promuje nr 5 „Obywatela”. Takie szkalujące artykuły szybko się rozchodzą, bo nie brakuje czytelników, szczególnie gdy sprawy dotyczą określonego środowiska. A środowisko okrętowców nie jest małe. W okresie powojennym od roku 1946, tylko do roku 2004 włącznie Wydział wydał prawie 6 tysięcy różnego rodzaju dyplomów. Dużo informacji o Wydziale można znaleźć w monografii wydanej z okazji 60-lecia Wydziału pt. „Studia Okrętowe w Politechnice Gdańskiej 1945-2005”. Na podstawie tej monografii można też sprostować pomyłki zawarte w artykule w „Obywatelu”. M. Pawłowski nie brał udziału przy opracowaniu tej monografii, gdyż autorzy nie otrzymywali tu honorarium za napisane teksty.

Oszczerstwo nierozważalnie wiąże się z donosicielstwem, musi mieć charakter użytkowy. Może z tego być jakaś korzyść, może to się komuś opłacić, lub może to być tylko bezinteresowne dokopanie komuś.

Chciałbym tu dorzucić, ze swego życiowego doświadczenia, dwa przykłady, które w pewnym sensie dotyczą wiodącego tematu, a które dobrze utkwily mi w pamięci mimo znacznego upływu czasu. Pracując na uniwersytecie w jednym afrykańskim kraju, gdzie przebywała też grupka naszych rodaków, zdarzył się przypadek, że jeden z Polaków, być może z nadmiernego umiłowania „prawdy”, pisał paszkwile do miejscowego rektora o drugim Polaku. I następny przykład: będąc przewodniczącym Wydziałowej Komisji Rekrutacyjnej natknąłem się na opinię Zarządu Związku Młodzieży Socjalistycznej pewnej szkoły, która miała pomóc kandydatowi w dostaniu się na studia: „posiada duże zdolności wykrywania wroga klasowego”. Ten utalentowany młody człowiek nie został jednak studentem Instytutu Okrętowego, bo uzdolnienia były zbyt jednostronne i nie pokrywały się z wymaganiami egzaminu wstępnego. Takich węższących osób nie brakuje i dzisiaj, tylko hasło jest może nieco odmienne.

Nie mam ochoty polemizować z poszczególnymi stwierdzeniami, jakie podaje rzekoma Autorka tekstu. Mówiąc ogólnie, artykuł jest obrzydliwy. Jestem przekonany, że Autorka ma niewielką wiedzę o poczynaniach p. M. Pawłowskiego i została przez niego nieuczciwie wykorzystana. A jego aktywna, nastąpiła działalność pisarska nie przynosi pożytku poszczególnym osobom, Wydziałowi, całemu środowisku okrętowców, Politechnice Gdańskiej, a także jemu samemu.

Pozwoliłem sobie zmienić tytuł tego tekstu w stosunku do artykułu p. Pawła Huelle w Gazecie Wyborczej przez dodanie znaku zapytania. Wierzę bowiem, może naiwnie, że gdy Kraj nasz stanie się normalny, zniknie zacietrzewienie ideologiczne, znikną podsłuchy i kontrolowane prowokacje, zniknie nieufność do drugiego człowieka, to w cenie będzie rzetelność, uczciwość i zwykła przyzwoitość, a nieodpowiedzialne działania i nikczemność spotkają się z ogólnym potępieniem. Wówczas może oczernianie przestanie być polską specjalnością.

Prof. Władysław Bartoszewski, na zakończenie swojego wykładu na Uniwersytecie Warszawskim w dniu 23.10.2007 (też Gazeta Wyborcza z dnia 3-4.11.2007) powiedział: w Polsce są dwa różne słowa – „opłaca się” i „warto”. „Opłaca” się odnosi się do dochodu, do zysku, do korzystnego interesu. Natomiast słowo „warto” towarzyszy myśleniu o wartościach. Na pewno nie wszystko, co warto, to się opłaca. Ale z całą pewnością – wierzę w to głęboko – nie wszystko, co się opłaca, jest w życiu coś warte. Mam więc pytanie do rzekomej Autorki tekstu opublikowanego w „Obywatelu” – czy uważa, że to się opłacało lub czy jest to coś warte?

Miłosz Frąckowiak
Absolwent Wydziału BO z roku 1956,
były pracownik katedry kierowanej przez prof. L. Kobylińskiego

* Wyrażone w liście opinie są sprawą autora i nie odzwierciedlają stanowiska Zespołu Redakcyjnego Pisma PG

Z kalendarza JM Rektora

Październik 2007

- ◆ **14 października.** Kościół „Gwiazda Morza” w Sopocie. Uroczysty koncert z okazji 106. rocznicy nadania Sopotowi praw miejskich oraz Dnia Papięskiego, połączony z wręczeniem Nagród Prezydenta Miasta Sopotu w dziedzinie kultury i sztuki oraz nauki „Sopocka Muza”. W czasie uroczystości Rektor wygłosił laudację dla prof. Włodzimierza Przybylskiego, który otrzymał nagrodę „Sopocka Muza”.
- ◆ **15 października.** Rektor przyjął w gabinecie profesora Jerzego Buzka, posła Parlamentu Europejskiego.
- ◆ **15 października.** Auditorium im. Adama Synowieckiego na Wydziale Zarządzania i Ekonomii Politechniki Gdańskiej. Spotkanie profesora Jerzego Buzka ze studentami.
- ◆ **15 października.** Wizyta przedstawicieli Firmy Abantia z Hiszpanii w Politechnice Gdańskiej. W spotkaniu ponadto udział wzięli: Maciej Dobrzyniecki – Konsul Honorowy Królestwa Hiszpanii w Polsce, prof. Ryszard Katulski – Prorektor ds. Nauki i Wdrożeń Politechniki Gdańskiej, Ewa Mazur – Kanclerz Politechniki Gdańskiej, Joanna Jettmar – Kierownik Biura Karier Studenckich Politechniki Gdańskiej, Ewa Jurkiewicz – Kierownik Studium Języków Obcych Politechniki Gdańskiej.
- ◆ **15 października.** Aula Politechniki Gdańskiej. Koncert okolicznościowy z okazji Dnia Papięskiego. Wystąpiła orkiestra Sinfonietta Cracovia oraz Robert Kabara.
- ◆ **15 października.** Nadbałtyckie Centrum Kultury w Ratuszu Staromiejskim w Gdańsku. Debata Forum Młodych Dyplomatów pod tytułem: „Władza w RP – autorytet czy...?”.
- ◆ **16 października.** Warszawa. Posiedzenie Rady Narodowego Centrum
- Badań i Rozwoju. W czasie posiedzenia Rektor został wybrany przewodniczącym Rady.
- ◆ **16 października.** „Krzywy Domek” w Sopocie. Debata polityczna z udziałem Bogdana Borusewicza – Marszałka Senatu RP oraz Pawła Orłowskiego – Wiceprezydenta Sopotu.
- ◆ **17 października.** Rektor przyjął w gabinecie Pana Janusza Liberковского, wynalazcę, absolwenta Politechniki Gdańskiej oraz zwycięzcę prestiżowego konkursu „American Inventor” amerykańskiej telewizji ABC.
- ◆ **17 października.** Auditorium Maximum Politechniki Gdańskiej. Spotkanie Pana Janusza Liberковского z pracownikami i studentami Politechniki Gdańskiej.
- ◆ **17 października.** Starogardzkie Centrum Kultury w Starogardzie Gdańskim. Spotkanie ze Stowarzyszeniem Techników i Inżynierów Przemysłu Chemicznego.
- ◆ **18 października.** Gdański Klub Biznesu. Spotkanie Pana Janusza Liberковского z przedsiębiorcami.
- ◆ **18 października.** Akademicki Klub Politechniki Gdańskiej „Kwadrato-wa”. Debata polityczna zorganizowana przez Samorząd Studentów PG z udziałem prof. Edmunda Wittbrodta, Macieja Płażyńskiego oraz Janusza Korwin-Mikkego.
- ◆ **19 października.** Wydział Elektrotechniki i Automatyki Politechniki Gdańskiej. Konferencja poświęcona „Edukacji Technicznej”.
- ◆ **19 października.** Hol przed Biblioteką Główną Politechniki Gdańskiej. Otwarcie wystawy fotograficznej z okazji 45-lecia istnienia Ośrodka Wypoczynkowego w Czarlinie.
- ◆ **19 października.** Aula Politechniki Gdańskiej. Spotkanie z seniorami-nauczycielami akademickimi z okazji Dnia Edukacji Narodowej.
- ◆ **19 października.** Sopot. Zakończenie kampanii wyborczej Platformy Obywatelskiej z udziałem kandydatów do Sejmu i do Senatu RP.
- ◆ **19 października.** Gimnazjum nr 33 w Gdańsku. Debata z kandydatami do Sejmu i Senatu RP.
- ◆ **20 października.** Auditorium Maximum Politechniki Gdańskiej. Uroczyste wręczenie dyplomów w 62. rocznicę pierwszego wykładu w powojennej historii Politechniki Gdańskiej, wygłoszonego przez profesora Ignacego Adamczewskiego.
- ◆ **21 października.** Akademicki Klub Politechniki Gdańskiej „Kwadrato-wa”. Spotkanie wyborcze z sympatykami i osobami biorącymi udział w kampanii wyborczej do Senatu RP Rektora oraz profesora Edmunda Wittbrodta.
- ◆ **22 października.** Katedra Oliwska w Gdańsku. Uroczysta, Jubileuszowa Inauguracja Roku Akademickiego w Gdańskim Seminarium Duchownym w Gdańsku z okazji 50-lecia istnienia. W czasie uroczystości Rektor otrzymał Medal Jubileuszowy Wyższego Seminarium Duchownego w Gdańsku.
- ◆ **22 października.** Spotkanie na Uniwersytecie Warszawskim.
- ◆ **23 października.** Dwór Artusa w Gdańsku. Spotkanie powyborcze Pomorskiego Regionu Platformy Obywatelskiej.
- ◆ **23 października.** Hol przed Salą Senatu Politechniki Gdańskiej. Otwarcie wystawy zdjęć wykonanych przez studentów Politechniki Gdańskiej podczas praktyk studenckich IAESTE (The International Association for the Exchange of Students for Technical Experience).
- ◆ **23 października.** Rektor przyjął Pana Adama Orzechowskiego, Dy-

rektora Naczelnego i Artystycznego Teatru „Wybrzeże” w Gdańsku.

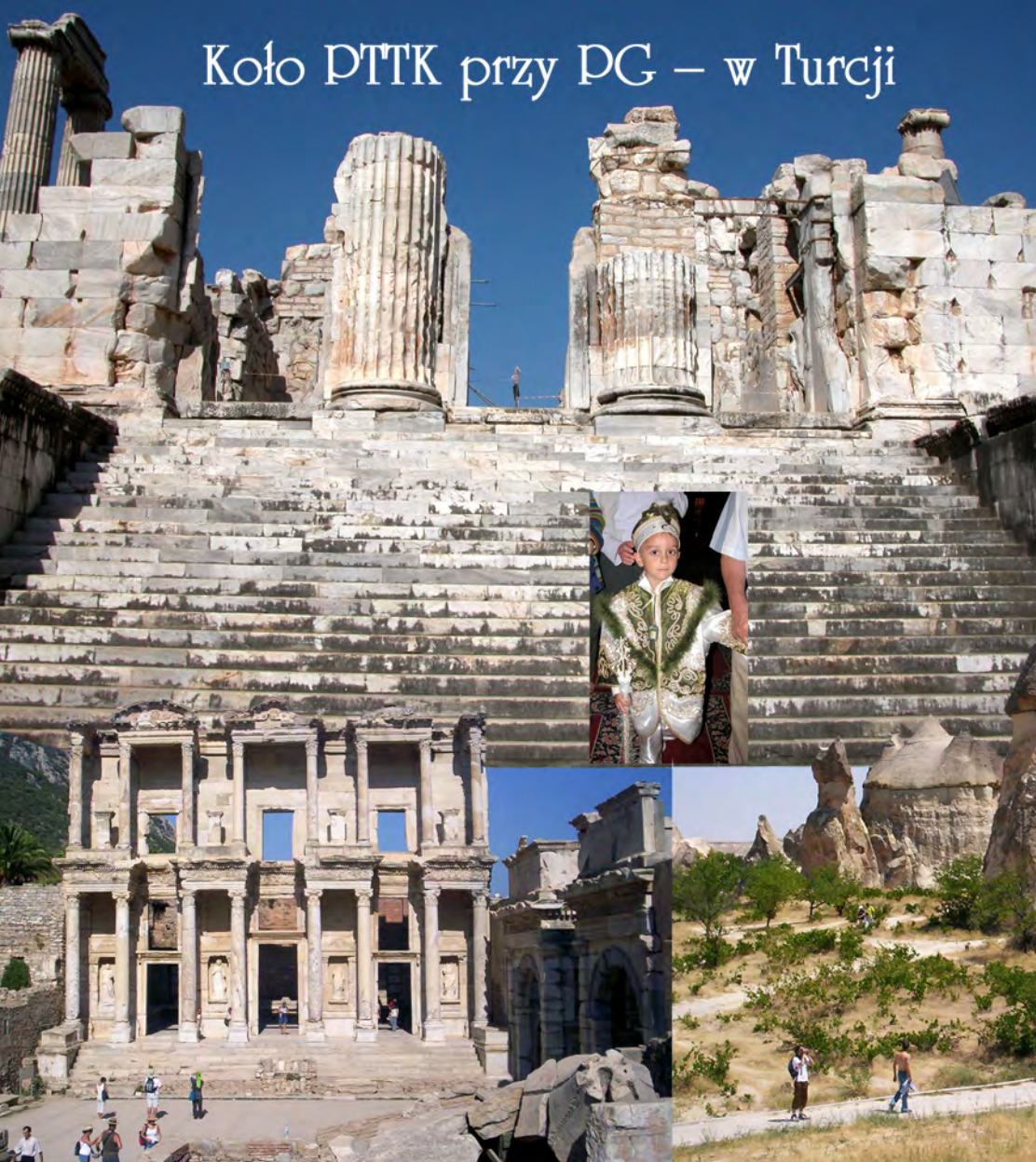
- ◆ **23 października.** Gabinet Rektora. Spotkanie Komitetu Organizacyjnego Obchodów 50-lecia Parlamentu Studenckiego Politechniki Gdańskiej.
- ◆ **25–27 października.** Wrocław. Konferencja European University Association pt.: „The Governance of European Universities post 2010: Mission Diversity, Autonomy and Accountability.”
- ◆ **28 października.** Konkatedralna Bazylika Mariacka pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Gdańsku. Uroczysty koncert z okazji Dnia Papieskiego. Po zakończeniu koncertu odbyła się podniosła uroczystość wręczenia „Bursztynowego Serca”, jako wyrazu wdzięczności wiernych Archidiecezji Gdańskiej za otrzymany dar w postaci Osoby Jego Ekscelencji Księdza Arcybiskupa Metropolity Gdańskiego Tadeusza Gocłowskiego.
- ◆ **29 października.** Sala Herbowa w budynku Rady Miasta w Gdańsku. Konferencja podsumowująca II etap projektu „Biznes na start” – II edycja.
- ◆ **30 października.** Sala Senatu Politechniki Gdańskiej. Posiedzenie Rady Gospodarczej przy Rektorze PG.
- ◆ **30 października.** Akademicki Klub Politechniki Gdańskiej „Kwadratawa”. Spotkanie z Politechnicznym Klubem Biznesu PKB+.

Listopad 2007

- ◆ **5–6 listopada.** Warszawa. Posiedzenie Senatu Rzeczypospolitej Polskiej.
- ◆ **8 listopada.** Siedziba Banku PKO BP w Gdańsku. Spotkanie z Panią Lilianną Dziekańską, Dyrektorem Oddziału Regionalnego Banku PKO BP w Gdańsku.
- ◆ **8 listopada.** Warszawa. Rektor odebrał nagrodę Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego za osiągnięcia naukowe, dydaktyczne, organizacyjne oraz za całokształt dorobku.
- ◆ **9–10 listopada.** Warszawa. Posiedzenie Senatu Rzeczypospolitej Polskiej.
- ◆ **10 listopada.** Rektor przyjął profesora Leszka Balcerowicza.
- ◆ **10 listopada.** Restauracja Villa Uphagena w Gdańsku. Spotkanie z Panią Danutą Hübner, Unijnym Komisarzem ds. Polityki Regionalnej, profesorem Jerzym Bralczykiem oraz profesorem Edmundem Wnuk-Lipińskim.
- ◆ **10 listopada.** Polska Filharmonia Bałtycka w Gdańsku. Gdański Areopag. Debata pt.: „Etos Polaków. Prognoza”. Rektor był jednym z moderatorów tej debaty. Poza tym w spotkaniu udział wzięli: Leszek Balcerowicz, profesor ekonomii, arcybiskup Kazimierz Nycz, metropolita warszawski, profesor Edmund Wnuk-Lipiński, profesor socjologii oraz Pani Danuta Hübner, Unijny Komisarz ds. Polityki Regionalnej.
- ◆ **11 listopada.** Złożenie wieńców pod pomnikiem Marszałka Józefa Piłsudskiego w Gdańsku, z okazji Narodowego Święta Odzyskania Niepodległości.
- ◆ **11 listopada.** Politechnika Gdańska. Areopag Młodych. Debata pt.: „Czy Polska da sobie radę bez Ciebie?” W debacie udział wzięli: Jerzy Owsiak, dziennikarz i współtwórca Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, oraz Rafał Ziemkiewicz, dziennikarz, komentator polityczny i ekonomiczny, pisarz science fiction.
- ◆ **11 listopada.** Kino Neptun w Gdańsku. Premierowy pokaz filmu „Korowód” z udziałem reżysera filmu Jerzego Stuhra.
- ◆ **12 listopada.** Polska Filharmonia Bałtycka w Gdańsku na Ołowiance. Koncert zespołu The King’s Singers.
- ◆ **13 listopada.** Sala Senatu Politechniki Gdańskiej. Spotkanie ze studentami V roku Wydziału Zarządzania i Ekonomii Politechniki Gdańskiej, dotyczące problemów innowacji w technice i technologii.
- ◆ **14 listopada.** Nadbałtyckim Centrum Kultury w Gdańsku. Spotkanie z mieszkańcami Gdańska w związku z nagrodą im. Jana Heweliusza przyznaną profesorowi Andrzejowi Czyżewskiemu w 2007 r.
- ◆ **17 listopada.** Skwer Kościuszki w Gdyni. Ceremonia przekazania obowiązków Dowódcy Marynarki Wojennej RP przez admirała floty Romana Krzyżelewskiego na pokładzie ORP „Błyskawica”.
- ◆ **19 listopada.** Cmentarz Srebrzysko w Gdańsku. Pogrzeb profesora Zbigniewa Kowalskiego.
- ◆ **21 listopada.** Sala Senatu Politechniki Gdańskiej. Posiedzenie Senatu PG.
- ◆ **22–24 listopada.** Warszawa. Posiedzenie Zgromadzenia Plenarnego Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich.
- ◆ **24 listopada.** Aula Politechniki Gdańskiej. Uroczysta sesja Parlamentu Studentów Politechniki Gdańskiej z okazji 50-lecia – „Parlament na przełomie lat”.
- ◆ **24 listopada.** Hol przed Aulą Politechniki Gdańskiej. Koncert z okazji Jubileuszu Parlamentu Studentów Politechniki Gdańskiej. W czasie koncertu wykonano utwory „Missa Pro Pace” Wojciecha Kilara oraz „Misa Criola” Ariela Ramirez.

Piotr Markowski
Rektorat

Koło PTTK przy PG – w Turcji



czytaj na str. 41

23 października 2007 r. – otwarcie wystawy „W 80 praktyk dookoła świata”



czytaj na str. 32



